

**ANTONI ARMAND**  
(KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI)

# **CZŁOWIEK Z LUSTRA**



WYDAWNICWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ WARSZAWA 1958

## I

*Poznań, piątek, 31 maja 195... r.*

— Proszę bardzo!

Dr Janusz Żukrowski otworzył drzwi przed wychodzącą pacjentką i szybkim rzutem oka zlustrował mały przedpokój służący za poczekalnię. Jeszcze dwie osoby. Oczywiście — inżynierowa! Ta się lubi leczyć, choć w gruncie rzeczy nic jej nie jest. Znowu będzie roztaćcać obraz swej „chorej duszy”, który lekarz zna już na pamięć. Ale kim jest ten nieznajomy, szpakowaty brunet w okularach? Czyżby z polecenia profesora?

„Ciekawe!” — zdziwił się w myśli lekarz, ponieważ mężczyźni odwiedzali go raczej rzadko. Większość jego, nielicznych zresztą, prywatnych pacjentów stanowiły kobiety. Kole-dzy żartowali z doktora Żukrowskiego, że pacjentki wymyślają sobie urojone choroby, byle mieć pretekst do wizyty u tak młodego i przystojnego psychiatry-neurologa. Uśmiechał się cierpko słysząc te żarty. To prawda — był młody, zdolny, przystojny. Mówiono, że stoi u progu wielkiej kariery. Ulubiony słuchacz, potem asystent, a wreszcie po ukończeniu studiów współpracownik znakomitego psychiatry, profesora M., istotnie miał większe szanse od innych młodych lekarzy. Jak dotąd jednak, stale krążył w orbicie sławy swego mistrza. Nie liczył na to, by w bliskiej przyszłości nazwisko jego zaczęło świecić już nie odbitym, ale własnym blaskiem. Ileż to jeszcze lat ciężkiej pracy w poradni zdrowia psychicznego, w sanatorium dla umysłowo chorych, ileż dni — jak dzisiejszy — powszednich, trudnych dni, zanim zaświta nadzieja tak upragnionej docenty! A katedra! Janusz Żukrowski oczyma wyobraźni nieraz już widział siebie jako profesorską sławę. Niestety, na tym wymarzonej obrazie miał już siwe włosy i za wiele zmarszczek na twarzy.

Ostatnio profesor M., coraz poważniej zapadając na zdrowiu, niektórych pacjentów prywatnych przekazał swemu asystentowi. Żukrowski jednak zauważył z goryczą, że profesor ciekawsze przypadki rezerwuje dla siebie, jemu odsyłając „tuzinkowe”.

I teraz też, przepuszczając uprzejmie przed sobą inżynierową, pomyślał z irytacją i żalem, że jeszcze ciągle zdolności jego i ambicje większe są niż i możliwości. Już miał zamknąć drzwi, gdy nieznajomy brunet podniósł głowę znad gazety. Wzrok pacjenta spotkał się z oczami lekarza. Doktora ogarnęło dziwne uczucie: oczy, patrzące na niego spoza grubych szkieł, były jednocześnie znajome i obce, przyciągające i odpychające. Było w nich coś, co przykuło uwagę Janusza.

Mniej uważnie niż zazwyczaj wysłuchiwał relacji pacjentki o objawach, które wystąpiły od czasu ostatniej wizyty. Zadając pytania, słuchając rozwlekłych wywodów, nie mógł ode-rwać myśli od czekającego pacjenta. Pragnął, by znalazł się on przed nim jak najszybciej, aby w pełnym świetle móc skontrolować swoje nieuchwytnie, a silne pierwsze wrażenie.

W pewnym momencie kobieta zamilkła. Psychiatra patrząc na nią ujrzał przed sobą wyraźnie niepokojące go oczy tamtego. Pacjentka zarumieniła się i powiedziała:

— Przed panem doktorem nic się nie ukryje.

Żukrowski ocknął się i powtórzył machinalnie:

— Nic się przede mną nie ukryje!

Kobieta opuściła głowę.

— Po prostu czuję to. Kiedy pan doktor zaczyna patrzeć takim wzrokiem, wiem, że odczytuje pan wszystkie moje myśli, te właśnie, które chcę przemilczeć.

Lekarz z pewnym wysiłkiem powstrzymał uśmiech. Już niejednokrotnie zdarzało mu się, że akurat w chwili, gdy absorbowały go myśli w niczym nie dotyczące chorej — pacjent-

ki zaczynały mówić o jego „wszechwidzącym” wzroku.

„Jeżeli tak dalej pójdzie, wyrobię sobie mimowolną sławę jasnowidza” — pomyślał z humorem.

Wizyta dobiegała końca. Jeszcze w progu inżynierowa żądała jakichś nowych lekarstw. Wreszcie wyszła.

Zostali we dwóch. Lekarz, stojący w otwartych drzwiach gabinetu, i nieznajomy, samotnie siedzący w kącie poczekalni.

— Proszę bardzo! — stereotypowo zaprosił Żukrowski.

Pacjent starannie złożył gazetę, strzepnął z ubrania jakiś pyłek i w niczym nie przejawiając pośpiechu, charakterystycznego dla większości chorych, podrywających się skwapliwie na zaproszenie lekarza, wolino skierował się ku Januszowi.

— Pan doktor Żukrowski! — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. Janusz skłonił się lekko.

— Proszę! — powtórzył.

Brunet nie ruszył się jednak z miejsca. Stał obserwując Janusza ciekawym, badawczym spojrzeniem. Doktor po raz drugi poczuł się nieswojo. Znowu zafrapowała go dziwaczność tych oczu, a poza tym głos... Głos wydał mu się również znajomy i nie znany, miły i niemiły, bliski i obcy. Przeszło przez myśl doktorowi, że podobne uczucia ogarniały go we śnie, lecz nigdy na jawie.

— Proszę! — rzekł po raz trzeci.

Nieznajomy wszedł wreszcie do gabinetu. Usiadł nie czekając na zaproszenie. Janusz widział go teraz w pełnym świetle. Czarna, gęsta czupryna. Na skroniach trochę siwizny. Opalona, zdrowa cera, oszpecona w tej chwili kawałkiem plastra na prawym policzku. Oczy intensywnie niebieskie. Łuki brwi niemal skryte pod szeroką oprawą okularów. Ciemny, krótki wąs przysłaniający górną wargę. Zwykła na pozór twarz, a jednak... Ta twarz — jak oczy, jak głos — była równocześnie znajoma i obca. Janusz poczuł się wobec tej twarzy dziwnie bezradny. Nie wiedział, czy budzi ona w nim zaufanie czy nieufność, sympatię czy odrazę. W stosunku do tego człowieka rosła w nim jakaś dwoistość. Od pierwszej chwili ciągnęło coś Janusza i odpychało równocześnie.

— Co pana do mnie sprowadza? — zapytał usiłując zachować swój normalny, swobodny ton. Niezbyt to się udało. Janusza ogarnęła złość na samego siebie. Sztuka szybkiego nawiązywania kontaktu z chorym wymaga, aby lekarz z punktu wyczuł „klimat” pacjenta, a następnie wciągnął go w orbitę swego wpływu. Lekarz musi umieć wzbudzić w chorym zaufanie. Musi dominować. Pacjent tego potrzebuje. Po to przecież przychodzi, by czerpać siły. W czasie rozmowy, podczas badań, inicjatywa przez cały czas musi spoczywać w rękach lekarza. Tym razem jednak inicjatywę miał tamten, siedzący nieruchomo i milcząco, mierzący Żukrowskiego spojrzeniem, pod którym lekarz czuł się coraz niewyraźniej. Nie wolno było dopuścić do przeciągania się tej sytuacji.

— Co pana do mnie sprowadza? — powtórzył lekarz.

Zamiast odpowiedzi nieznajomy uśmiechnął się.

„Co mi ten uśmiech przypomina? Skąd ja go znam?” — myślał Janusz. Był przekonany, że ten człowiek zdaje sobie sprawę z jego zakłopotania i że to sprawia mu zadowolenie. Nagle nieznajomy przemówił:

— Czy pan doktor ma lustro?

Janusz osłupiał. Przyzwyczajony był do różnych dziwactw i anomalii, ale te słowa... Odpowiedział machinalnie:

— Owszem, mam.

— Gdzie?

Janusz spróbował odzyskać utraconą równowagę.

— Proszę pana — rzekł chłodno — mój czas jest ograniczony i doprawdy nie rozu-

miem...

Brunet pochylił się nad biurkiem zbliżając swą twarz do twarzy Janusza.

— Właśnie po to, by pan wszystko zrozumiał, będzie nam potrzebne lustro — rzekł spokojnie. — Gdzie ono jest?

Żadne z określeń medycznych, jakie w tej chwili przemknęły błyskawicznie przez myśl Janusza, nie pasowało do tego człowieka. Zachowywał się wprawdzie dziwacznie, ale czy był nienormalny? I nagle uderzyło go, że w nieznanym jest raczej coś *n i e n a t u r a l n e g o* niż nienormalnego. Kimże jest? Czego chce? Ciekawość Janusza wzrastała.

— Gdzie jest lustro? — powtórzył tamten.

Pod wpływem utkwionych w niego oczu Janusz wstał i odchylił kotarę dzielącą gabinet przyjęć od małej, sypialnianej alkowy. Nad stolikiem obok tapczanu wisiało spore zwierciadło. Nie ruszając się z miejsca brunet spojrział w tamtym kierunku i skinął głową:

— Dziękuję, panie doktorze. Proszę usiąść!

Kompletnie zdezorientowany, wrócił Janusz na swoje miejsce. Sytuacja była raczej niecodzienna. Siedzi wprawdzie we własnym gabinecie, ale traktowany jest przez nieznanego jak... właśnie, jak kto? Człowiek, który zadawał mu dziwaczne pytania i wydawał polecenia, który nakazywał mu zajęcie miejsca w jego własnym mieszkaniu, absolutnie nie przypominał Żukrowskiemu żadnego z pacjentów zwracających się doń o pomoc i poradę. Nie czuł się jak lekarz przyjmujący pacjenta, ale jak sztubak peszony przez nauczyciela. Wyteżył więc całą wolę, aby oswobodzić się spod obcego wpływu.

— Może wreszcie zechce pan wyjaśnić — rzekł oschle — czy przyszedł pan tutaj jako pacjent, czy też z jakąś inną sprawą? W obu wypadkach — spojrział ostentacyjnie na zegarek — prosiłbym o przejście do meritum.

Na przybyłym słowa te nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Rozsiadł się wygodnie na krześle, założył nogę na nogę, z kieszeni wyjął paczkę giewontów i podsunął ją lekarzowi. Gdy Janusz przecząco potrząsnął głową, nieznanomy sam wziął papierosa, starannie wykruszył go w palcach, powoli sięgnął po zapalną, zapalił i zaciągnął się głęboko. Wszystko to robił jakby chcąc celowo przedłużyć czas oczekiwania. Janusza ogarnęła irytacja.

— Słucham pana! — rzucił.

Brunet uśmiechnął się lekko, wypuszczając z ust dym papierosa. I znowu młody lekarz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że tamten w jakiś niewytłumaczalny sposób góruje nad nim.

— Nie przyszedłem jako pacjent — rzekł powoli nieznanomy.

— Nie?

— Nie. Mam do pana doktora inną sprawę.

— Jaką?

— Jaką? — powtórzył nieznanomy. — Bardzo dziwną, panie doktorze, bardzo dziwną... — Przerwał, spojrział Januszowi przenikliwie w oczy. — Ale pan doktor lubi przecież dziwne sprawy; niezwykłych ludzi, prawda?

Lekarz milczał.

— Inaczej nie specjalizowałby się pan w psychiatrii — ciągnął powoli nieznanomy odpowiadając sam sobie. — Ale sprawa, z którą przychodzę, powinna pana zainteresować zupełnie specjalnie, ponieważ dotyczy zarówno mnie, jak i pana, doktorze.

— Mnie?! — Janusz był zaskoczony.

Brunet skinął głową.

— Tak jest. Ja wiem o panu bardzo wiele, doktorze, choć pan do dzisiaj nie wiedział o moim istnieniu. Znałe mi są pańskie zdolności i pańskie naukowe ambicje. Pańską pasją, wiem również, jest kolekcjonowanie ciekawych przypadków, rozwiązywanie zawiłych psychologicznych zagadek...

Nieznanomy urwał. Spoglądał teraz w okno. Mrużył oczy jak człowiek patrzący bardzo daleko. Dym oplatał go szarymi smugami. Janusz nie przerywał milczenia. Słowa niezna-

mego wzbudziły zainteresowanie połączone z niepokojem. Kto to jest? Czego chce? Postanowił go wysłuchać do końca.

Po chwili obcy zaczął znowu mówić, spokojnie, w zamyśleniu, półgłosem:

— Cóż pan właściwie wie o sobie, doktorze? Że nazywa się pan Janusz Żukrowski? Że ma pan dwadzieścia dziewięć lat? Że pańskie ambicje i zdolności są większe niż możliwości? I co więcej, doktorze? Co pan więcej o sobie wie?

Pod upartym wzrokiem nieznanego Janusz poruszył się niespokojnie. „Mówi do mnie, jakbym ja był pacjentem, a on lekarzem” — pomyślał.

— Wydaje się panu — tamten mówił dalej — że zna pan siebie na wylot. Swoje cechy dodatnie i ujemne, swoje kompleksy i urazy. Zapewne!...

Znowu urwał. Janusz siedział nieruchomo. Strzępki myśli błąkały mu się po głowie, nie mogąc jakoś połączyć się w logiczną całość. Nic nie rozumiał. Wzrastały natomiast ciekawość i zaniepokojenie. Czegóż chce od niego ten dziwny człowiek? W życiu swoim, przeciętnym życiu młodego lekarza, nie widział nic tajemniczego. Co za nonsensy! Wszystko o sobie wie i wszystko ma domyślane do końca.

— Pańska dotychczasowa praktyka! — podjął nieznanomy. — Jakież ona daje panu możliwości?! W najlepszym razie uwolni pan od kompleksów jeszcze kilka histeryczek, pozbawi pan wizji i halucynacji jeszcze paru wariatów, którzy może są szczęśliwsi od pana. Będzie pan mozolnie wdrapywał się po szczeblach naukowej kariery, aż wreszcie jako stary człowiek uzyska pan szczyt marzeń — katedrę!

Janusz drgnął. Tamten jakby czytał w jego myślach. Wszystko, co mówił, było prawdą. Ale skąd wie o tym? I jakim prawem wdziera się w jego osobiste pragnienia i smutki? Janusza znowu ogarnęła irytacja, ale tym razem pomieszana z podnieceniem: w ciągu zwyczajnego, nudnego dnia pracy zetknął się raptem z czymś niezwykłym, z niewątpliwą przygodą.

Nieznanomy uśmiechnął się.

— Tymczasem ja dam panu możliwość przeprowadzenia takich badań, jakich nikt na świecie dotąd nie przeprowadzał. Żaden psychiatra, żaden psycholog. Będzie pan mógł zyskać rozgłos przekraczający najśmielsze pańskie marzenia. Rozgłos w europejskiej — co ja mówię — w światowej skali!

Podniecał wyobraźnię Janusza. Grał na rosnącym zaciekawieniu doktora. Gdy nieznanomy znowu zamilkł na chwilę, Żukrowski powiedział zmienionym, nieswoim głosem:

— Niechże pan mówi!

— Będzie to dłuższa opowieść. Chcę pana zapoznać z najciekawszym eksperymentem, jaki zna medycyna wszystkich czasów. Został on dokonany wtedy, gdy ani pana, ani mnie nie było jeszcze na świecie...

Przybysz ściszył głos, mówił niemal szeptem, przechylony przez biurko ku Januszowi, jakby z troską, by tamten nie uronił ani jednego słowa. Doktor słuchał z napiętą uwagą. Podawane fakty były zbyt fantastyczne, by ścisły umysł człowieka wykształconego, lekarza znającego tajemnice ludzkiego ciała, nie reagował niewiarą. Wyobraźnia, czuł to, podniecała się perspektywami, jakie otwierała opowieść nieznanego, ale rozum raz po raz wykrywał w tej dziwacznej relacji luki, niedopowiedzenia, wręcz błędy. Błędy dla wykształconego lekarza równie łatwe do wykrycia, jak łatwe było równocześnie stwierdzenie, że porównania ze znanymi nam osiągnięciami nauki nie pozwalają wątpić w możliwość czegokolwiek, każą wierzyć w każdą fantazję; nie takie realizował rozum człowieka!

Toteż tylko od czasu do czasu, gdy opowieść wydawała się nazbyt karkołomna, Janusz reagował cichym okrzykiem: „Niemożliwe!” albo ratował równowagę swego rozsądku jakimś fachowym, medycznym pytaniem, które nieznanomy zbywał lekceważącym ruchem głowy i ramion:

— Powoli, powoli, nie będę się teraz wdawał w żadne szczegóły. Nie jestem lekarzem i

sam sobie nie potrafię odpowiedzieć na wszystkie pytania. Pierwszym lekarzem, do którego się w tej sprawie zwracam, jest właśnie pan. A moim pragnieniem jest otworzyć przed panem możliwość uzyskania pełnej odpowiedzi na te pytania, które pan i mnie, i sam sobie w tej chwili zadaje.

I dalej toczyła się opowieść, w której nauka szła o lepsze z fantazją, możliwość z niemożliwością. Na twarzy doktora wystąpiły ceglaste rumieńce. Rozsądek coraz mniej kontrolował odbiór. Jeżeli to była fantazja... jakże niezwykle bujna stworzyła ją wyobraźnia! A jeżeli prawda?... Lekarz doznawał zawrotu głowy.

— Czy może mi pan udostępnić ten opis? — zapytał wreszcie gorączkowo i błagalnie.

Nieznajomy skinął głową.

— Tak. Oczywiście. Ale pod pewnymi warunkami, które zresztą nie będą dla pana zbyt kłopotliwe.

Żukrowski usiłował zebrać myśli. Opis to jeszcze nie było wszystko. Nawet dokument mógł być mistyfikacją.

— No dobrze... — rzekł z pewnym wahaniem — to wszystko brzmi zupełnie niewiarygodnie, ale zakładając, że eksperyment ten został wykonany z... powiedzmy... pozytywnym rezultatem, gdzież są te rezultaty? Dowody, że wszystko, co pan mówi, jest prawdą?

Nieznajomy uśmiechnął się dziwnie.

— Zaraz panu udowodnię...

.Janusz zerwał się z krzesła, porażony nagłym strachem.

— Dlaczego? — krzyknął — dlaczego właśnie do mnie pan przyszedł?! Tyle sław medycznych dałoby za to...

Nieznajomy wstał również.

— Jeszcze się pan nie domyślił? — rzekł cicho.

Janusz cofnął się przed nim. W głowie mu się kręciło.

— Więc... — bełkotał — pan sądzi...

— Nie sądzę! — Tamten był bardzo spokojny. — W i e m!

— Nieprawda! — wykrzyknął lekarz.

— Proszę! — rozkazał nieznajomy.

Wytracony z równowagi Żukrowski dał się bezwolnie prowadzić. Jak przez sen usłyszał głos nieznajomego:

— Tak wygląda p r a w d a!

\* \* \*

Ile czasu minęło — minuty? kwadransy? godziny? — nim Janusz Żukrowski uspokoił się nieco po doznanym wstrząsie i mógł zebrać myśli. Znowu siedzieli przy biurku, naprzeciwko siebie. Janusz uniósł twarz dotąd schowaną w dłoniach i spojrzał na nieznajomego.

— No cóż, doktorze?! Niech się pan wreszcie otrząśnie! To chyba nie jest żadna tragedia? Raczej przeciwnie.

Janusz patrzył teraz prosto w twarz przybysza, którego już nie mógł nazywać nieznajomym, choć nie znał jeszcze jego nazwiska ani imienia. Ciągle jeszcze nie dowierzał własnym oczom. Teraz rozumiał, dlaczego na widok tego człowieka doznał tak sprzecznych wrażeń. W tej chwili powtórnie studiował tę twarz, uważnie wpatrując się w fascynujące go rysy. Nie mógł oderwać wzroku. Nawet we śnie nie miewał takich doznań. A teraz — to jest jawa, nie sen. Najbardziej oczywista jawa. Doktor powiódł wzrokiem — na sekundę tylko, na dłużej nie mógł oderwać się od twarzy tamtego — po pokoju. Dobrze znane sprzęty stały na swoim miejscu. Aparat telefoniczny połyskiwał na małym stoliku. Przez okno dojrzał okna domów z drugiej strony ulicy. Nic się tutaj nie zmieniło — tylko on był już innym człowiekiem. Jakim?

— Teraz należałoby omówić plan działania. — Przybysz przerwał milczenie.

Plan działania... Te słowa dotarły do świadomości Janusza. Plan działania — tamten ma rację! To przecież dopiero początek! W ciągu ostatnich minut — może kwadransów? może godzin? — doktor Janusz Żukrowski stał się posiadaczem wiadomości, których prawdziwy walor musi dopiero ustalić, rozszyfrować. Znajduje się zaledwie na początku jakiejś nieznannej drogi. Włożono mu w rękę początek nici Ariadny — dokąd go zaprowadzi ten labirynt? Tajemnica musi być poznana — i on może ją poznać. Jego dziwaczny gość ma słuszość: światowa medycyna nie знаła jeszcze takiego eksperymentu. Przed nim, jako przed psychologiem i psychiatrą, otworzyła się może szansa takich badań, że aż lęk obejmuje człowieka. Już wiedział, że zgodzi się na wszystko, byle tylko odkrycie tajemnicy stało się jego udziałem. Wiedział, że się nie cofnie przed niczym. Teraz on z kolei zapytał:

— Więc?...

Ten drugi uśmiechnął się.

— Powoli. Powoli. Rozumiem pańską niecierpliwość, ale sprawa jest diablo trudna. Zbyt ni pośpiech może okazać się równie szkodliwy, jak zbyt nia powolność wtedy, gdy już trzeba będzie iść najprędzej, natychmiast, przebojem, nie oglądając się na nic. Przez kilka lat szukałem tych wszystkich, którzy są nam niezbędni. Niech pan pamięta: jest ktoś, kto robi, co będzie w jego mocy, aby te plany pokrzyżować. Pan już wie, kto to jest! Nieraz już następował mi na pięty! Ale przecież, jak dotąd, dokumenty są w moim posiadaniu, a ja chodzę tam, gdzie chcę, i robię, co chcę. Jestem panem mojej woli. T a m c i — wykonał nieokreślony ruch ręką — również żądają dowodów na potwierdzenie dokumentów. Papiery im nie wystarczają. Pytają się o to samo, o co się i pan pytał.

Janusz przytakiwał głową.

— Długo przygotowywałem swój plan — ciągnął tamten. — W zasadzie chcę go wykonać sam. Tak będzie lepiej i bezpieczniej. Nie cofnę się przed niczym. Jeżeli trzeba będzie — zdobędę się nawet na przemoc. Gra tego warta. Prawda? Pan jednak, jako psycholog, może mi być bardzo pomocny. Jednocześnie będzie to dla pana pierwsza okazja do rozpoczęcia badań.

— Ale przecież podjął się pan tego nie tylko z myślą o moich badaniach naukowych. Co właściwie panem kieruje?

— Co mną kieruje? Słuszne pytanie. Grajmy w otwarte karty, skoro mamy grać razem.

Na policzkach przybysza wystąpiły lekkie rumieńce. Podniósł się z krzesła.

— Na mnie czeka tam sława. Rozumie pan? Sława, której tutaj nigdy nie osiągnę. Jestem w podobnej do pana sytuacji: moje ambicje są również większe niż moje możliwości.

Przeszedł się po pokoju, znowu stanął przed Żukrowskim. Jego oczy płonęły.

— Jeśli pokażę światu to, co mogę pokazać, stanę się znany. To już nie ja będę się ubiegał, jak dotąd, o popularność. To o mnie będzie się dobijał cały świat. Pan mnie rozumie?

— Rozumiem... — powtórzył Janusz. Oszołomiony był ambicją i energią tego człowieka, oczarowany perspektywami, jakie się przed nimi obu otwierały. — Kiedy rozpoczynamy? Urlop mogę wziąć natychmiast.

— Nie! W żadnym wypadku! Dopóki pana nie zawiadomię, proszę nic nie robić.

— Ale czy zdążę przeprowadzić pierwsze choćby obserwacje przed Ogólnoświatowym Kongresem? Pan rozumie, że byłoby wspaniale, gdybym właśnie podczas Kongresu wystąpił już z...

— Oczywiście. Ale Kongres odbędzie się trzydziestego czerwca, a dziś mamy trzydziestego pierwszego maja. A więc — miesiąc do dyspozycji. Mam nadzieję, że już za trzy, cztery dni będzie pan mógł rozpocząć badania.

Oczy Janusza lśniły gorączkowym blaskiem.

— Będę czekał! Boże, jak niecierpliwie!

Gość wstał. Uśmiechnął się.

— A więc — do widzenia! Teraz będę już działał błyskawicznie. Na szczęście t a m c i

umożliwili mi finansowo zorganizowanie całej sprawy. Nawet — wskazał ruchem głowy na okno — wystarali się o maszynę. Bez tego nie dałbym rady.

Janusz spojrział: na ulicy stała czarna chevroleta.

Za chwilę ujrzał, jak dziwny mężczyzna wsiadał do auta. Gdy wóz zniknął za zakrętem ulicy, doktor Janusz Żukrowski uszczyptał się mocno w rękę, by się przekonać, że nie śni.

## II

*Warszawa, wtorek, 4 czerwca*

— Proszę się nie denerwować. Proszę raz jeszcze, spokojnie, opowiedzieć, jak to było.

— Nie denerwować się! — mały, zatabaczony staruszek, siedzący naprzeciw oficera milicji, powtórzył to nieledwie z rozpaczą. — Ja, panie poruczniku, czterdzieści lat pracuję w swoim zawodzie, a nigdy jeszcze nie zdarzyła mi się taka historia...

Brodzki, oficer prowadzący śledztwo, wyciągnął ku staruszkowi paczkę zeglarzy. Badany machinalnie wziął papierosa. Zapalili obaj.

— A więc — znowu zaczął porucznik — Andrzej Nowicki przyszedł tu, do skarbcza, i zażądał, byście klejnoty przesłali mu do jego gabinetu?

— Tak — głos staruszka był cichy. — Tak bywało często. Zawsze wtedy, gdy chciał sprawdzić, czy na kamieniach nie ma skazy, dostarczaliśmy mu biżuterię do jego pracowni na pierwszym piętrze.

— Kto dostarczał?

— Zawsze dwóch konwojentów. Taki jest zwyczaj. Zanosili klejnoty do pana Nowickiego. On przeprowadzał swoje badania, a potem telefonował tutaj, do skarbcza, i ci sami ludzie odnosili klejnoty, które własnoręcznie chowałem do safe'u. Nie, w głowie nie może mi się pomieścić, żeby pan Andrzej...

Porucznik Brodzki przerwał:

— O której godzinie Nowicki przyszedł do skarbcza?

— Punktualnie o dwunastej. Pamiętam dokładnie. Taki upał, że mamy okna otwarte, i z głośnika ulicznego akurat nadawali hejnał.

— Od jak dawna Nowicki pracuje w waszej firmie?

— Od... zaraz... tak, od jakich siedmiu lat. Ale dokładniej to...

Porucznik znowu przerwał:

— Czy pan nie miał nigdy jakichś zarzutów przeciwko Nowickiemu?

— A Boże uchowaj! — staruszek zaprzeczył gorąco. — Zawsze sumienny, zawsze dokładny, zawsze punktualny. Pan rozumie, panie poruczniku, w takim przedsiębiorstwie jak nasze, ludzie muszą być przez sitko cedzeni. Bezwzględnie uczciwi, nie ulegający pokusom...

— Hmm... — mruknął oficer. Zastanawiał się nad czymś jeszcze chwilę, po czym powiedział: — Na razie dziękuję panu. Teraz chciałbym pomówić z konwojentami.

Obaj konwojenci potwierdzili zeznania kierownika skarbcza. Jak zwykle zjawił się w skarbcu Andrzej Nowicki. Jak zwykle kazał sobie dostarczyć biżuterię. Jak zwykle zanieśli mu ją na pierwsze piętro. Jak zwykle zapytali strażnika, dyżurującego w małym pokoiku obok gabinetu rzeczoznawcy, czy pan Nowicki jest u siebie. Otrzymali odpowiedź twierdzącą. Weszli. Zastali Andrzeja Nowickiego przy stole, przy którym zawsze pracował. Jak zwykle zostawili mu klejnoty i wrócili do skarbcza, by oczekiwać ma telefoniczne wezwanie Nowickiego, że mogą przyjść po już zbadaną biżuterię. I...



— I telefonu nie było? — spytał porucznik.

— Nie było... — z zakłopotaniem odpowiedział jeden z konwojentów. — O czwartej, gdy należało już zamykać skarbiec, kierownik sam zatelefonował na górę, do pana Nowickiego. Telefon odebrał strażnik, który powiedział, że pan Nowicki wyszedł już dosyć dawno. Wtedy właśnie kierownik skarbca razem z nami poszedł do pokoju pana Nowickiego, ale...

— Ale nie było ani jego, ani klejnotów?

Konwojent ponuro skinął głową:

— Tak jest, panie poruczniku!

Z tej strony wszystko zdawało się jasne. Porucznik udał się teraz do strażnika stale urzędującego obok gabinetu rzeczoznawcy. Strażnik oczekiwał przesłuchania. Służbiście zerwał się na widok oficera milicji.

Brodzki uśmiechnął się:

— Niech pan siada! Porozmawiamy.

Zadał pierwsze pytanie:

— Czy przypomina pan sobie dokładnie przebieg dnia dzisiejszego?

— Tak jest, panie poruczniku. Pan Nowicki przyszedł do pracy jak zawsze, to jest o dziewiątej rano. Siedział w swoim pokoju aż do południa. Potem wyszedł. Powiedział mi, że idzie do naczelnego dyrektora na konferencję.

— Nie przypomina pan sobie dokładnej godziny?

Strażnik zastanowił się.

— Musiało to być niedługo przed dwunastą, bo zaraz potem usłyszałem radiowy hejnał. Tu na rogu ulicy, zaraz obok, jest takie głośnie radio...

— Więc wyszedł przed dwunastą. Kiedy wrócił?

Strażnik frasobliwie podrapał się w głowę.

— Nawet mnie to trochę zdziwiło, że tak prędko. Bo zwyczajnie to konferencja u naczelnego trwa i trwa. A dziś pan Nowicki już po kwadransie był z powrotem. Tak, to chyba było po kwadransie... Pomyślałem, że pewnie się nie dogadali z tymi cudzoziemcami, którzy mieli sprzedać brylanty...

— Aha. Więc pana zdziwił ten szybki powrót Nowickiego?

Strażnik niespokojnie poruszył się na krześle.

— Ale ja przecież, panie poruczniku, nic złego nie myślałem.

Oficer skinął głową.

— Oczywiście. Oczywiście. A co było dalej?

— Ano, przyszli obaj konwojenci ze skarbca. Zapytali, czy pan Nowicki jest u siebie. Powiedziałem, że tak. To oni, jak zwykle, weszli i zostawili mu paczuszkę z biżuterią.

— I zaraz wyszli?

— Tak.

— A Nowicki?

— Wyszedł w parę minut po nich.

— Czy zdarzało się kiedykolwiek przedtem, żeby Nowicki wychodził z pracowni, gdy były w niej klejnoty?

Strażnik zamyślił się.

— Bywało, na przykład, że wyszedł na chwilę umyć ręce.

— Czy mówił panu coś przy takiej okazji?

— Przeważnie mówił: „Uważajcie, Matysiak, ja za chwilę wrócę”.

— A tym razem powiedział to samo czy coś podobnego?

— Nie... — z namysłem odrzekł strażnik. — Nie, nic nie powiedział. Byłem pewien, że zaraz przyjdzie z powrotem.

— Ale nie przyszedł. Czy nie zastanowiło to pana, że na tak długi czas zostawił klejnoty wyłącznie pod pańską opieką?

Strażnik uśmiechnął się z zażenowaniem:

— Panie poruczniku, powiem całą prawdę... Kiedy indziej to bym się denerwował, ale akurat czytałem taką sensacyjną książkę, że nawet nie spostrzegłem, jak mi ten czas zleciał.

— Czy po wyjściu Nowickiego wchodził pan albo zaglądał do jego pokoju?

— Nie. Nigdy tego nie robiłem. Zawsze tu sobie siedzę, obok drzwi. To jest przecież jedyne wejście do pracowni pana Andrzeja.

— Czy nikt nie przychodził tutaj? Nie wchodził do pracowni?

— Nie. Zresztą nikogo bym pod nieobecność pana Nowickiego do jego pokoju nie wpuścił. Od tego tu jestem. Aha, prawda, zajrzała maszynistka, że ma list do podpisu. Powiedziałem, żeby mi zostawiła. O, tutaj leży...

— Były jakieś telefony?

— No... był właśnie ten jeden. Kierownik skarbcza pytał, czy pan Nowicki skończył już badanie klejnotów, bo czas zamykać skarbiec. Całkiem zdębiałem, nie myślałem wcale, że to już czwarta. Wtedy dopiero bardzo się zaniepokoiłem i powiedziałem kierownikowi, że pan Nowicki dawno wyszedł i jeszcze nie wrócił.

— A co na to kierownik?

— Przestraszył się. Zaraz przyleciał tutaj razem z konwojentami. Kazał mi razem z nimi wejść do pracowni. Lupy, narzędzia, wszystko leżało na swoim miejscu. Leży jeszcze. Tylko klejnotów nie było!

— Coście wtedy zrobili?

— Kierownik skarbcza zaraz zatelefonował do naczelnego dyrektora. Sekretarka powiedziała, że wyszedł razem z cudzoziemcami i z panem Nowickim.

— Z panem Nowickim?

— Tak. Wtedy kierownik bardzo się zdenerwował i zadzwonił na milicję.

— Dobrze. Na razie to wszystko. Ale proszę jeszcze nie wychodzić.

— Tak jest, panie poruczniku.

Teraz porucznik Brodzki zszedł na parter, gdzie przy drzwiach wejściowych stale dyżurował portier. Portier zeznał, że widział Andrzeja Nowickiego wychodzącego z centrali „Jubiler” w południe. Dodał, że musiało to być po dwunastej, ponieważ przedtem słyszał radiowy sygnał czasu.

— Czy Nowicki wychodził sam? — próbował ustalić oficer.

— Tak, najpierw wyszedł sam, a potem, była może jakaś godzina druga, wyszedł znowu razem z naczelnym dyrektorem i z zagranicznymi gośćmi.

— To znaczy — precyzował Brodzki — że wyszedł z gmachu około godziny dwunastej, następnie wrócił i ponownie wyszedł. Czy widział go pan wracającego?

Woźny był wyraźnie zakłopotany.

— Właśnie, że nie widziałem, panie poruczniku, a przecież przez cały czas kołkiem siedziałem przy drzwiach. Jakim go drugi raz zobaczył z dyrektorem, to się nawet zdziwiłem, skąd on się tutaj znowu wziął.

— Czy jest jeszcze jakieś inne wejście do budynku?

— Nie, panie poruczniku, są tylko te jedne drzwi i ja zawsze przy nich jestem.

— Może pan odszedł na moment? Z kimś pan rozmawiał?

— Nie. Czasem to się zdarza, ale dziś krokiem się nie ruszyłem. W te dni, kiedy są cudzoziemcy, to człowiek specjalnie na wszystko uważa.

— Faktem jest, że jednak nie zauważył pan powrotu Nowickiego.

Portier bezradnie rozłożył ręce.

— Sam tego nie rozumiem! Bywają takie dni jak w ukropie. Interesanci, personel, latają, kręcą się wte i we wte. Wtedy łatwo kogoś przeoczyć. Ale akurat dziś było spokojnie. Wszystkiego może z dziesięciu klientów od rana do czwartej...

Milicjant przybiegł do porucznika prosząc go do telefonu. Dzwonił sierżant, który

otrzymał polecenie odszukania naczelnego dyrektora oraz ustalenie, czy Andrzej Nowicki wrócił do siebie, do domu.

— Dzwonię z „Bristolu” — meldował sierżant. — Ani dyrektor, ani Nowicki nie byli w domu, tylko od razu z biura przyszli tutaj, na obiad z cudzoziemcami. W tej chwili są na sali.

— Zostańcie tam, póki nie przyjadę. Zaraz będę. Gdyby który z nich chciał wyjść, poproście, żeby poczekali.

Brodzki odłożył słuchawkę. Wydał polecenia agentom pozostającym w gmachu „Jubilerów”, po czym pojechał do „Bristolu”. W hallu spotkał go sierżant.

— O, tam siedzą, obywatelu poruczniku. Przy tym stoliku pod oknem.

Porucznik napisał parę słów na kartce i polecił kelnerowi doręczyć ją naczelnemu dyrektorowi „Jubilerów”.

— Który to jest Nowicki? — zapytał sierżanta, podczas gdy kelner kluczył już między stolikami.

— Ten młody blondyn, co siedzi między tym wysokim chudym a tą brunetką — informował sierżant.

— Uważajcie na niego, gdy ja będę rozmawiał z dyrektorem — polecił porucznik.

Za chwilę pojawił się dyrektor. Był w doskonałym humorze, zdziwiony tylko, że milicja ma do niego interes.

— Widać coś pilnego, jeżeli pan mnie aż tutaj odnalazł.

— Nawet bardzo! Usiądźmy sobie na chwilę. Tu, w hallu.

— Co się stało? — dyrektor od razu stracił swój dobry humor. Głos porucznika Brodzkiego nie wróżył przyjemnych nowin. Usiedli w głębokich klubowych fotelach.

— Pan jest teraz w towarzystwie cudzoziemców, którzy mają sprzedać „Jubilerowi” brylanty? Czy tak?

— Tak. — Dyrektor poruszył się niespokojnie.

— I z Andrzejem Nowickim, waszym rzeczoznawcą.

Dyrektor skinął głową.

— Ta pani?

— Małgorzata Bartelska, kierownik naszego działu sprzedaży. Ale proszę mi wreszcie powiedzieć...

— Chodzi o to — spokojnie wyjaśnił Brodzki — że brylanty zdeponowane przez cudzoziemców w pańskim skarbcu — zniknęły!

Dyrektor poderwał się z fotela.

— Nie! Pan żartuje!

— Ładne żarty — porucznik przytrzymał go za rękę. — To nie są żarty i proszę spokojnie, by nie zwracać na nas uwagi.

— Jezus Maria! — dyrektor nie mógł się uspokoić. — To niemożliwe! Po prostu niemożliwe!

Był tak wstrząśnięty, że nie mógł się przez chwilę zdobyć na nic innego, jak powtarzanie tego jednego słowa: „Niemożliwe, niemożliwe”.

— Jednak brylantów nie ma — porucznik stwierdził to dobitnie.

Dyrektor wytarł czoło chusteczką.

— Ale kiedy się to mogło stać? Wyszliśmy z biura około drugiej i wszystko było w porządku...

— Niezupełnie. O drugiej brylantów już w skarbcu nie było. Punktualnie o dwunastej przyszedł do kierownika skarbcza Andrzej Nowicki i zażądał, by brylanty przysłano mu do pracowni celem zbadania...

— Panie poruczniku, to niemożliwe! — Dyrektor poderwał się po raz drugi. — O wpół do dwunastej wezwałem do siebie Andrzeja Nowickiego. Pamiętam zupełnie dokładnie. O dwunastej byłem umówiony z tymi panami — głową pokazał na salę restauracyjną — a

przedtem chciałem się z Nowickim naradzić. Kolega Nowicki nie mógł być o dwunastej w skarbcu, gdyż cały czas siedział ze mną, w moim gabinecie. Nie wychodził ani na moment. Razem z gośćmi i koleżanką Bartelską wyszliśmy o drugiej, przyjechalśmy do „Bristolu” i cały czas jesteśmy tu razem. Naprawdę...

Porucznik zastanawiał się chwilę.

— A jednak... a jednak — powoli powtórzył swe poprzednie twierdzenie — nie ulega wątpliwości, że Andrzej Nowicki zażądał przysłania sobie brylantów.

— Nie ulega również wątpliwości — przerwał dyrektor — że cały ten czas przebywaliśmy razem. Godziny może pan sprawdzić u mojej sekretarki. Wiem doskonale, że Nowicki przyszedł o wpół do dwunastej i już nie wychodził. On nigdy nie wychodził przed końcem każdorazowej rozmowy. Bardzo akuratywny, solidny, wyjątkowo rzetelny pracownik. Zagraniczna szkoła.

— Zagraniczna?

— Rok specjalizacji w Amsterdamie, po studiach handlowych w kraju. Andrzej Nowicki jest synem profesora Nowickiego, tego wybitnego specjalisty od budowy okrętów. Pan słyszał o nim?

Brodzki skinął głową.

— Panie dyrektorze, od jak dawna zna pan kierownika skarbcza?

— O! Przed wojną rozpoczynałem praktykę w zawodzie pod jego właśnie kierunkiem. Ze dwadzieścia pięć lat już współpracujemy ze sobą.

— Ma pan do niego pełne zaufanie?

— Jak do samego siebie! — gorąco zapewnił dyrektor. — Może nawet bardziej niż do siebie. Kryształ, nie człowiek!

— Myślę — powoli rzekł porucznik — że nie jest to człowiek zdolny do kłamstwa.

— On? Prędzej by umarł, niż skłamał.

Porucznik z lekka chrząknął.

— A właśnie ten kryształowy, niezdolny do kłamstwa człowiek kategorycznie twierdzi, że punktualnie o godzinie dwunastej, proszę zwrócić uwagę na godzinę, Andrzej Nowicki przyszedł do skarbcza żądając przysłania brylantów do swego gabinetu. Konwojenci mu je zanieśli. Ich zeznania potwierdzają zeznania kierownika skarbcza i zgadzają się z zeznaniami strażnika dyżurującego przed gabinetem waszego rzeczoznawcy. Następnie widziano Nowickiego wychodzącego z gmachu nieco po dwunastej.

Dyrektor był blady.

— Nie rozumiem. Nic nie rozumiem. W głowie mi się mąci. Mogę przysiąc, że w chwili gdy radio za oknem zaczęło hałaśliwie nadawać sygnał czasu i hejnał, obaj z Nowickim wstaliśmy równocześnie z krzeseł, by przymknąć okno, bo trudno było rozmawiać. Przecież ten człowiek nie mógł być równocześnie w dwóch miejscach.

Jeszcze raz wyjął chusteczkę z kieszeni i przetarł zroszone czoło. Obaj milczeli. Po chwili zaczął znowu dyrektor.

— Panie poruczniku, a co się stanie, jak się tamci o tym dowiedzą? Nam na nich bardzo zależy. To ma być pierwsza transakcja tego typu. Panowie musicie znaleźć te kamienie — zakończył błagalnie.

— Jeżeli panowie nam pomożecie...

— Tylko, panie poruczniku — dyrektor nie zwrócił uwagi na słowa oficera — tylko, panie poruczniku, błagam o dyskrecję! Żeby się tamci nie dowiedzieli! Taki skandal! Taki skandal!

— Dyskrecja za dyskrecją. Pan teraz wróci do stolika, będzie się pan zachowywał najspokojniej w świecie. Ani słowa o naszej rozmowie. Nikomu! Ani Bartelskiej, ani Nowickiemu. Potem odprowadzicie swych gości do numeru. Oni, zdaje się, tutaj mieszkają. A ja już będę obok.

\* \* \*

— Więc pan twierdzi kategorycznie, że o wpół do dwunastej już pan siedział tutaj razem z naczelnym dyrektorem?

Andrzej Nowicki podniósł zmęczone oczy.

— Tak. Twierdziłem tak i twierdzić będę. Bo to jest prawda, panie poruczniku.

Rozmawiali — jeżeli to można było nazwać rozmową — już dłuższy czas. Ledwo towarzystwo pożegnało w „Bristolu” gości zagranicznych, pojawił się porucznik, odwołał Nowickiego i zakomunikował mu o zniknięciu brylantów. Przeprowadzona rewizja nie dała wyników. Dalszy ciąg wstępnego śledztwa toczył się znowu w gmachu „Jubitera”. Dyrektor oddał do dyspozycji Brodzkiego swój gabinet. W badaniach stale wracał ten sam motyw: ustalenie czasu. Porucznik skonfrontował już zeznania dyrektora z zeznaniami Nowickiego, Małgorzaty Bartelskiej i sekretarki dyrekcji. Wszystkie były zgodne. Teraz znowu wrócił do Nowickiego, którego osoba była lub wydawała się być w tej całej sprawie najważniejsza.

Brodzki powtarzał swe pytania i bacznie obserwował odpowiadającego. „Zdecydowanie sympatyczny! — pomyślał. — Odrzucone z czoła jasne włosy, szczerą twarz, uczciwe oczy, prostota i swoboda w sposobie udzielania odpowiedzi mącone zdenerwowaniem, łatwo zrozumiałym w tej sytuacji”.

— Do skarbcza w ogóle pan dziś nie wchodził?

— Nie.

Porucznik nacisnął guzik dzwonka. Zameldował się sierżant.

— Proszę przyprowadzić kierownika skarbcza.

Na twarzy Andrzeja Nowickiego porucznik nie pochwycił nawet najlżejszego drgnienia czy jakiegokolwiek zmiany wyrazu.

Kierownik skarbcza trząsał się ze zdenerwowania, wyczerpany długim czekaniem. Nikt z badanych nie mógł iść do domu.

— Czy pan Nowicki był dziś w skarbcu żądając przysłania brylantów do pracowni?

— Był — padła odpowiedź cicha, ale stanowcza.

Nowicki poderwał się.

— Ależ to niemożliwe! Dziś w ogóle nie byłem w skarbcu.

Odwracając oczy od Nowickiego kierownik powtórzył:

— Pan był! O godzinie punkt dwunasta!

Nowicki, czerwony na twarzy, zerwał się z krzesła i stanął przed kierownikiem.

— Proszę to powtórzyć patrząc mi prosto w twarz!

Staruszek utkwiał swe spłowiałe, bladoniebieskie oczy w Andrzeju. Zdenerwowany, zaczął się jąkać i zacinać:

— Ja... ja... ufałem panu, wierzyłem... — głos mu się łamał. — Ja... lubiłem pana... — głos jego zaczął przybierać na sile. Oskarżycielskim ruchem wyciągnął rękę w stronę Nowickiego. — Ale nawet gdyby mój rodzony syn kłamał, to bym go nie krył. I panu mówię to w oczy! Prosto w oczy!

— Pan się myli! Pan się zupełnie myli! Nie byłem dziś w skarbcu. Pan mi robi krzywdę. — Nowicki z trudem panował nad sobą.

— Przysięgam, że był, że kazał zanieść brylanty do pracowni — staruszek drżącym głosem zwrócił się już wprost do porucznika.

— Dziękuję panu — odezwał się Brodzki. Kierownik potykając się wyszedł z gabinetu.

Zapadła zupełna cisza. Tym głośniejszy tykał ścienny zegar.

— I cóż pan na to? — zapytał Brodzki.

Nowicki bezradnie rozłożył ręce.

— Przykro i ciężko powiedzieć, ale... to bardzo już stary człowiek. Nie wiem... może skleroza...

— Hm!... Zapali pan?

Nowicki lekko trzęsącą się dłonią wziął papierosa. Głęboko zaciągnął się dymem.

— Więc pan od wpół do dwunastej nie wychodził z tego gabinetu? Nie wracał wcale do swojej pracowni?

— Nie.

Brodzki wezwał strażnika. W korytarzu rozległy się jego ciężkie kroki. Powtórzył poprzednie zeznanie. Andrzej Nowicki wyszedł z pracowni przed dwunastą, powiedział, że idzie na konferencję do dyrektora, następnie, ku zdumieniu strażnika, wrócił po mniej więcej kwadransie.

— Nieprawda! Nieprawda! — gwałtownie przerwał Nowicki.

Brodzki ruchem ręki polecił spokój. Nowicki zagryzł wargi. I milczał przez cały ciąg obciążających go zeznań strażnika, obu konwojentów i portiera. Na konfrontujące pytania Brodzkiego odpowiadał tylko przeczącym ruchem głowy. Ten oskarżony człowiek budził w poruczniku coraz większą ciekawość. Gdy skończyły się konfrontacje i zostali sami, oficer rzekł:

— I cóż pan t e r a z powie? Trudno chyba tych wszystkich ludzi posądzić o sklerozę.

Andrzej szepnął jakieś słowo — wargi poruszyły się bezgłośnie. Brodzki nic jednak nie usłyszał. Nowicki był błądy. Pod oczami zarysowały się sine podkwy. Jakby nagle postarzał w ciągu badania.

— Niech pan mi powie, czy nikt z tych ludzi nie ma powodu do jakiejś w stosunku do pana wrogości?

Andrzej zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie miał pan tutaj, w „Jubilerze”, żadnych zatargów? Żadnych nieporozumień?

— Nie — odpowiedział Nowicki zmatowiałym głosem. — Ze wszystkimi jestem w dobrych stosunkach. Lubię swoich współpracowników. Jestem nawet z nimi zżyty. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że oni mogą...

Urwał, ręką przesunął po czole gestem wielkiego znużenia. Raptem pochylił się ku oficerowi, spojrział mu z bliska prosto w twarz:

— Ja n a p r a w d ę dziś w skarbcu nie byłem. Może mi pan ufać i wierzyć, panie poruczniku.

Brodzki uśmiechnął się.

— Niestety! W tej sytuacji moim obowiązkiem jest nie wierzyć nikomu.

— W takim razie... — Nowicki wyciągnął złożone dłonie, jakby prosił o nałożenie kajdanków. Brodzki machnął ręką:

— Na to zawsze jest jeszcze czas — powiedział w zamyśleniu.

\* \* \*

Dopiero późnym wieczorem porucznik Brodzki wrócił do swojego gabinetu w kominde MO. Przyrzucił sobie filiżankę kawy i opadł zmęczony na ciasny, niewygodny fotelik służbowy.

„W gabinecie dyrektora «Jubilera» fotel był stokroć wygodniejszy” — pomyślał, choć w tej chwili wolał nie być w skórze dyrektora tego przedsiębiorstwa. Sprawa była diabło zawiła. Nieprzyjemna. Nowicki?... — Zapalając papierosa jednego po drugim porucznik analizował dotychczasowy przebieg śledztwa. Sitwa? Tak, ale kto wchodzi w jej skład? Zmowa? Tak, ale czyja i przeciw komu?

Wziął kartkę czystego papieru, na dwie połowy przedzielił ją linią. Po stronie lewej kolejno wpisał: kierownika skarbcu, strażnika, obu konwojentów, portiera. Po stronie prawej, również kolejno: Nowickiego, dyrektora, Bartelską, sekretarkę, szatniarza i kelnerów z „Bristolu”. Po chwili namysłu po tej stronie kartki powtórnie zanotował portiera, który dwa

razy widział Nowickiego — raz, zgodnie z zeznaniami ludzi umieszczonych po lewej stronie kartki, drugi raz — zgodnie ze słowami osób znajdujących się po prawej stronie kartki. Jeżeli dwie grupy ludzi mówią rzeczy wykluczające się nawzajem — to znaczy, że jedna z tych grup kłamie. Która?

Porucznik kartkował życiorysy, karty personalne pracowników „Jubilerów”. To nie był zawód, przez który przechodzi się niepokalaną stopą. Klejnoty i dolary. Dolary i klejnoty. Ale czy z tego wolno było wyciągać zbyt pochopne wnioski? Życiorysy dwóch ludzi były naprawdę jasne i nie zawierały nic dwuznacznego: Nowickiego i kierownika skarbcza. Porucznik stał przed ślepym murem. Nie pozostawało nic innego, jak zabrać się do dokładnej analizy człowieka, o którego w tej chwili głównie chodziło: Andrzeja Nowickiego, syna wybitnego uczonego.

Brodzki coś sobie przypomniał. Nakręcił numer na telefonicznej tarczy. Odezwała się centrala.

— Czy doktor Arski jest jeszcze w gmachu? Tak. Proszę mnie z nim połączyć.

— ...

— Jeszcze przy pracy, doktorze? Znajdzie pan dla mnie chwilę czasu?

— ...

— Nie. Tym razem żadne morderstwo. Chodzi mi o pewne informacje.

— ...

— Doskonale. Będę u pana za pięć minut.

\* \* \*

Zza biurka wyszedł naprzeciw porucznika Brodzkiego mężczyzna zupełnie siwy, o wielkich czarnych oczach. Blask oczu i żywość ruchów kontrastowały z białością włosów i policzkami głęboko już pobrużdżonymi. Doktor Arski przyjaźnie przywitał oficera:

— Proszę, proszę, ten fotel jest wygodniejszy niż krzesło!

— Ciągłe nad sprawą tej kobiety z Muranowa? — zagadnął oficer.

— Tak. Bardzo zagmatwana historia. Ale mniejsza z tym. Cóż pana w moje progi o takiej porze sprowadza? Nowa zagadka psychologiczna?

— Coś w tym rodzaju. Może rzeczywiście coś w tym rodzaju... — na sekundę Brodzki zamyślił się, jakby słowa Arskiego podsunęły mu nową koncepcję. Ale zaraz postawił pytanie, z którym tu przyszedł:

— Pan, panie doktorze, dobrze zna profesora Nowickiego, prawda?

— Czy dobrze? Doskonale! Od lat! Przecież to on mnie tu do was protegował, kiedy po powrocie z obozu szukałem jakiejś pracy.

— Ano, właśnie dlatego przyszedłem. Oczywiście zna pan też i jego syna?

— Syna? — w głosie doktora zabrzmiał ton zaskoczenia lub zdziwienia.

— Tak, syna.

— Andrzeja?

— Czy profesor Nowicki ma jeszcze drugiego syna?

— Nie. Skąd! — zaprzeczył doktor. — Ale dlaczego pan pyta o Andrzeja?

I znowu w tonie głosu lekarza zabrzmiała nuta, która uderzyła oficera. Czyżby niepokój?

— Czy pan doktor wie, gdzie on pracuje?

Napięcie starego lekarza jakby zelzało. Odpowiedział już teraz zupełnie swobodnie:

— Oczywiście! W centrali zagranicznego handlu kosztownościami. W „Jubilerze”. To bardzo zdolny, bardzo sumienny chłopak. Ba! dziś już mężczyzna.

— Pan zna go od jak dawna?

Arski westchnął.

— Od jak dawna? Od jego urodzenia. Trzydzieści lat bez mała...

Urwał rozpoczęte zdanie. Patrzył na porucznika jakby go nie widząc. Żrenice doktora Arskiego rozszerzały się coraz bardziej, aż oczy stały się zupełnie czarne, puste, przejrzyste. Trwał tak nieruchomy, milczący, nieobecny. Wszyscy w komendzie dobrze znali te — jak określano — „transy” doktora. Trwały one zazwyczaj parę minut, po czym Arski wracał z jakiejś sobie tylko znanej oddali. Dla świadka nie było to przyjemne: jest człowiek, a jakby go nie było! Porucznik odczuł niepokój, ale nie mógł oderwać wzroku od dalekich, niewidzących oczu doktora. Chrząknął, poruszył się na krześle. Lekarz siedział jednak nieruchomo, bez drgnienia. Brodzki wiedział, że te nagłe „odejścia” są rezultatem szoków doznanych przez doktora w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. O transach tych uprzedzał profesor Nowicki, gdy przed laty protegował do pracy w milicji swego przyjaciela. Sam doktor o tym nigdy z nikim nie mówił. Porucznik zastanawiał się kiedyś w gronie kolegów, czy Arski w ogóle zdaje sobie sprawę z tych swoich „zapaści”. Porucznik odetchnął z ulgą, gdy spostrzegł, że doktor „wraca”. Oczy powoli zatracaly wyraz nieobecności, stawały się normalne, żywe i patrzące bystro.

— Tak... — Arski poruszył się, przesunął dłonią po czole. — Co ja miałem panu powiedzieć?

— Mówiliśmy o Andrzeju Nowickim — skwapliwie podpowiedział Brodzki.

— Aha, właśnie! — ożywił się lekarz. — Czemu pan właściwie o niego pyta?

Brodzki poczęstował doktora papierosem. Obaj zapalili. Porucznik ociągał się z wyjaśnieniem.

— Widzi pan — zaczął z wolna — dziś w południe w tej jubilerskiej centrali popełniono wielką kradzież. Bardzo zuchwałą. Nad wyraz zuchwałą.

— Nie sądzi pan przecież, by Andrzej mógł mieć z tym cokolwiek wspólnego! — Arski zmarszczył brwi.

Brodzki wzruszył ramionami.

— Na razie nic nie mogę sądzić, tak ani inaczej. W każdym razie rola pana Nowickiego jest w tej sprawie dostatecznie, wyrażając się oględnie, dwuznaczna, abym...

Doktor przerwał gwałtownie. Krew napłynęła mu do twarzy.

— Absurd! — krzyknął. — Nigdy! słyszy pan, poruczniku, Andrzej nie mógł popełnić przestępstwa. To jest niemożliwe, kłamstwo, nieprawda!

Wzburzony był. Trzęsły mu się ręce. Brodzki śpieszył go uspokoić:

— Pan mi nie pozwolił dokończyć. Zwracam się do pana jako do starego przyjaciela państwa Nowickich. Muszę zaznaczyć, że na mnie osobiście Andrzej Nowicki wywarł wrażenie jak najbardziej dodatnie. Bezpośredni, prosty, powiedziałbym nawet szlachetny, a ja się na ludziach, doktorze, znam.

— Dobrze pan to zauważył. Andrzej niewątpliwie jest właśnie s z l a c h e t n y — Arski uspokajał się powoli.

— Ba! — Brodzki lekko westchnął — ale pan wie równie dobrze jak ja, że czasem okoliczności przemawiają przeciw ludziom najuczciwszym. W tym właśnie wypadku splot okoliczności jest wyjątkowo fatalny dla Nowickiego. Właśnie dlatego, że pan zna go tak dobrze, może pan pomóc w wyjaśnieniu, rozplątaniu tej trudnej sprawy.

— Jestem do dyspozycji, poruczniku.

Porucznik przez chwilę milczał. Analizował to, co w tej rozmowie usłyszał: Arski święcie wierzył w niewinność Andrzeja — jest do niego bardzo przywiązany, oburzenie było niewątpliwie szczere — ale skąd ten niepokój, wyraźny przy pierwszym pytaniu. W tym wszystkim kryje się jakiś podtekst. Jaki?

Głośno powiedział:

— Andrzej Nowicki studiował zdaje się za granicą w Amsterdamie?

Lekarz skinął głową.



— Biorąc rzecz ściśle, tylko się tam specjalizował. Ukończył szkołę handlu zagranicznego w Warszawie, ale ponieważ u nas dziedzina jubilerska jest bardzo słaba i skromna, paru absolwentów, między nimi Andrzeja, wysłano do Amsterdamu. Po rocznym pobycie, w 1950 r. otrzymał pracę w „Jubilerze”. Wkrótce awansował na rzeczoznawcę. Praca jego zawsze była bardzo wysoko ceniona.

Porucznik bębnił palcami po stole.

— Czy Andrzej ma jakieś specjalne zainteresowania poza swoim zawodem? Namiętności czy nałogi? Powiedzmy: karty, wyścigi, kobiety?

Doktor potrząsnął przecząco głową.

— Wiem, do czego pan zmierza. Nie. On właściwie w pełni wyżywa się w swoim zawodzie. Jego stosunek do drogich kamieni przypomina stosunek historyka sztuki do antyków i dzieł starych mistrzów. Nie ma w tym pragnienia posiadania na własność. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Rozumiem. Proszę mówić dalej, doktorze.

— Andrzej to właściwie typ naukowca, badacza. Złożyło się, że przedmiotem jego badań są klejnoty, ale mogłyby być, świetnie to sobie wyobrażam, zwyczajne kamienie, rośliny, ptaki, palimpsesty.

Doktor Arski wstał i podniecony zaczął przemierzać swój gabinet. Po paru krokach stanął obok siedzącego oficera i mówił dalej:

— To nie jest człowiek, którego jakiegokolwiek przyczyny mogłyby skłonić do popełnienia tego rodzaju przestępstwa. Jestem, jak pan widzi, zupełnie szczerzy. Mówię wyraźnie: „tego rodzaju” przestępstwa... Bo na przykład...

Urwał, ruszył w milczącą wędrowkę po pokoju, znowu przystanął przed porucznikiem:

— Gdyby pan przyszedł do mnie i powiedział, że Andrzej w afekcie zabił człowieka, pomyślałbym: „Może!” Przypominam sobie fakty, których byłem świadkiem...

Widząc niespokojne poruszenie porucznika roześmiał się.

— Nie, nie fakty zabójstwa! Andrzej nikogo nie zabił. Ale niech pan posłucha. Pewnego dnia, w czasie okupacji, szliśmy razem ulicą. Chłopak miał wtedy szesnaście czy siedemnaście lat. Raptem jakieś zbiegowisko, słychać jęki, niemieckie przekleństwa. Pijany żandarm katował leżącego na ziemi mężczyznę. Kopał go i bił ręką i rewolwerem. Ludzie patrzyli ze zgrozą, jakaś kobieta jęczała. Ale nikt nie reagował czynnie. Nagle Andrzej bez słowa przedarł się przez tłum i rzucił się na żandarma. Rozumie pan? Szesnastoletni szczeniak, z gołymi pięściami na uzbrojonego szkopa! Co?

Arski zamilkł na chwilę. Porucznik pokręcił głową:

— Dzielny chłopak. A jak się to skończyło?

— Na szczęście żandarm był załany w sztok. Zaskoczył go nieoczekiwany napad. Uderzył kolbą Andrzeja, który zatoczył się i wpadł między ludzi. Tłum wepchnął nas do sąsiedniej bramy i zdołaliśmy uciec. Zresztą nie chodzi o finał tej historii. Podaję tylko przykład odruchów typowych dla Andrzeja. Kiedy indziej, też w mojej obecności, uderzył człowieka, który znęcał się nad dzieckiem. Wielka wrażliwość na cudzą krzywdę, bardzo wielka.

Arski znowu umilkł. Porucznik nie stawiał żadnych pytań. Doktor zapalił nowego papierosa i podjął:

— On nie mógł ukraść klejnotów. Psychologiczne nieprawdopodobieństwo, poruczniku. Zresztą — jakie motywy? Nowiccy są ludźmi dość zamożnymi. Andrzej nie ma żadnych namiętności w rodzaju kart czy wyścigów, o które pan pytał. Wyjątkowo opanowany, wyjątkowo spokojny młody człowiek. Więc co mogłoby go skłonić do kradzieży? Co?

Teraz z kolei doktor pytał porucznika.

Ale Brodzki milczał. Przychodząc do doktora Arskiego miał zamiar nie tylko dowiedzieć się czegoś o Andrzeju Nowickim, nie tylko chciał zadawać pytania. Zamierzał również opowiedzieć doktorowi o dotychczasowych rezultatach śledztwa. Cenił inteligencję Arskiego,

znał jego pasję do rozwiązywania psychologicznych zagadek. Nieraz zasięgał rady doktora lub korzystał z jego pomocy. Ciekawe było zresztą, iż przedwojenną specjalnością Arskiego była ginekologia. Dopiero w 1946 roku zajął się medycyną sądową, w krótkim stosunkowo czasie zdobywając sobie uznanie. Nie ograniczał się tylko do wypełniania swych medycznych funkcji; z amatorstwa pomagał w rozwiązywaniu niektórych problemów. Być może, że i w sprawie „Jubilera” byłby wymarzoną doradcą, gdyby... gdyby nie dwa hamulce, które w tej chwili powstrzymały porucznika przed wprowadzeniem Arskiego w tok śledztwa. Jeden z nich to widoczne dla każdego uczucie, jakim Arski darzył Andrzeja Nowickiego, które — rzecz jasna — pozbawiało go niezbędnej bezstronności. Drugi — mniej uchwytny, ale równie istotny — ów wyraźny niepokój, zmieszanie, jakie okazał lekarz słysząc pierwsze pytanie o Andrzeja.

Jakby odgadując tok myśli kolegi, doktor powiedział powoli i z pewnym ociąganiem:

— Nie wiem dotąd, w jaki sposób Andrzej wplątany jest w tę całą historię. Mówił pan o jakimś niefortunnym dla niego zbiegu okoliczności. Czy jednak wolno mi pytać o bliższe informacje, skoro zwrócił się pan do mnie nie jako do funkcjonariusza milicji, ale jako do przyjaciela rodziny Nowickich?

Porucznik poruszył się nerwowo. Sytuacja była dla niego nieprzyjemna.

— Kradzież nastąpiła dziś około południa. Zostałem o niej zawiadomiony o godzinie szesnastej. Teraz — spojrzawszy na zegarek — zbliża się jedenasta wieczór. Jasne jest, że przez tych kilka godzin niewiele mogłem zdziałać, niewiele się dowiedziałem. W tej chwili pracują technicy. Daktyloskopia i tak dalej. Przyznaję, iż szerzej wolałbym pomówić o tej sprawie z panem wtedy dopiero, gdy będę dysponować większym niż teraz materiałem.

Arski przenikliwie patrzył na mówiącego. Porucznik czuł, że doktor rozszyfrowuje powód jego oględności. Nie chciał jednak zawracać z raz obranej drogi. Wstał z krzesła, obciągnął marynarkę.

— Więc na razie bardzo dziękuję, doktorze. Będę z panem w stałym kontakcie. Liczę bardzo na pańską pomoc.

Arski potrząsając dłonią porucznika powiedział z naciskiem:

— Może pan na mnie liczyć. Właśnie w tej sprawie. I niech pan będzie przekonany: moje przywiązanie do Andrzeja bynajmniej mnie nie zaślepia. Ja go po prostu naprawdę bardzo dobrze znam, poruczniku!

\* \* \*

Brodzki wrócił do swego gabinetu. Noc zapowiadała się pracowicie. Jeszcze jedna kawa. Ledwo wypił łyk, zastukano do drzwi. Specjalista od daktyloskopii.

— Coś ciekawego? — spytał porucznik bez specjalnej nadziei na rewelacyjne odkrycia.

— W skarbcu są tylko ślady palców personelu upoważnionego do przebywania tam — brzmiał meldunek.

— Jasne — mruknął oficer.

— W gabinecie Nowickiego oczywiście masa jego śladów, na szkle biurka, na grzbietach książek, na telefonie. Są również świeże odciski palców kierownika skarbcza i obu konwojentów...

— Zgadza się — westchnął porucznik.

— Ale poza tym — daktyloskop zawiesił na chwilę głos robiąc efektowną pauzę — znaleźliśmy tam również świeżutkie odciski palców, nie należące do nikogo z personelu „Jubilera”.

— Co?! — krzyknął porucznik. — Co?! Kartotekę sprawdzaliście?

— W kartotece takich palców nie mamy. Ktoś nowy.

— Tego się nie spodziewałem. — Porucznik wstał i zaczął chodzić po pokoju. Mówił

raczej do siebie niż do kolegi: — Więc jednak! Tak, ten strażnik... Hm... strażnik skłamał. Może... nie! Chyba nie...

— Co mówicie? — spytał daktyloskop.

— Nic, nic — ocknął się porucznik — ja tylko myślę głośno. Niedobre przyzwyczajenie.

— Jestem jeszcze potrzebny?

— Nie, bardzo dziękuję, kolego. Zostawcie mi odblask tego zdjęcia.

Pierwszym odruchem Brodzkiego było zawiadomić doktora Arskiego o otrzymanej wiadomości. Już zgłosiła się centralka, gdy porucznik odłożył słuchawkę na widelki. Nie! Rozmowa z doktorem była taka dziwna. Nie należy go jeszcze wtajemniczać w szczegóły śledztwa.

Kończąc kawę Brodzki zastanawiał się nad tym, co ma teraz zrobić. W sąsiednim pokoju wiszący zegar zaczął powoli wybijać północ. Oficer uświadomił sobie, że według słów kierownika skarbcza, akurat przed dwunastu godzinami również dwanaście uderzeń towarzyszyło wizycie w skarbcu!

Sięgnął po kartkę papieru, na której miał wypisane nazwiska wszystkich zainteresowanych i badanych. Zastanowił się nad tym spisem.

\* \* \*

Nazajutrz aresztowano kierownika skarbcza, obu konwojentów i strażnika. Inni pracownicy „Jubitera”, wśród nich Andrzej Nowicki, zostali wzięci pod obserwację.

### III

*Warszawa, czwartek, 6 czerwca*

— Na sekundę wolno przeszkodzić? — Arski wsunął głowę do gabinetu porucznika Brodzkiego.

— Zawsze, doktorze! Proszę — oficer wciągnął gościa do pokoju. — Kawy?

— Chętnie. Neska? Za dużo pan jej pije. To widać.

— Co robić? Działa silniej niż zwyczajna.

Wskazał ręką na papiery zalegające biurko. Arski powstrzymał pytanie, czy to wszystko dotyczy sprawy „Jubitera”. Wziął popielniczkę pełną niedopałków, wyszedł na korytarz i oczyścił ją nad śmietniczką.

— Zatrzuwa się pan powoli, ale systematycznie — przestrzegł gospodarza wróciwszy do pokoju. — Za kilka lat będzie pan miał w płucach parę kilo smoły. Niedopałki są bardziej szkodliwe niż nawet samo palenie. A potem rak, jak amen w pacierzu.

— A pan nie pali? — uśmiechnął się porucznik.

— Palę, ale ja już jestem stary. Jedną nogą na tamtym świecie. Pan jest jeszcze młody. Zresztą napisane jest, że lekarz musi dbać o zdrowie innych, natomiast nigdzie nie jest napisane, że musi dbać o własne.

Obaj się roześmieli. Porucznik Brodzki dobrze wyczuwał życzliwość, jaką darzył go stary lekarz.

Ogarnęło go pragnienie podzielenia się z tym człowiekiem wszystkim, co dotychczas wiedział o sprawie Nowickiego. Z tym pragnieniem łączyło się wyrachowanie: śledztwo

posuwało się opornie, jeżeli w ogóle można było mówić o jakimkolwiek postępie; może by doktor coś pomógł. Arski jakby wyczuł tok myśli oficera, gdyż nieoczekiwanie od dysertacji na temat szkodliwości nikotyny i kofeiny przeskoczył do afery „Jubilerza”:

— Nie znam dotąd szczegółów tej sprawy. Wprawdzie rozmawiałem z Andrzejem, ale on tak jest zmęczony nerwowo, że w ogóle nie chce wdawać się w żadne opowiadania. Powiedział mi tylko, że to wszystko jest...

Zaterkotał telefon. Porucznik podniósł słuchawkę.

— Brodzki. Słucham.

— ...

— Ze mną? Dobrze. Proszę go wpuścić.

Odkładając słuchawkę objaśnił swego gościa:

— O wilku mowa! Za chwilę będzie tutaj Andrzej Nowicki.

Doktor westchnął. Uniósł się z krzesła.

— Nie będę wam przeszkadzał. Chciałem tylko panu powiedzieć, że Andrzej zdecydował podać się w „Jubilerze” do dymisji. Nie chce pracować tam, gdzie wokół niego wytworzono dwuznaczną sytuację.

Porucznik przytrzymał doktora za rękę. Chciał tych dwóch zobaczyć razem, równocześnie.

— Mnie pan przeszkadzać nie będzie, chyba że Nowicki zażąda rozmowy w cztery oczy. Na to jeszcze jest czas.

Arski zawahał się, lecz już pukano do drzwi.

Pierwsze spojrzenie Nowickiego padło na Arskiego. Zdziwienie połączone z radosnym uśmiechem ożywiło bladą, zmęczoną twarz młodego człowieka.

— O! Ty tutaj? Nie oczekiwałem.

— Sąsiedzkie odwiedziny. Razem z porucznikiem Brodzkim pracujemy w jednym gmachu — Arski obejmował Andrzeja za oba ramiona.

Brodzki zrazu niepostrzeżony przez przybysza, teraz wystąpił z powitaniem. Chciał, by wypadło możliwie najserdeczniej. Obecność Arskiego ułatwiała stworzenie nastroju bardziej towarzyskiego. Podsuwał krzesła, podawał papierosy i od razu szykował kawę.

— Przed chwilą wysłuchałem kazania o niezmiernej szkodliwości niedopałków i neski. Pan zapewne nieraz już to słyszał? — porucznik zwrócił się do Nowickiego.

— Odkąd tylko zacząłem palić papierosy i pić kawę — Andrzej uśmiechnął się z wyraźnym przymusem.

— I od tamtego czasu mimo wszystko pije pan stale, i teraz też się z nami napije. Dobrze? — Porucznik już rozstawił trzy filiżanki z gorącym specjałem. Zaczął opowiadać przy tym o różnych sposobach parzenia kawy, o słodczy kawy po turecku, o wygodzie płynącej z używania neski i zaraz rozmowę — dość jednostronnie prowadzoną — przerzucił na wiecznie aktualny temat: papierosy — fajka — cygara, w najmniejszym stopniu nie zrażając się raczej monosylabowymi komentarzami obu swych gości. Mówiąc to wszystko, częstując papierosami i dolewając kawy porucznik przyłapywał spojrzenia pełne troski i przywiązania, jakimi Arski raz po raz ogarniał Andrzeja. Nie! Dobrze jednak zrobił, że nie uległ nastrojowi chwili i zachował w stosunku do Arskiego dyskrecję. Doktor nie mógł w tym wypadku być bezstronnym doradcą!

Przez cały ten czas Andrzej był w rozmowie nieobecny, niemal się nie odzywał, coraz bardziej zdenerwowany. „Za chwilę będzie musiał powiedzieć, z czym przyszedł” — pomyślał Brodzki.

Istotnie, gdy gospodarz w swej gawędzie zrobił pauzę, by zapalić papierosa; Andrzej Nowicki odezwał się tonem bardzo poważnym, jak człowiek, który podjął jakąś ważną dla siebie decyzję:

— Panie poruczniku! Przyszedłem tutaj w specjalnym celu.

Porucznik odłożył nie zapalonego papierosa. Czas towarzyskiej gawędy minął. Spojrzał prosto w twarz Nowickiego.

— Słucham.

— Pragnę zameldować panu moją całkowitą gotowość do pełnej współpracy z milicją. Proszę mną dysponować według uznania. Zrobię wszystko, byle tylko odkryć tego, kto mnie tak strasznie skrzywdził.

Nowicki przerwał. Dyszał ciężko, jak po przebyciu trudnej drogi.

— Czy znaczy to, że pragnie mi pan coś bardzo specjalnego zakomunikować? — Porucznik uczynił w stronę doktora Arskiego gest bardzo jednoznaczny, choć delikatny i dyskretny. Przykro mu było, ale nie widział innego sposobu.

Arski uśmiechnął się z pełną zrozumienia aprobatą. W takich sprawach nie ma miejsca na towarzyskie ceregiele. Nim porucznik skończył mówić, doktor wysunął się na korytarz i z tamtej strony delikatnie zamknął drzwi od pokoju porucznika.

Zdołał tylko usłyszeć pierwsze słowa odpowiedzi Nowickiego:

— Specjalnego? Nie mam nic do dodania...

## IV

*Warszawa, poniedziałek, 10 czerwca*

Profesor Nowicki i doktor Arski, dwaj starsi panowie, powoli szli ulicą Filtrową przez jej najbardziej zieloną część, pełną obfitych drzew. Zachodziło słońce i chwiejące się gałęzie rzucały długie, skośne cienie. Obaj mężczyźni nie zwracali najmniejszej uwagi na zielone uroki Warszawy, całkowicie pochłonięci rozmową.

— Ta cała sprawa wykończyła go zupełnie. Boimy się z Gosią, że może go to wpędzić w chorobę albo... — profesor zawahał się i urwał.

— Albo? — pytająco podchwycił Arski.

Profesor desperacko machnął ręką.

— Może byłoby dobrze, żebyś ty sam z nim porozmawiał. Nie widziałeś go przecież od paru dni.

— Ostatni raz spotkałem go u nas w milicji u porucznika Brodzkiego.

— Właśnie! Gosia kazała mi sprowadzić ciebie, masz taki wpływ na chłopaka. Lekarz i milicjant równocześnie — może to najlepsze połączenie! Dogadaj się z nim jakoś. Bo z nami, to on już w ogóle nie chce mówić... — głos profesora drżał lekko.

Doktor Arski z boku, kątem oczu, spod siwiejących brwi, rzucił spojrzenie na przyjaciela. Próbował uspokajać:

— Nie dziw się. Taki szok każdego zetnie z nóg. A przy ogromnej wrażliwości Andrzeja...

— Nie dziwię się. Tylko jak mu pomóc? Gosia rozpacza, ale co my możemy zrobić?

— Ba! — mruknął posepnie doktor. — To jest najgorsze: patrzeć bezsilnie, kiedy ktoś najbliższy cierpi. Wiem o tym!

— Widzisz, przez pierwsze dni śledztwa Andrzej chodził jak struty, zdenerwowany był do ostatnich granic, ale nas przecież tak nie odpychał, nie odtrącał, jak ostatnio!

Arski spojrzał pytająco. Profesor potrząsnął głową.

— Zrobił się milczący, odpowiada monosylabami. Całymi dniami nic ma go w domu. Wychodzi wcześniej rano, wraca dopiero w nocy. Co on robi? Co się z nim dzieje?

Doktor, który w głębokim zamyśleniu słuchał słów przyjaciela, nagle się ożywił:

— Założyłbym się, że Andrzej usiłuje prowadzić śledztwo na własną rękę! Może porucznik dał mu jakieś zadanie? Przecież Andrzej proponował Brodzkiemu pomoc. Mówił ci o tym?

Profesor westchnął.

— Mówił, owszem. Ostrzegalem go, żeby się w coś złego nie wplątał. Ale, widzisz, nawet jeśli Andrzej usiłuje odkryć sprawcę kradzieży, wcale to nie tłumaczy zmiany w jego zachowaniu.

Arski rzekł uspokajająco:

— Od dawna już współpracuję z milicją i wiem, że są czasem okresy, kiedy najbliższym nawet ludziom nie wolno mówić o przebiegu śledztwa. Rozumiesz? Brodzki zapewne zażądał od Andrzeja zachowania ścisłej tajemnicy. To by wyjaśniało jego milczenie.

Profesor zaprzeczył.

— Nie, nie! Nie o to chodzi! Doskonale rozumiem, że o pewnych sprawach nie może teraz mówić. Rzecz polega na czym innym...

— Na czym?

Nowicki machnął ręką.

— Niby nic, a jednak to bardzo bolesne. Zwłaszcza dla Gosi. Pamiętasz ten nasz mały „rytuał rodzinny” na dobranoc?

Arski uśmiechnął się.

— Oczywiście! Ile razy żartowaliśmy z Andrzeja, że choć taki stary koń, nie zaśnie, zanim matka nie pocałuje go na dobranoc.

— No właśnie. A teraz, od paru dni, nawet nie zbliża się do Gosi wieczorem! Wraca bardzo późno, to prawda. Ale Gosia nie śpi, czeka. Światło się pali, drzwi są otwarte. A on mija te drzwi, idzie prosto do swego pokoju, bez jednego słowa, bez jednego gestu!

Głos mówiącego z lekka zadrżał. Profesor zamilkł. Po chwili zaczął znowu:

— Wczoraj też zjawił się dopiero po północy. Gdy posłyszałem zgrzyt klucza w zamku, wyszedłem do przedpokoju. Chciałem mu powiedzieć, żeby zajrzał choć na chwilę do matki, żeby nie robił jej tak wielkiej przykrości...

— I co? — spytał Arski.

— Nic! Spojrzał na mnie jakimś szklanym wzrokiem, mruknął coś w rodzaju, że czas iść do łóżka, odwrócił się plecami i zamknął za sobą drzwi. Nie ośmieliłem się w ogóle odezwać. Wróciłem do sypialni. Gosia płakała...

Przez dłuższy czas obaj szli pogrążeni w niewesołych rozmyślaniach. Wreszcie Nowicki odezwał się:

— Tak, aż dziwne, jak się zmienił. Nawet... No, ale to drobiazg.

— Czasem drobiazgi bywają bardzo istotne — zauważył Arski.

— Ach, to już z zupełnie innego zakresu. Wiesz, jak Andrzej przepada za słodyczami. Nawet tę codzienną owsiankę na śniadanie sobie słodzi.

Doktor skinął głową.

— Wiem, wiem! Zawsze podziwiałem, że można coś podobnego zjeść!

— No a tymczasem od paru dni zamiast cukru sypie sól. I to ile! Jak powiadam: głupstwo, nieważne. Ale...

Arski zastanowił się:

— Kto wie? Może jakieś reakcje żołądkowe, ze zdenerwowania. To się czasem zdarza. Chciałbym go zbadać.

— Zrób to, mój drogi. Tylko nic mu nie mów o naszej rozmowie.

— Oczywiście! — przytaknął doktor.

Otworzyła im drzwi matka Andrzeja, starsza, ale bardzo jeszcze piękna, siwa pani.

— Jak dobrze, że przyszedłeś! — zwróciła się do Arskiego. Wskazując drzwi pokoju

Andrzeja dodała ciszej:

— Przyszedł ten porucznik z milicji. Rozmawiają.

Doktor spostrzegł, że mimo troski o syna, mimo bladości zdradzającej bezsenność i zły stan nerwów, pani Nowicka usiłuje zachować spokój.

— Dzielnie się trzymasz, Gosiu! — rzekł z uznaniem. Kobieta westchnęła:

— Cóż mogę zrobić poza „trzymaniem się”? Jak mam pomóc chłopcu? Ach, jak mi ciężko!

W oczach jej ukazały się łzy. W tej samej chwili w przedpokoju rozległy się kroki. Pani Nowicka szybkim ruchem otarła powieki.

— Porucznik wyszedł od Andrzeja! — szepnęła.

Brodzki zastukał do uchylonych drzwi:

— Można?

Zobaczył Arskiego.

— Pan doktor tutaj? To bardzo dobrze!

Podszedł do lekarza i rzekł ściszonego głosem:

— Kto wie, czy panu Andrzejowi nie jest potrzebna lekarska porada. Obawiam się, że...

— Co? — zapytali wszyscy troje z przestachem.

Oficer rozłożył ręce:

— Czy ja wiem? Chyba nerwy! Jest bardzo nieswój. Zresztą sam pan zobaczy, doktorze.

Porucznik nie dopowiedział swych wrażeń do końca. Pożegnał się i wyszedł. Zastanawiał się, na czym polega zmiana, zaobserwowana przez niego w młodym Nowickim. Sam dobrze nie wiedział. Dopiero na ulicy zdał sobie sprawę z rzeczy na pozór zupełnie oczywistej: oczy Andrzeja Nowickiego utraciły swój szczery, otwarty wyraz, który tak ujął porucznika. Stały się posępne, unikające spojrzenia rozmówcy. Były to oczy człowieka, który coś ukrywa. I mówił inaczej: niechętnie, mrukliwie, ledwie odpowiadając na pytania. Tak, tajemnica Andrzeja Nowickiego ciągle była jeszcze tajemnicą!

\* \* \*

Gdy doktor Arski wszedł do pokoju Andrzeja, młody człowiek leżał na tapczanie. Uniósł się chcąc wstać.

— Leż sobie, leż! — powstrzymał go Arski przysuwając sobie krzesło. — Jak się czujesz?

— Tak sobie — mruknął Andrzej.

— Boli cię coś? Jak z sercem?

Nawykowym ruchem lekarza ujął przegub ręki Andrzeja. Młody człowiek westchnął niecierpliwie:

— Czy to konieczne?

— Nigdy nie zaszkodzi. Zmierzę ci tętno, potem ciśnienie...

— A dajcie mi... — wybuchnął Andrzej, ale spostrzegłszy zdumienie doktora nagle opamiętał się i podał lekarzowi rękę, którą już szarpnął do siebie. — Proszę, proszę...

Przymknął oczy i leżał nieruchomo. Doktor licząc puls przypatrywał się twarzy tak dobrze mu znanej. Pamiętał — po dziś dzień pamiętał — czerwoną, pomarszczoną buzię noworodka, potem twarzyczkę dziecka. Potem pierwszy delikatny zarost i chwilę, gdy po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że ma przed sobą twarz mężczyzny. Teraz, nagle, na tej spokojnej twarzy odkrył koło ust dwie cienkie bruzdy, których przedtem nie było lub ich nie dostrzegał. Nadawały one Andrzejowi nowy zupełnie dla niego wyraz cierpienia i — Arski jakby zawahał się przed tą konkluzją — cynizmu jednocześnie.

Andrzej uniósł powieki, lecz oczy jego natychmiast uciekły w bok pod badawczym

spojrzeniem doktora.

— Czy już?

— Masz trochę przyspieszone tętno, ale to przecież nic dziwnego. Jeżelibyś zdjął teraz koszulę, to bym cię zbadał.

Andrzej zerwał się z tapczanu.

— Naprawdę nic mi nie jest. Żadne badanie nie jest mi potrzebne. Proszę to zrozumieć!

Podszedł do okna i stanął przy nim plecami odwrócony do Arskiego. Lekarzowi zrobiło się przykro.

— Dobrze, dobrze, nie denerwuj się. Nie będę cię przecież badał wbrew twojej woli.

Andrzej nie odpowiadał, wpatrzony w ogród rozciągający się poza oknem. Arski przez dłuższą chwilę czekał ma jakieś słowo ze strony swego młodego przyjaciela. Wreszcie sam zaczął:

— Spotkałem porucznika Brodzkiego. Wychodził od ciebie. Czy miał jakieś nowe wiadomości?

— Nie. Nic nowego.

Znowu zapadła cisza. Andrzej nieruchomo tkwił przy oknie.

„A jednak — myślał Arski — coś musiało zajść! Andrzej istotnie zachowuje się inaczej niż zwykle. Ani cienia zwykłej serdeczności. Oszły, milczący, zniecierpliwiony. Wyraźnie chce, by rozmowa skończyła się jak najprędzej, by zostawić go samego.” Lecz Arski nie chciał dać tak łatwo za wygraną.

— Więc o co mu chodziło?

— Ciągle o to samo.

„To samo” — przed owym „to samo” Arski był bezradny. Jakoś niezręcznie było mu się przyznać do tego, że w rzeczywistości nie jest wtajemniczony w cały tok minionych wydarzeń. Nie wypadało mu pytać porucznika Brodzkiego ani rozpytywać w Komendzie. Nie wypadało jemu — współpracownikowi aparatu śledczego — wypytywać o to państwa Nowickich ani samego Andrzeja. Ten, jak wynikało z jego odpowiedzi, zakładał widać, że Arski zna szczegóły sprawy. Tym razem jednak doktor postanowił dowiedzieć się wszystkiego. Przez moment zastanowienia szukał najbardziej zręcznej formy. Znalazł wreszcie:

— Mój drogi! Dwie głowy to nic jedna, trzy — wymyślą więcej niż dwie. Szkoda, że nie ma Brodzkiego, ale może my dwaj razem potrafimy coś odkryć. Jeszcze raz uporządkujmy sobie wydarzenia tego fatalnego dnia.

— Po co? Nie wiem, co tu jest jeszcze do odkrywania — Andrzej odwrócił się od okna. — Cała prawa w gruncie rzeczy sprowadza się do tego, że widziano mnie tam, gdzie mnie nie było.

— Jak to?! Widziano cię tam, gdzie nie byłeś?! — osłupienie doktora zdradziło nieświadomość toku śledztwa.

— O, psiakrew! — zaklął Andrzej. I znowu zapadło między nimi milczenie.

— Więc? — natarł Arski. Nie miał nic już do maskowania, chciał tylko dowiedzieć się prawdy.

— O czym tu mówić? — głucho zapytał Andrzej.

— Widziano ciebie tam, gdzie nie byłeś?

Andrzej wzruszył ramionami:

— Konwojenci ciągle upierają się przy swoim, że byłem w skarbcu, a ja tymczasem siedziałem w gabinecie dyrektora...

— Widzieli cię tam i tu równocześnie? — Arski podszedł do Andrzeja i niemal konwulsyjnym ruchem chwycił go za rękę.

— Przecież to było wiadome od początku! — mruknął ponuro Nowicki.

Arski puścił jego ramię, opadł na fotel, ukrył twarz w dłoniach. Dopiero po chwili zaczął mówić cicho, choć w najwyższym podnieceniu:



— Mam pewne przypuszczenia... Rozumiem... Rozumiem już, o co chodzi. Więcej... Potrafię cię oczyścić z podejrzeń... Wiem, kto ukradł te brylanty! — Odjął dłonie od twarzy, podniósł się z fotela, jakby go ogarnęła fala nagłej energii.

— Wiem i znajduję, choćby się schował pod ziemię! — Twarz Arskiego pałała. — Tylko bądź dobrej myśli i weź się w garść! Może złodzieja nie złapię, ale ciebie oczyszczę na pewno.

Teraz chciał objąć tego chłopca gestem zwyczajnym w ich wieloletniej przyjaźni. Pełen nagle uświadomionej prawdy, Arski pragnął i Andrzeja też natchnąć własną wiarą. Położył mu rękę na ramieniu, lecz Andrzej stał nieruchomy, drewniany, ciągle obcy i ciągle niechętny. Gesty serdeczne stają się śmieszne, gdy nie są odwzajemnione. Arski poczuł niezręczność sytuacji.

Chwilę jeszcze stali naprzeciw siebie. Stary doktor wyszeptał w końcu:

— Niedługo będę mógł ci powiedzieć coś więcej. Do widzenia!

— Do widzenia! — usłyszał za sobą.

Wybiegł.

Z przedpokoju zajrzał do Nowickich. Przez drzwi rzucił im tylko: — Chyba uratuję Andrzeja!

Zanim zdążyli się odezwać, był już na schodach.

Rodzice Andrzeja spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

W chwilę potem w przedpokoju zadudniły szybkie kroki Andrzeja. Ojciec zdążył go jeszcze zatrzymać w drzwiach pytaniem:

— Kiedy wrócisz?

— Późno! Proszę na mnie nie czekać.

\* \* \*

— Nie ma porucznika, panie doktorze.

Arski, zdyszany, usiadł na podsuniętym mu przez dyżurującego podoficera krześle.

— Kiedy przyjdzie, sierzancie?

— Nie mówił nic.

— Może jest w domu? Zatelefonuję.

Milicjant przysunął mu aparat.

— Czy jest porucznik Brodzki?

— ...

— Kiedy wróci?

— ...

— To proszę panią bardzo o zanotowanie na kartce, że dzwonił Arski. Doktor Arski, w ważnej i pilnej sprawie. Pisze pani?

— ...

— Tak, tak. Proszę podkreślić: niesłuchanie pilnej. Będę czekał na jego telefon albo w Komendzie, albo u siebie w mieszkaniu. Zapisła pani?

— ...

— Bardzo dziękuję. Do widzenia!

Arski machinalnie otarł zroszone potem czoło. Wstał i zaczął szybko przechadzać się po sekretariacie wydziału śledczego.

— Gdzie go szukać? — mruknął.

Sierzant, ze zdziwieniem obserwujący zachowanie lekarza, podchwycił jego słowa:

— Właśnie, że całkiem nie wiem, gdzie pan porucznik poszedł. Czasem to powie, panie doktorze, a dziś...

Arski spojrział na milicjanta, jakby dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z jego

obecności.

— Wy dzisiaj macie nocny dyżur, sierżancie? Tak? Więc słuchajcie, ja jadę do siebie do domu, a jakby porucznik przyszedł...

— Tak jest, panie doktorze — podchwycił służbiście sierżant. — Natychmiast, ale to migiem będę dzwonił do pana doktora!

Arski opuścił gmach i wszedł do taksówki, której na wszelki wypadek kazał czekać. Mógłby wprawdzie zostać w Komendzie, ale był tak podniecony i zdenerwowany, że nie usiedziałyby nawet kilku minut.

Jadąc teraz do swego mieszkania, cały czas myślał gorączkowo. Robił sobie wyrzuty, że wcześniej nie dowiedział się od Andrzeja o przebiegu śledztwa. Ale skądże mógł wiedzieć, że... Rany boskie, jeżeli jego podejrzenia i przypuszczenia są słuszne, to Andrzejowi mogą grozić gorsze rzeczy niż posądzenie o kradzież brylantów. Czemuż porucznik nie miał do niego zaufania, czemuż mu nie powiedział wszystkiego!

Nie zauważył nawet, że już dojechali. Kierowca zatrzymał wóz. Arski szybkim rzutem oka stwierdził, że na pobliskim postoju stoi cały rząd taksówek.

— Proszę już nie czekać! — rzucił szoferowi. Podał mu banknot.

— Proszę resztę! — zawołał za nim kierowca.

Ale Arski już był w bramie. Zapominając o swoim sercu tak bardzo steranym w hitlerowskim obozie, przeskakiwał na raz po dwa, trzy schody. Byle prędej! Może porucznik już telefonował? Ziajajany, dotarł wreszcie do drzwi na czwartym piętrze. Ależ tak! Z wewnątrz słychać dzwonek telefonu! Klucz się zacina. Prędej! No, nareszcie!

Dopał do aparatu, pochwycił słuchawkę.

— Halo! To pan, poruczniku?

Doktor z trudem łapał oddech.

— Nie, nic mi nie jest... Biegłem po schodach. Poruczniku, muszę się z panem natychmiast zobaczyć! Tak, w sprawie Nowickiego. Zdaje się, że wpadłem na prawdziwy trop. Poruczniku, sprawa jest o wiele poważniejsza niż te brylanty... Ale to mogę tylko panu i tylko osobiście powiedzieć. Dobrze! Wsiadam w taksówkę i przyjeżdżam do pana!

Odetchnął z ulgą. Za dziesięć minut będzie u Brodzkiego. Wspólnie ułożą plan działania. Nareszcie!

Szedł już do wyjścia, gdy poczuł nagły, dojmujący skurcz serca. Psiakrew! Akurat teraz! Trudno, trzeba chwilę spokojnie posiedzieć. Przy tej rozmowie musi być w pełni sił. Ze stojącej na stole butelki nalał do szklanki porcję lekarstwa. Wypił szybko. „Zaraz przejdzie, musi przejść! — mówił sam do siebie krzywiąc się z bólu i przyciskając ręką rozdygotane serce. — Parę minut o niczym nie myśleć. Wszystkie siły zachować na tę rozmowę... Rozmowę... Jezus Maria! Przecież będzie musiał powiedzieć o tym...”

Na chwilę zamarł. Dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę, co to widzenie z porucznikiem będzie oznaczało dla niego samego. Dotąd pochłonięty był wyłącznie odkryciem prawdy, pragnieniem ratowania i rehabilitacji Andrzeja. „Tak, Andrzej... Trudno — trzeba to przejść — dla niego!”

Stary człowiek posepnie patrzył w podłogę.

„Nie ma, nie ma innego wyjścia z sytuacji!”

Drgnął na dźwięk dzwonka. Podniósł słuchawkę:

— Halo?

— Doktor Arski? — zabrzmiało z tamtej strony.

— Tak jest. Słucham. Kto mówi?

— Obojętne, kto mówi — odezwał się nienaturalnie stłumiony głos. — Ważne jest, co chcę powiedzieć.

Arskiego ogarnął niepokój:

— Słucham!

— Jeżeli pan swoje przypuszczenia... — tamten mówił wyraźnie, dobitnie — zakomunikuje milicji, to Andrzej Nowicki, który w tej chwili jest zdrow i cały, przestanie żyć.

— Gdzie jest Andrzej? — krzyknął doktor.

— W bezpiecznym miejscu. Nic mu nie będzie, jeżeli pan przestanie się wtrącać w jego sprawy. Powtarzam: jedno słowo pana złożone w śledztwie, a z nim będzie koniec. Ostrzegam po raz pierwszy i ostatni.

Lekki dźwięk w aparacie — rozmówca wyłączył się. Doktor słuchał jeszcze przez moment, jakby w nadziei zdobycia jakiejś wskazówki, jakiegoś śladu. Cisza, szmer dalekich połączeń telefonicznych. Pozostała ostra świadomość, że od przytomności jego umysłu i działania zależeć może los Andrzeja. Położył słuchawkę na stole. Na ulicy, nie opodal, znajdowała się budka telefoniczna. Nakręcił numer milicji.

— Tu mówi doktor Arski.

— ...

— Proszę zaraz, natychmiast, sprawdzić, z kim połączony jest w tej chwili mój telefon. Mój numer 4-30-72. Zadzwoń za pięć minut.

Stał nieruchomo w budce, otepiałym wzrokiem patrząc przez szklane ścianki kabiny na wieczorny ruch uliczny. Serce zakołatało znowu. Drżącymi palcami wyciągnął z kieszeni drugą pięćdziesięciogroszówkę. Wrzucił. Nakręcił numer.

Odezwała się pani Nowicka.

— Czy Andrzej jest w domu?

— ...

— Kiedy?

— ...

— Tuż za mną?

— ...

— Nie, nie. Po prostu chciałem mu coś powiedzieć. Do widzenia, Gosiu.

Spojrzał na zegarek. Nie, jeszcze nie zdążyli sprawdzić. Dopiero minuta od jego telefonu. Nie odwracał oczu od cyferblatu. Sekundowa wskazówka nie biegła jak zwykle. Pełzała! Po prostu pełzała! Dwadzieścia pięć sekund... pół minuty... Jezus Maria! chyba już wieki minęły... Dopiero dwie minuty... Porucznik czeka! Minuta i dziesięć sekund... Może go jednak zawiadomić? A jeżeli t a m t e n spełni groźbę? Pięćdziesiąt sekund... Nie, nie wolno narażać Andrzeja... a jeżeli już jest za późno? Trzy minuty... można już dzwonić... to czekanie jest nie do zniesienia...

Wrzucił monetę do automatu.

— Halo, to wy, sierżancie? Mówi Arski. No i co?

— Niestety, panie doktorze, nie dało się. Niektóre z tych nowych centralek tak działają, że jeśli jedna tylko strona odłoży słuchawkę, to połączenie zostaje przerwane i nie daje się spraw...

— Psiakrew! — rzucił z pasją Arski.

Potykaçąc się i chwiejąc wyszedł z kabiny.

A więc życie Andrzeja jest w jego ręku! Co robić? Trudno, trzeba działać samemu. Ale w jaki sposób odwołać zapowiedzianą z porucznikiem rozmowę, aby nie wzbudzić podejrzeń? Trzeba mieć teraz pełną swobodę. Podejrzenia oficera ograniczyłyby tę swobodę...

Powoli, powolutku wchodził po schodach. Tak, musi się teraz zastanowić, od czego zacząć. Ten szarpący niepokój o Andrzeja! Jak mu pomóc? Jak go ratować? Myśli Arskiego wirowały chaotycznie. Przed paru zaledwie godzinami, podczas rozmowy z Andrzejem, nieoczekiwanie odkrył prawdę. Że to była prawda — w tragiczny sposób potwierdzał anonimowy telefon. Ale w jaki sposób tamten dowiedział się o przypuszczeniach doktora? Od Andrzeja? Nonsens! Andrzej wyszedł zaraz po nim. Przecież nie dobrowolnie powiedział t a m t e m u... Tak, Andrzej został porwany. Zmuszono go do mówienia... Andrzej...

Doktor nagle stanął. W tej chwili dopiero go olśniło! Ujrzał przed sobą całą prawdę! Jakże mógł nie zorientować się wcześniej! A przecież wszystko było jasne jak na dłoni. Ślepy! Ślepy! Ale tę jego ślepotę Andrzej może przyplącić życiem. Gdzie szukać Andrzeja? Gdzie tamtego szukać?

Arskiego poraziła nagła myśl. Tak, to chyba będzie jedyny sposób! Tak, tylko tak! Jakby mu nagle sił przybyło, pobiegł szybko no górę.

## V

*Warszawa, wtorek, 11 czerwca*

Pełen talerzyk niedopałków śmierdział w potworny sposób. Brodzki pomyślał z goryczą, że gdyby był Arski, to by je wyrzucił i jeszcze nakrzyczał, a że Arskiego nie ma — nie ma! — to niedopałki będą niszczyć mu zdrowie. Nie żałował w tej chwili własnego zdrowia; najbardziej wściekły był na samego siebie. Gdyby radykalniej, brutalniej nawet, z mniejszą wiarą w ludzi prowadził to całe śledztwo, to może by teraz nie obserwował walki Murzynów w ciemnym tunelu, czyli — wyrażając się mniej przenośnie — może by widział coś więcej niż nic!

Z pasją rysował esy i floresy. Już trzeci arkusik pokrył swoimi bohomazami — i nic nie wymyślił mądrego. Już dziesięć razy co najmniej narysował charakterystyczną twarz Arskiego — wydawało mu się iż nawet z pewnym podobieństwem — lecz tajemnica nagłego, niespodziewanego wyjazdu doktora nie stała się przez to mniej zagadkowa. Rysunki porucznika Brodzkiego nie miały siły materializowania osób portretowanych. W setkach wariantów wykaliografował imię „Andrzej” — kwadracikami, wężykami, pismem klinowym — i nazwisko „Nowicki”, lecz i to również nie pomagało w rozsądnym myśleniu.

Tydzień już minął od wielkiej kradzieży, a milicja ani kroku, ani pół kroku, ba! ani milimetra nie posunęła się ku wyjaśnieniu zagadki. Gorzej! W ciągu ostatniej doby zagadki się pomnożyły, tajemnica stała się głębsza. Porucznik Brodzki dostrzegał przed sobą wyłącznie znaki zapytania, ale nie widział najlżejszego nawet śladu, który by mógł się stać pierwszym tropem wiodącym do odkrycia przestępców. Wyobraźnia mogła fantazjować do woli na tematy wynikające z zeznań kierownika skarbcza i konwojentów, ale ścisły umysł prowadzącego śledztwo nie miał o co zahaczyć swej logiki. Odciski palców nieznanego osobnika znalezione w gabinecie Andrzeja Nowickiego kazały domyślać się obecności złodzieja, ale upór wszystkich zeznających utrudniał jakiegokolwiek dalsze działanie milicji. Śledztwo właściwie się nawet nie rozpoczęło, jeżeli pod tą nazwą rozumieć czynności służące do rozwiązywania tajemnic, a nie ich gmatwania.

Porucznika obezwładniało poczucie bezradności. Niewidzialny przeciwnik panował nad szachownicą gry. I jak dotąd, on tylko przesuwiał pionki. Z niebywałą zuchwałością okpił personel „Jubitera” i kiedy już Brodzki coraz bardziej skłaniał się do przekonania, iż kradzieży dokonano sztucznie pozorując podobieństwo z Nowickim, przeciwnik krzyknął: „Szach!” I dokonał przesunięcia figur, które przekreśliło supozycje porucznika i z powrotem wprowadziło Andrzeja Nowickiego w samo centrum podejrzeń. Wprowadziło — ku bezsilnej wściekłości porucznika — za późno!

Można było kląć tylko — porucznik Brodzki klął. Ale przekleństwa nigdy jeszcze nie rozwiązały żadnej kryminalnej zagadki.

Na domiar zagadka, która ma być istotniejsza niż sama kradzież brylantów. Tak zapo-

wiadał swe rewelacje Arski. I może dlatego, że wiedział za dużo — nie przyszedł na umówioną rozmowę.

Tamtego dnia, po półgodzinnym czekaniu, porucznik zatelefonował do Arskiego. Nikt nie podniósł słuchawki. Następne telefony również zostały bez odpowiedzi. Porucznik, zaniepokojony, pojechał sam na miejsce. Na stukania nikt nie odpowiadał. Zdecydował się otworzyć mieszkanie, obawiał się, że doktor — jak to się nieraz zdarzało — zasnął na serce. Ale pokój był pusty.

Po powrocie do Komendy Brodzki dowiedział się, że Arski dzwonił każąc sprawdzić, z jakim numerem połączony jest jego aparat, że gdy polecenie jego nie mogło być wykonane, zdenerwował się bardzo i zaklął, ku zdumieniu dyżurnego milicjanta, przyzwyczajonego do wielkiej uprzejmości Arskiego.

Zainterpelowani Nowiccy poinformowali porucznika o telefonie doktora: pytał o Andrzeja.

O północy dyżurny milicjant zadzwonił do mieszkania porucznika zawiadamiając, że przed chwilą telefonował Arski, iż w sprawach osobistych opuszcza na kilka dni Warszawę.

„Dlaczego nie rozmawiał bezpośrednio ze mną? Dlaczego nie odwołał zapowiedzianej uprzednio rozmowy? Co się stało?” — zaniepokoił się Brodzki.

Następnego dnia rano przerażeni rodzice Andrzeja donieśli Brodzkiemu, że syn ich nie wrócił na noc, a według informacji z biura, rano nie przyszedł do pracy. Wyszedł z domu tuż po wczorajszej wizycie Arskiego, ale agenci, inwigilujący dom, *n i e w i d z i e l i g o w y c h o d z ą c e g o!!!* Zarządzono więc przeszukanie kamienicy od piwnic do strychu. Nic nie znaleziono! Gdzież podział się Andrzej Nowicki?

Sto pytań i ani jednej sensownej odpowiedzi!

Brodzki słuchał raportów detektywów, na nowo wertował akta i zeznania zatrzymanych pracowników „Jubitera”. I nic! Znikąd nie dotarł doń promień światła. Otaczała go ciemność, w której poruszał się po omacku. A właściwie nie poruszał się nawet, lecz stał w miejscu.

Wydał szereg poleceń, rytualnie ponawianych przy każdym śledztwie. Nie świadczyły one jednak o żadnej inwencji, nie wynikały z przyjęcia żadnej koncepcji. Inwigilacje, rewizje, badania nie wносиły nic, nic! Nie wskazywały kierunku.

Tajemniczy wyjazd Arskiego i zniknięcie Andrzeja Nowickiego pozostawały absolutnie nie wyjaśnione.

Z wydziału personalnego Komendy MO polecił przysłać sobie osobiste akta personalne doktora Feliksa Arskiego.

Wreszcie, na liście osób podejrzanych, równie dobrze mogących być ofiarami przestępców, zanotował nazwisko Arskiego, pracownika Komendy Głównej Milicji.

Pięknie! Ale co dalej?

## VI

*Kraków, sobota, 15 czerwca*

Z małego przedpokoju — istnej graciarni — prowadziło kilkoro drzwi: do jednego pokoju, do drugiego, do kuchni, do łazienki. Drzwi te otwierały się co chwila: pomiędzy kuchnią a pokojami stale kursowała pani domu, otyła blondynka w szlafroku. Karusia, młoda kobieta tkwiąca bezradnie na środku przedpokoju, miała wrażenie, że ten cały ruch pani domu ma wyłącznie na celu obserwację jej osoby. Pan domu, w przydeptanych pantoflach i w

bonzurce, dwukrotnie przeszedł przez przedpokój zerkając ku Karusi. Dwoje pędraków — chłopak, z odstającymi uszami i szelmowskim wyrazem na z lekka piegowatej twarzy, oraz dziewczynka, aniołeczek z mysimi warkoczykami — coraz wychylało się z pokoju szeptem komentując niezwykłość wydarzenia. Zamaszysta gospodyni bez krępowania się dorzucała z kuchni uwagi o męskiej wierności i stałości uczuć. Już dobrych kilka minut Karusia stała pod ostrzałem tych spojrzeń i uwag, które nic ją jednak w tej chwili nie obchodziły. Wiedziała jedno tylko: za zamkniętymi drzwiami, w swym malutkim pokoiku, tak dobrze znanym jej z opowiadań, siedzi Roman przeżywający swój dramat. Siedzi i nie reagując na jej stukania i prośby, nie chce otworzyć drzwi. Nie chce jej widzieć! Przyszła tu po raz pierwszy. Roman tłumaczył jej zawsze, że właściciele mieszkania niechętni są jakimkolwiek wizytom młodych kobiet. Dziś jednak zdecydowała, że wobec istniejącej sytuacji nie można honorować śmieśnych konwenansów i że choćby siłą wdrze się do pokoju Romana. Za każdą cenę musi z nim porozmawiać!

Jeszcze raz zastukała.

— Roman! Otwórz, proszę cię!

I znowu usłyszała tylko niewyraźny szept:

— Zostaw mnie! Proszę, zostaw mnie samego!

— Nie odejdę stąd, zanim z tobą nie pomówię! — Chciała okazać się jak najbardziej stanowcza.

Pani domu znowu przepłynęła koło Karusi. Oczywiście wszyscy słyszeli każde jej słowo. Czy w ich oczach wyglądała na dziewczynę, która narzuca się zamykającemu się przed nią na klucz mężczyźnie? Niech sobie myślą, co im się żywnie podoba. Przecież z najbliższym jej człowiekiem dzieje się coś niedobrego i ona musi go ratować!

— Roman! — krzyknęła rozpaczliwie. — Bo wyłamię drzwi!

Groźbę dosłyszał nie tylko siedzący w pokoju Roman. W całym mieszkaniu zapanowała teraz pełna napięcia cisza. Nawet radio ktoś zamknął, by nie uronić słowa z pasjonującego konfliktu.

Tylko Roman nic nie odpowiedział.

Ogarnął ją lęk. Załomotała klamką. Cisza.

— Romek! — krzyknęła głośno. — Roman!

Z sąsiedniego pokoju znowu wyszedł pan domu. Tym razem zatrzymał się przy Karusi.

— Proszę pani — rzekł ściszym głosem — od kilku już dni niepokoiimy się o pana Romana. Zachowuje się... no, sama pani widzi, jakoś dziwnie... Co najmniej dziwnie... Czy nie mógłbym pani w czymś pomóc? Heła! Antek, marsz stąd! — rzucił w stronę parki, która już zupełnie wysunęła się do przedpokoju, z oczami okrągłymi od ciekawości.

Karusia spojrzała na poczciwie wyglądającego mężczyznę i rozplakała się.

— Boję się! Co się z nim stało? Muszę, muszę się do niego dostać!

Tym razem do drzwi zastukał energicznie sam pani domu.

— Panie Romanie, proszę zaraz otworzyć!

Z kuchni wyjrzała gospoia.

— Trzeba wyważyć drzwi — poradziła stanowczo. — Jeszcze sobie zrobi co złego.

— Stasiu, zostaw! — strofowała męża pani domu. — Nie mieszaj się do nie swoich spraw. — Obrzuciła Karusie niechętnym spojrzeniem. — Jeżeli pan Roman nie chce się widzieć z tą panią...

— Moja droga! — Małżonek był odmiennego zdania. — Mnie się również nie podoba zachowanie pana Romana.

W przedpokoju zgromadzili się już wszyscy domownicy. Gospoia, dzieci, których już nikt nie usuwał. Gospoia i pan domu medytowali nad najskuteczniejszym sposobem otwarcia drzwi, a pani domu gniewnie wrzasała ramionami. Karusia płakała. W przedpokoju rósł gwar, za zamkniętymi drzwiami panowała absolutna cisza.

Wszystkie pomysły: zawołać dozorcę, wezwać milicję, zgłaszane przez gosposię, Karusia odrzucała kręceniem głowy. Nie chciała wdzierać się do Romana. Chciała, by sam otworzył. Dobrowolnie. Pomysły pana domu nie były tak brutalne. Przez drzwi głośno tłumaczył sublokatorowi bezsens jego postępowania.

Ale w pokoju Romana ciągle panowała cisza.

Nagle zaterkotał dzwonek u drzwi wejściowych.

Wszyscy z niepokojem spojrzeli po sobie. Pan domu ociągając się otworzył drzwi..

Na progu stał starszy mężczyzna. Białe jak mleko włosy. Czarne, wielkie oczy. Nikt go nie znał — wszyscy byli zdumieni. On też patrzył zdziwiony na tak licznie zebranych w niewielkim przedpokoju.

— Przepraszam państwa bardzo! Czy tutaj mieszka pan Roman Kisielewski?

Nikt nie odpowiadał. Przybysz raz jeszcze musiał powtórzyć swoje pytanie. Potwierdziła wreszcie pani domu, z wyraźną niechęcią w głosie; przeczuwała dalsze kłopoty z dziwnym sublokatorem.

— Czy zastałem go w domu?

I tym razem nikt się nie odezwał. Pan domu wymownym gestem pokazał drzwi, których nie chciano otworzyć. Przybysz stał w progu nic nie rozumiejąc. W końcu gosposia wytłumaczyła:

— Zamknął się! Nikomu nie chce otworzyć.

— Nikomu? — Przybysz okazał wielkie zainteresowanie. — Jak to nie chce otworzyć?

— Nie chce. I już. Pani... — pan domu wskazał na Karusię — chciała wejść. Nie otworzył. Ja żądałem otwarcia. Bez rezultatu. Z nim się coś stało.

— Od kiedy? Od dawna? — Przybysz badał takim tonem, jakby on właśnie był najbardziej uprawniony do zadawania wszystkich pytań.

— Od trzech dni... Może dłużej... — szepnęła Karusia.

— Siedzi w pokoju już trzy dni? — pytał starszy pan.

— Nie. To dziś dopiero tak się zamknął. Ale od tygodnia jest nieswój, zdenerwowany. Inny człowiek — tłumaczył pan domu.

Teraz przybysz energicznie do drzwi i zastukał mocno, inaczej niż wszyscy. Cisza.

— Panie Romanie! Panie Romanie! — wzywał. — Proszę otworzyć! Przyjechałem z Warszawy specjalnie do pana. Nazywam się Arski.

Żadnego odzewu. Nawet się nikt nie poruszył. Karusia westchnęła ciężko.

— Ciszej! — szepnął do niej Arski. Uważnie nasłuchiwał szmerów dobiegających z pokoju.

— Jestem Feliks Arski. Doktor Feliks Arski. — Nazwisko swoje wymawiał specjalnie dobitnie, jakby wierzył, że ono właśnie będzie miało siłę otworzenia tych drzwi.

Cisza.

— Byłem przyjacielem pańskiej matki. Leczyłem ją. Musiał pan o mnie słyszeć.

— Jego matka nie żyje — z boku odpowiedziała Karusia.

— Wiem dobrze, proszę pani, wiem dobrze — głos starego doktora miał tony takie ciepłe, że Karusia poczuła, iż tamta zmarła pani Kisielewska i zapewne Roman muszą być bardzo bliscy sercu tego siwego człowieka o żywych, czarnych oczach.

— Proszę mi otworzyć! Bardzo ważna sprawa!

Szmery jakieś rozległy się za drzwiami. Coś stuknęło. I znowu — cisza.

Cisza wydała się głębsza niż przedtem; zebranych w przedpokoju zrobiło się nieprzyjemnie.

— Proszę otworzyć! — raz jeszcze krzyknął doktor Arski.

I nic.

Nawet dzieci odczuły niezwykłość sytuacji. Gniewnie ironiczny uśmiech znikł z twarzy

pani domu. Gospościa przestała udzielać swych rad. Pan domu tępo patrząc na klamkę koncentrował uwagę na zamku. Arski podszedł do Karusi:

— Pani też przysłała do pana Romana?

— Tak.

— Pani jest?... — zawiesił zdanie

— Mamy się pobrać...

W tym momencie coś głośniejsz trzasnęło w pokoju Romana. Jakby uderzyły o siebie okienne ramy.

— Co tam się dzieje? — Pani domu zadała pytanie retoryczne, na które nikt nie umiał dać odpowiedzi.

Tylko Arski poderwał się i z żywością nie pasującą do jego wyglądu wybiegł na schody. Nim zaczęto komentować jego nagły start, już był z powrotem, zasapany i zmęczony.

— Roman Kisielewski uciekł! — wykrzyknął. — Przez okno, po winie, z pierwszego piętra, to niewysoko...

— Uciekł! — Chór głosów był dysonansem tonów. To samo słowo wyraziło rozpacz, sensację, obawę, zdumienie, a nawet, radosne przeczucie jakiejś niezwyklej zabawy. Nad gwarem zapanował doktor Arski:

— Czy mógłbym zobaczyć jego pokój?

— Stasiu! Nie wpuszczaj nikogo obcego! — Pani domu wyposażyła te słowa w pełny ładunek podejrzliwości. — Pan Roman wróci i potem będą pretensje, choć pretensje to najwyżej ja mogłabym mieć...

— Czy pani woli, żebym tu przyszedł z nakazem rewizji podpisanym przez komisarza milicji? — Oboje państwo wyraźnie się zatroskali. Doktor Arski wyciągnął z kieszeni swą służbową legitymację. Gospodarz sprawdził ją starannie i zdecydował:

— Proszę sobie otworzyć!

Arski rozejrzał się. Łatwo powiedzieć: „otworzyć”, ale jak to zrobić. Gospościa była sprytniejsza. Podała mu długi, wąski kuchenny nóż. Wsunął go w szparę między futryną i drzwiami. Zamek uskoczył.

Pokój był pusty, okno otwarte. Krzesło przystawiono do parapetu.

— Państwo pozwolą, że w obecności pana i pani i — skłonił głowę w stronę Karusi — przejrzę rzeczyc pana Kisielewskiego.

Już teraz nie zaprotestował nikt. Milicyjna legitymacja zrobiła swoje.

Oględziny nie dały żadnego rezultatu. Zrozpaczona Karusia przypatrywała się wąskiemu tapczanowi, niewielkiemu stolikowi, trzem pomarańczowo-żółtym reprodukcjom van Gogha, przyszpilonym do ściany. To tutaj mieszkał, sypiał, śnił — jak zapewniał: śnił o niej. A teraz od niej uciekł. Przysiadła na tapczanie i pełnymi łez oczami wpatrywała się w poduszkę, na której co dzień spoczywała jego głowa. Doktor Arski poprosił gospodarza, by zostawił ich samych. Usiadł obok dziewczyny i zaczął głosem cichym, spokojnym, budzącym zaufanie:

— Nie widziałem Romana od wielu lat. Kiedyś przyjaźniłem się z jego matką. Wiedziałem stale, co się z nim dzieje. Teraz zaszedł pewien wypadek, który obudził mój niepokój o losy Romana. Niepokój — jak się przed chwilą przekonałem — niestety, uzasadniony.

Karusia chwyciła dłoń lekarza. Szepnęła:

— Niech go pan ratuje!

Arski powiedział łagodnie:

— Proszę się uspokoić. Oboje musimy zachować spokój, żeby mu pomóc. O, widzi pani, teraz lepiej.

Dziewczyna otarła oczy, odgarnęła opadające na czoło ciemne włosy.

— Co mam robić? — Z nagłą ufnością poddała się jego dyspozycjom i zleceniom.

— Przede wszystkim proszę mi opowiedzieć, co się tutaj stało. Znam tylko finał, ale nie



wiem...

Przerwała mu:

— Panie doktorze! Zanim wszystko opowiem, proszę mi odpowiedzieć na pytanie, które mnie dręczy.

— Odpowiem.

Zawahała się.

— Czy... pan dobrze znał jego matkę?

— Dobrze.

— Ona... ona była trochę... no... taka niezupełnie normalna?

— Tak. — Głos doktora zmatowiał. — Rzeczywiście cierpiała na nerwy. Dlaczego pani o to pyta?

— Czy... czy to możliwe, żeby w ciągu kilku, niewielu godzin w Romanie odezwały się dolegliwości jego matki?

— Nie! — Doktor zaprzeczył stanowczo, lecz potem zamyślił się na chwilę. — Nie wydaje mi się to możliwe. Jednak nie zaczynamy od stawiania diagnozy. Najlepiej będzie, jeżeli mi pani wszystko po kolei, dokładnie, możliwie jak najdokładniej, opowie. — Głos doktora powoli odzyskiwał swe ciepłe, przyjemne tony. — Pani narzeczony przeżył jakiś szok, który wywołał to dziwne zachowanie. Dopóki nie wiem, co to za szok, trudno coś powiedzieć. Jak dawno zna go pani?

— Półtora roku. Jak tylko przenieśli go na tutejsze lotnisko. Zaręczeni jesteśmy od roku.

W oczach doktora dostrzegła wiele serdeczności. Arski raz jeszcze uścisnął jej rękę.

— Sądzę, że będziecie szczęśliwi. To bardzo porządny człowiek.

— Wiem! — potwierdziła z bezgranicznym przekonaniem i równie bezgranicznym smutkiem.

— Czy nigdy nie zauważyła pani jakichś niepokojących objawów? — badał dalej.

— Był zawsze wzorem spokoju, zrównoważenia. W przeciwnym razie nie pilotowałby odrzutowców.

Doktor potaknął.

— Roman był — jak zresztą jego wszyscy koledzy — opowiadała — pod stałą opieką lekarską. Był, jeżeli tak można powiedzieć, doskonale zdrowy. Chwilowe niedomagania spowodowane były lotami na odrzutowcach, jego koledzy odczuwali je również.

— Dolegliwości zawodowe — mruknął Arski.

— Właśnie. Ale mniej więcej przed trzema miesiącami zaczął się skarżyć na nerwy. Był nieswój. Mówił, że tylko w samolocie czuje się naprawdę dobrze. Ponieważ nie były to „klasyczne” objawy występujące u pilotów odrzutowcowych, starał się im nie poddawać, chciał je sam przemóc i dalej latać. Prosiłam go, ale nie chciał o tym powiedzieć swemu lekarzowi. Mówił mi tylko, że miał jakieś okropne przejście. Nie chciał mnie ponadto w nic wtajemniczyć. Wtedy też po raz pierwszy powiedział mi o chorobie swojej matki. I znowu prosiłam go, ale nie chciał o tym mówić ze swoim lekarzem.

— Bał się, że mu zabronią latać.

— Tak, wtedy właśnie organizowano wielki rajd polskich odrzutowców. Roman koniecznie chciał w nim wziąć udział. Dla młodego, ambitnego pilota było to wielkie wyróżnienie.

— Jednak udziału w nim nie brał.

— Nie. Wprawdzie on sam lekarzowi nic nie powiedział, ale przedrajdowe badania wykryły wadliwy stan jego nerwów i zabroniono mu na jakiś czas latać.

— Wywołało to stan depresyjny — zauważył Arski.

— O tak! Bardzo był wtedy rozdrażniony, nawet, nawet...

— Nawet w stosunku do pani?

Dziewczyna lekko skinęła głową.

— Nie miałam mu tego za złe. On dla mnie nie chciał być przykry. Rozumiem, co znaczy dla takiego jak on człowieka, gdy coś staje na przeszkodzie w spełnieniu jego marzeń.

— Pani jest wzorem narzeczonej — uśmiechnął się starszy pan.

— Bardzo go kocham. Staram się mu pomóc.

Westchnęła. Przez chwilę w milczeniu rozglądała się po ścianach pokoju. Lubiała te słoneczne, pałace pejzaże van Gogha; jedną z reprodukcji od niej właśnie dostała.

— I co dalej? — pytał Arski.

— Wziął się w garść, jak to określił, i zaczął się leczyć. Intensywnie, systematycznie, według wskazówek lekarza. Zastrzyki, naświetlania, ściśle uregulowany tryb życia. Żeby tylko znowu móc znaleźć się w samolocie. Po zakończeniu kuracji doktor kazał mu wyjechać na dwutygodniowy odpoczynek do Zakopanego.

— Sam pojechał?

— Tak. Gdyby było potrzeba, opuściłabym wykłady i ćwiczenia. Sądziłam jednak, że powinien zupełnie zmienić otoczenie.

Arski przytaknął z uznaniem.

— Wrócił trzy dni temu, w środę. Raniutko spotkałam go na dworcu autobusowym. Taki był wesoły, taki opalony, taki miły...

Nowy atak łez zatamował jej słowa. Opanowała się jednak i podjęła:

— Zaraz w południe poszedł do lekarza. Czekałam na niego. Przybiegł szczęśliwy i rozpromieniony. Lekarz uznał, że wszystko w najlepszym porządku. Pozwolił mu latać, ostrzegł tylko, żeby w przyszłości tak się nie poddawał nerwom, gdyż to utrudnia leczenie.

— Czy pani mi może podać nazwisko i adres tego lekarza?

Zawahała się chwilę, ale podyktowała. Arski zanotował. Miał zamiar wybrać się do tego doktora. Sądził, że tamten może wiedzieć coś więcej niż narzeczona o przyczynach, które wywołały rozstrój Kisielewskiego.

— Razem poszliśmy na obiad do „Wierzynka” — opowiadała dalej. — Początkowo był taki pogodny, żartował, opowiadał anegdotki. I...

Karusia umilkła. Zaczynała się najtrudniejsza część jej relacji. Zaczęła płakać na wspomnienie tamtej chwili grozy. Słowo po słowie doktor Arski wydobywał spod łez i szlochu. Mozolnie odtwarzał przebieg wydarzenia. Ostatecznie zdołał zrozumieć, że wyglądało ono mniej więcej tak:

W pewnej chwili ich wspólnej uczty poprosiła Romana, by przyniósł jej z szatni papierozy i zapalki. Kisielewski wstał i wyszedł z salki. Z miejsca, gdzie siedzieli, na pierwszym piętrze restauracji, Karusia mogła widzieć jedynie część szatni. Śledziła Romana wzrokiem, ale znikł jej z oczu.

Zauważyła tylko, że od innego stolika wstał jakiś brunet w okularach, skierował się również ku szatni i zasłonił jej sobą narzeczonego. Nagle usłyszała krzyk Romana. Gdy zaalarmowana wyskoczyła do szatni, ujrzała Kisielewskiego i tego drugiego mężczyznę zbiegających ze schodów. Wypadli na ulicę.

Chciała biec za Romanem. Kelner zatrzymał ją: kto zapłaci? Śmiertelnie przerażona, rzuciła mu pieniądze i pędem wybiegła z lokalu. Ale na ulicy było zupełnie pusto — ani śladu Romana. Co robić? Co się stało? Postanowiła wracać do „Wierzynka” i tam czekać. Przecież Roman do niej wróci! Przecież tak jej nie zostawi!

Wróciła więc do restauracji. Panowało tam wielkie poruszenie: nie co dzień zdarza się taki wypadek w najelegantszym lokalu krakowskim! Szatniarka, otoczona kelnerami, z ferworem opowiadała o zajściu.

— Ten pan, co był z panią — głową wskazywała na Karusie — poprosił o dukaty i zapalki, stał, o, tutaj, pod lustrem. Dał mi pięćdziesiąt złotych. W tej chwili podszedł jakiś drugi pan w okularach. Zaczęłam szukać reszty w kasetce. Posłyszałam krzyk. To jeden z tych mężczyzn krzyknął.

— Który? — pytali kelnerzy.

— A bo ja wiem! A potem obaj jak wariaci polecili schodami na dół. Ten pan nawet reszty nie wziął! Jak się tak zakotłowali, to aż się złąkłam, żeby lustra nie stłukli. Bo w zeszłym tygodniu...

Karusia spojrzała niewidzącymi oczyma na wielką taflę lustrzaną. Boże! Co ją w tej chwili obchodziło lustro!

Usiadła przy stoliku, na którym stał jeszcze nie dojezdzony przez Romana obiad. Wszyscy na sali patrzyli na nią, ale nic ją to nie obchodziło. Wlokły się minuty i kwadranse. Była półżywa z niepokoju. Wreszcie, po najdłuższej w swym życiu godzinie, zdecydowała się wyjść.

Zatelefonowała do mieszkania Kisielewskiego. Nie było go. Nie było go również pod żadnym telefonem u nikogo ze znajomych lub kolegów znanych Karusi. Nigdzie go nie było, nigdzie go nie widziano. Informowała się na milicji i w pogotowiu. Nic. Wróciła do domu. Minęła bezsenna, pozbawiona wiadomości noc. Rano zatelefonowała znowu do mieszkania Romana. Powiedziano jej, że wrócił bardzo późno, że śpi. Oczywiście nie pozwoliła go obudzić. Prosiła tylko o przekazanie wiadomości, że czeka na niego. Czekala na próżno. Po paru godzinach zatelefonowała — już wyszedł. Do niej nie przyszedł. Przez kilka godzin stała wieczorem na ulicy przed jego domem. Wrócił bardzo późno. Nie poznała go w pierwszej chwili. Wyglądał jak pijany, choć nigdy dużo nie pił. Nie był jednak pijany. Miał tylko nieprzytomne oczy.

— Zapytała go pani, co mu jest?

— Nie zdążyłam o nic zapytać. Widząc mnie, pierwszy wybuchnął, żebym mu wybaczyła, że mnie kocha, ale że zrywa ze mną. Nie będziemy się widywać! On już nikogo nie chce widywać! Kończy z lataniem! Błagałam, by choć słowem jednym wyjawił mi, co się stało. Początkowo nie chciał. A potem... potem powiedział, że nie ma prawa mówić tego wszystkiego. Rozplakałam się, mówiłam, że zrobię wszystko, że nawet odejdę od niego, byle tylko zaczął się leczyć...

— Nie chciał?

— Nie wiem. Nie wiem. Staliśmy przed bramą jego domu, na ulicy było już prawie pusto. Wracali jacyś pojedynczy, zapóźnieni przechodnie. Nagle Roman krzyknął i zaczął biec, uciekać ode mnie. Goniłam go po pustej, ciemnej ulicy. Przepadł mi z oczu.

— A potem już go pani nie widziała?

— Wczoraj wieczorem. Zatelefonowałam. Zgodził się wyjść z domu. Był w lepszym nastroju. Nie mówił o konieczności naszego zerwania. Ale opowiadał mi właśnie o matce i o jej nerwowej chorobie. Wydawało mi się, że i on też się lęka, iż jest nerwowo chory, ale miałam również wrażenie, panie doktorze, że on boi się jeszcze czegoś, że coś atakuje go jakby z zewnątrz. Zawsze odprowadzał mnie do domu. Teraz poprosił, bym ja go odprowadziła. Szedł ze mną. Trzymał mnie kurczowo za ramię. Jakby się rozglądał. Pod bramą nie zatrzymał się ani na chwilę. Od razu wbiegł ma schody. A dzisiaj znowu nie chciał podejść do telefonu. Teraz przyszedł, by namówić go na wizytę lekarską. Po raz pierwszy przyszedł do niego. I co?

Rozplakała się na nowo. Nie była już w stanie nic więcej mówić. Na pytania Arskiego, próbującego bliżej ustalić okoliczności całej historii, nie potrafiła nic odpowiedzieć. Doktor uznał za słuszne zakończyć tę rozmowę.

— Czy zawiadomiła pani jego zwierzników?

— Nie! Gdyby dowiedzieli się o tym wszystkim, to i po wyzdrowieniu trudno by mu było wrócić do lotnictwa. Boję się nawet o tym myśleć. On żyje samolotami, on je kocha!

— Sami zainteresują się jego nieobecnością — mruknął doktor.

— Ma jeszcze dziesięć dni urlopu. Dziesięć dni czasu...

— Dziesięć dni czasu! — powtórzył Arski. — Jak on panią nazywa?

— Karusia.

— Pani Karusiu — postaram się mu pomóc! Niech mi pani ufa! — Dotknął jej dłoni. Zamyślił się i wtedy dziewczynie — przez łzy — wydawało się, że oczy jego gdzieś błędzą, że nie widzą ani jej, ani tego pokoju... Zadrżała.

— Chodźmy już! Szukać Romana! — błagała. Arski ocknął się z zadumy.

Żegnał ich pan domu — rozciekawiony, ofiarowujący swe usługi. Doktor zostawił swój telefon w hotelu. Prosił o wiadomość, gdyby tylko Roman Kisielewski wrócił do domu. Tak samo umówił się z Karusią.

## VII

*Kraków, noc z soboty na niedzielę z 15 na 16 czerwca*

Na ulicy było spokojnie i cicho. Skok z okna nie zwrócił niczyjej uwagi. Roman rozejrzał się: na chodniku, między z rzadka rosnącymi drzewami, w oknach gdzieś oświetlonych nie dostrzegł żadnej postaci, żadnej twarzy. Chwilę stał bez ruchu, zastanawiając się nad wyborem dalszej drogi. Po czym ruszył w prawo, od razu bardzo szybko, niemal biegiem.

Niewielkie kamieniczki poprzegradzane pasmami zieleni, drzewa obok domków, małe trawniki. Gdy skręcił w drugą, wąską uliczkę, zwolnił — nikt już nie mógł go teraz wysledzić. Ani Karusia, ani doktor Arski — nikt.

Zatrzymał się pod drzewem, ukryty w cieniu gałęzi, aby upewnić się, że nikt za nim nie idzie.

Potem prędko przebiegł przestrzeń dzielącą go od następnego drzewa. Znowu zatrzymał się w cieniu. Nasłuchiwał.

Jeszcze jeden skok — pod dalsze drzewo. Na ulicy panowała niezamącona cisza i zupełny spokój.

Kisielewski opanował się. Dalej szedł już normalnie. Nie szukał cienia drzew, nie rozglądał się na boki, nie zerkał do bram i wejść.

Wtem się zatrzymał. Najwyraźniej dosłyszał za sobą czyjeś kroki. A więc znowu...

Ktoś szedł za nim energicznie, prędko. Roman stał w miejscu. Nie ruszał się, nie odwracał głowy. Był sparaliżowany ze strachu. Tamten był coraz bliżej, słysząc go było coraz wyraźniej. Roman stał ciągle.

Szpakowaty brunet w rogowych okularach minął go i oddalał się. Za chwilę Kisielewski zostanie znowu zupełnie sam, w zupełnej ciszy.

Przeraził się tej samotności.

— Proszę pana! — krzyknął za oddalającym się mężczyzną.

Tamten obejrzał się i zatrzymał. Najwidoczniej oczekiwał, by wołający podszedł do niego pierwszy.

— Proszę pana... — powtórzył Kisielewski. Nie bardzo wiedział, co więcej ma powiedzieć, jak się teraz zachować. Zbliżył się do obcego. Spojrzał na jego twarz: okulary, wąsy, szpakowate włosy, na prawym policzku kawałek plastra. Nie była to twarz zwyczajna, przeciętna, choć ani kaleka, ani nienormalnie zbudowana. A jednak w tej twarzy było coś nienaturalnego, niepokojącego. Za chwilę jednak i ten człowiek odejdzie i pozostawi Romana samego.

— Proszę pana... — powtórzył po raz trzeci Kisielewski.

— Słucham! — Głos bruneta był z lekka zachrypnięty, stłumiony.

— Nic... nic... — Roman zawstydział się. — Zrobiło mi się słabo. Ale już dobrze.

— Może odprowadzić pana? — zapytał czarnowłosy.

— Dziękuję bardzo. Przepraszam — Roman nieoczekiwanie dla samego siebie odyszał wewnętrzną równowagę. Ukłonił się i odszedł zostawiając bruneta w tyle.

Przez moment szedł sam. Raptem znowu usłyszał za sobą idącego człowieka. Ktoś szybko biegł w jego kierunku. Już był niedaleko. Lotnik odwrócił głowę — akurat znajdował się w kręgu lampy — i przeraźliwie krzyknął.

Za nim biegł o n.

Roman wyraźnie widział twarz, oczy, usta — przybliżające się, będące tuż, tuż... Krzyknął! Skulił się i zaczął uciekać przez puste uliczki. Rzucił się to w jedną, to w drugą bocznice. Mijał ogródki i ciche, zamknięte wille. Był dalej od prześladowającej go twarzy!

Chwilami zdawało mu się, że już zgubił te kroki, że pozostały gdzieś daleko, w tyle; zwalniał trochę — wtedy kroki przybliżały się, dudniły tuż nad uchem, nad głową.

Potknął się. Upadł. Rękami zasłonił twarz. Leżał bez ruchu, przylepiony wprost do chodnika. Teraz tamten na niego skoczy...

Nie ma jednak nikogo. Jest tylko on sam. Nie słyszy nic. Nie widzi nic. Ma oczy zamknięte.

Po co tamci wypędzili go z własnego pokoju? Tylko tam nie miał żadnych przywidzeń. W swoim pokoju był sobą. Teraz leży na ulicy i boi się unieść głowę, boi się otworzyć oczy. Tłucze się w nim lęk. Czy naprawdę nigdy już nie będzie mógł latać?

Lecz wokół niego było cicho i spokojnie. Odważył się unieść nieco głowę. Odemknął oczy. Pusta ulica. Obca. Chyba nigdy jeszcze tutaj nie był. Domy z pogaszonymi światłami.

Z lekka podniósł się na rękach.

Nic. Nikt.

Uklęknął.

Rozejrzał się. Nikogo nie było na ulicy. Zastanawiał się nad tym, jak długo biegł. Dokąd trafił? Jezdnia pokryta jest nie asfaltem, tylko kamieniami, kocimi łbami. Chodnik — zniszczony i zasypany piachem. Zamiast do śródmieścia — pobiegł gdzieś ku polom.

Wstał. Otrzepał zakurzone ubranie. Chwilę orientował się w terenie. Spojrzał na gwiaździste niebo. Ruszył z powrotem — wydawało mu się, że do miasta.

Za sobą usłyszał idącego człowieka.

Przyśpieszył kroku — idący za nim przyśpieszył również. Szedł dokładnie tak samo prędko.

Najgorsze było to, że Roman wiedział, iż nikt za nim nie idzie. Wiedział — powtarzał to sam sobie, we wmawianiu szukając ratunku — że tam za nim nie ma nikogo, że na tych ulicach jest bezludnie i pusto. Kroki tamtego — powtarzał sobie — dźwięczą tylko w nim. Po za nim jednym nie słyszy ich żaden przechodzień.

Ale dźwięczą, ale on je słyszy. I musi przed nimi uciec. Musi uciec — obojętne, czy przed krokami człowieka prawdziwego, czy tylko stworzonego przez jego własną wyobraźnię. Roman Kisielewski wie, że jest ofiarą halucynacji, ale równocześnie nie umie się od tej obsesji wyzwolić.

Wędruje przez ulice Krakowa. Jest późny wieczór. Rzadko przejedzie taksówka. Rzadko załomoce szybciej o tej porze pędzący tramwaj. Ludzie w Krakowie wcześniej chodzą spać. Bramy zamykają o dziesiątej wieczorem. Idzie ulicą Lea — w części polną, w części asfaltowaną — słyszy za sobą kroki. Wie, że im nie ujdzie. Iść będzie prędzej — one przyśpieszą, zwolni — one zwolnią. Może go nigdy nie dościgną, ale będą szły za nim zawsze.

A jednak idzie prędzej. Oto wielkie planty.

Tu już jest bardziej ludno. W parku, na ławkach, mającą przytulone do siebie pary. Coraz liczniejsi przechodnie mijają Romana. Ich kroki głuszą swym echem tamte kroki.

Kisielewskiemu zdaje się, że przestał je słyszeć. Poczul się zmęczony. Skreślił do parku, między ławki. Usiadł. Odetchnął.

Spojrzał na ławkę stojącą po przeciwnej stronie alejki.

Drgnął. W mroku nie dostrzegł twarzy, ale wiedział, że tam siedzi o n. Prześladowca.

I wiedział równocześnie, że na tamtej ławce t a m t e g o nie ma. Gdyby podszedł i dotknął ręką siedzącego tam człowieka, przekonałby się, iż chwytą tylko powietrze, albo też siedzący tam rzeczywiście człowiek okazałby się kimś zupełnie innym.

Zrobić taką próbę?

Przekona się, że nikogo nie ma, że nikt nie siedzi, że wszystko urodziło się w jego wyobraźni, że tkwi w nim samym — i to będzie dopiero straszne. Wtedy bowiem będzie na pewno wiedział, że już nigdy nie usiądzie w kabinie samolotu. Samolotu nie może prowadzić człowiek ulegający zjawom i halucynacjom.

Poprzez mrok wpatrywał się w niewyraźny kształt tamtego człowieka. Jeżeli zdobędzie się na to, by odwrócić się w inną stronę — tamten natychmiast zniknie. Ale Roman nie ma siły, by odwrócić głowę. Nie ma siły wstać i iść precz.

Dokąd pójdzie?

Do domu wrócić nie może. Tam już czekają na niego. Arski! Skąd się wziął Arski? Roman pamiętał go z dzieciństwa, gdy doktor bywał częstym gościem w ich domu. Może by on właśnie mógł teraz coś pomóc? Nie! Arski — Arski właśnie! — odwoził matkę do sanatorium dla nerwowo chorych. Zapewne, wróciła wyleczona. Ale matka nie była pilotem. Jeżeli on, Roman, raz znajdzie się w sanatorium, nigdy już mu nie pozwolą wsiąść do maszyny. Już raz przeszedł kurację. I co ona pomogła? Dopiero teraz wszystko stało się tak straszne. Karusia chce, by znowu poddał się leczeniu. Karusia, jak zakochana kobieta, boi się o jego bezpieczeństwo. Chce go omotać doktorami, szpitalami! W tej chwili nienawidził swej narzeczonej. Jedyne wyjście z tej matni: samemu, za każdą cenę, uporać się z własną chorobą.

Nie jest już w stanie dłużej patrzeć na tamtego! Skoro porzuci tę ławkę i odejdzie — tamten zniknie. Nie będzie go, ale pozostaną jego kroki. Dudniące, stałe idące. Musi wybierać między widokiem a odgłosem. Między wyobraźnią kształtu a wyobraźnią dźwięku. Całą siłą woli zaciskał powieki — pragnąc je odemknąć choćby na ułamek sekundy. Przekonać się, czy tam siedzi o n. A jeżeli już nie siedzi?

Otworzyć oczy! Potem znowu zamknąć! Byle na pewno wiedzieć, że tamten jest — czy też, że go nie ma. Wiedzieć to jedno tylko! A może to wszystko już się skończyło? Może już jest zdrowy?

Otworzyć oczy!

Otworzył.

Na ławce naprzeciw nie siedział nikt. Wzrokiem omiół kilka dalszych ławek. Nikt! Nikogo! Nie widzi nikogo i kroków żadnych też nie słyszy. Zamknął oczy. Otworzył je znowu. Nic i nikogo!

Moment? — Może chwila tylko? Trzeba ją przedłużyć. Nie dopuścić, by powtórzyły się halucynacje. Jak to zrobić? Za jakim się schować szańcem? Lotnisko! Lot! Kabina samolotu — i długi, wielki lot. W kabinie, w górze, będzie naprawdę sam, nie będzie niczego słyszał ani nikogo widział. Nie miał czasu czekać do rana, nie miał czasu czekać ani minuty dłużej.

Myśli jego były teraz precyzyjne i jasne. Miał już cały plan działania.

Zerwał się z ławki i pobiegł na postój taksówek. Wiedział, że nie może podjechać pod sam port lotniczy. O tej porze nikt, żaden strażnik, nawet znajomy, nie wpuści go bez specjalnej przepustki, której nie ma. Podjedzie taksówką na pół kilometra przed bramę. Rzucił szoferowi nazwę małej uliczki, o tak późnej porze mało uczęszczanej.

Szofer spojrzał podejrzliwie:

— Za kurs powrotny również! O tej porze... stamtąd nie będę miał gościa.

— Płacę! — Kisielewski wyciągnął z kieszeni całą garść niebieskich dwudziestozłotó-

wiek i nie licząc podał kierowcy. Szofer raz jeszcze popatrzył na pasażera.

— Wsiadaj pan!

Drzwiczki auta odcięły go od wszelkich zewnętrznych dźwięków. Motor huczał jednostajnie. Tak samo będzie huczał tam, w górze. W kabinie samolotu będzie jeszcze bardziej sam i jeszcze bardziej oddzielony od świata.

Taksówka toczyła się przez ulice i uliczki śpiącego Krakowa. Przejechali pod mostem kolejowym, ulicą Lubicz, zakręcili na Rondzie, minęli wille niegdyś luksusowej, dziś zubożałej, dzielnicy. Potem auto zaczęło podskakiwać na wyboistej drodze przedmieścia. Roman znał tutaj każdy kamień, każdą wyrwę nie reperowanej od lat ulicy. Dwa, cztery razy dziennie jeździł tędy wojskowymi autami. Coraz bliżej lotniska. Coraz bliżej ostateczna ucieczka przed krokami i przed twarzą.

Odrzucił głowę i spojrzał przez tylne okienko taksówki. Daleko za nimi jechało jakieś auto. „Zabawne — pomyślał — że o tej porze jeszcze jacyś ludzie mogą mieć tutaj interesy. A może wracają do domu?”

Zbliżyli się do lotniska na uplanowaną przez Romana odległość. Taksówka stanęła. Kisielewski wysiadł. Szofer pośpiesznie zawrócił do miasta.

Kisielewski pozostał wśród martwej, śpiącej ulicy. Zaszczekał pies. Lotnik zrozumiał, że znowu stoi sam, bez żadnej ochrony, bez ściany własnego pokoju, ścianki auta lub kabiny samolotowej. Za chwilę może usłyszeć kroki lub zobaczyć twarz. Im krócej znajduje się między kabiną taksówki a kabiną samolotu, tym większa szansa, że nie powrócą doń zmyły.

Pobiegł.

Kto by tam w takich miejscach pilnował lotniskowego pola! Strażnicy stoją jedynie przy bramie.

Roman podszedł pod samo ogrodzenie. Nie zachowywał nawet specjalnych środków ostrożności. Przez łąkę i splachę pola dotarł do miejsca, które kiedyś zapamiętał jako źle zabezpieczone. Tędy można było dość łatwo nielegalnie przedostać się na lotnisko. Kilka razy myślał nawet o tym, by zwrócić uwagę dowódcy portu, ale zawsze tyle spraw ważniejszych było na głowie, że swoimi obawami nie podzielił się z nikim. Na szczęście! Na jego własne teraz szczęście!

Nasłuchiwał przez chwilę. Żadnych podejrzanych szmerów! Spojrzał na zegarek. Północ.

Wiedział, gdzie stoją maszyny — lekkie myśliwce. Wskoczy. Zamknie za sobą drzwi kabiny. Zasunie szkła. I będzie zupełnie sam. A rano nikt już nie będzie się dziwił jego wczesnej obecności.

Przesunął drut kolczasty. Zardzewiałe gwoździe z łatwością wychodziły ze słupa. Uformował dziurę. Prześliznął się do środka. Kolce darły marynarkę na plecach. Drobiazg!

Osunął się na ziemię po drugiej stronie ogrodzenia. Boże! Co by to było, gdyby go w tej chwili odkryto! Nagle wyobraził sobie konsekwencje swego kroku. Teraz dopiero musiał się kryć. Pożałował, że nie próbował wejść bramą. Ale przecież nie wpuściłyby go warty!

Między ogrodzeniem a najbliższymi krzewami i drzewami, rosnącymi dokoła domków i koszar, było kilkadziesiąt metrów pustej przestrzeni. Teraz już nie miał innego wyjścia. Czołgał się powoli, cały wysiłek, całą inwencję wkładając w to, by nikt go nie spostrzegł. Podrapał sobie ręce, uwałął ubranie. Dotarł jednak do zbawczych krzaków.

Ostrożnie — choć normalnym krokiem — przeszedł zabudowaną część lotniska. O tej porze wszyscy — z wyjątkiem straży — spali. Jeszcze kilka godzin do początku dnia lotniczego.

Wyszedł na pole. Teraz już się nawet nie chował. Wartownicy drzemią. Ujrzawszy go z daleka, jak idzie pewnym krokiem, pomyślał, że to oficer inspekcyjny lub jeden ze strażników. Jeżeli ktoś o tej porze tak idzie, to najwidoczniej ma do tego prawo.

Jest już nie opodał samolotów. Jego maszyna — pierwsza z kilkunastu rzędem ustawionych myśliwców — wyłania się z mroku. Roman zatrzymuje się przed nią. Patrzy. Nareszcie! Jeszcze parę kroków. Wyciąga ręce, by sięgnąć stopni i wskoczyć do kabiny.

Nagle usłyszał krzyk:

— Stać! Ręce do góry!

Dostrzegli go! Wiedziony odruchem rzucił się do ucieczki. Za nim rozległ się tupot i krzyk:

— Stój! Bo strzelam!

Wszystko przepadło! Zatrzymał się. Już nie miał sił. Gwizdek. Zakotłowało się wokół niego. Nadbiegli inni strażnicy.

— Ręce do góry!

Kisielewski uniósł dłonie. Krąg światła latarni padł prosto na jego twarz. Przymknął oczy. Usłyszał zdumiony okrzyk:

— Porucznik Kisielewski!

— Niemożliwe!

Ciasno otoczyli go żołnierze.

— Panie poruczniku, to pan? — ktoś pytał nie dowierzając oczom.

— Ja! — Roman opuścił ręce. Poważny był ziemniak, miał podarte ubranie. Przez twarz przebiegały nerwowe tiki.

Znali go tu wszyscy doskonale. Był jednym z najlepszych oficerów w tym pułku, podziwiano jego talenty pilota, niezwykłą umiejętność lotów akrobatycznych. Wszyscy ci żołnierze wiedzieli o pochwałach i odznaczeniach, jakie często otrzymywał. Aż tu nagle w środku nocy, zakradający się do samolotów, w cywilu, ukradkiem...

— Zalany, czy co? — mruknął ktoś półgłosem.

Jeszcze nigdy nic podobnego nie zdarzyło się na lotnisku. Przyłapać własnego przełożonego w takiej sytuacji... Wszyscy byli zakłopotani, wreszcie jeden z wartowników zdobył się na decyzję:

— Panie poruczniku! Starszy strzelec Śnieguła melduje się i... — zająkał się, mówił przecież do oficera — i według regulaminu poproszę pana porucznika na wartownię.

Roman wyprostował się. Odczuł nawet jakąś ulgę.

— Idziemy! — rzekł głucho.

Kisielewski eskortowany przez strażników wywołał na wartowni sensację. Któryś z żołnierzy skoczył budzić dowódcę warty, porucznika Króla. Król zapinał spodnie, zaciągał pas i słuchał relacji, która zdetonowała go nie mniej niż jego żołnierzy. Całe wydarzenie w zestawieniu ze znakomitą opinią porucznika Kisielewskiego nabierało cech groteskowego dramatu.

Roman siedział na krześle. Błady jak kreda, w podartym, zawałanym ubraniu, z podrapaną twarzą. Dowódca wart kazał wyjść żołnierzom z pokoju i zadał nasuwające się odruchowo pytanie:

— Coś ty narobił, chłopie? Co się z tobą stało?

Roman uniósł na niego zrozpaczone oczy. Otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć — nie odezwał się jednak.

— Zalałeś się? — nacierał Król. Ale pytanie nie miało sensu. Trzeźwość Romana widoczna była od pierwszego wejrzenia. Król nerwowo zapalił papierosa. W życiu jeszcze nie był w tak głupim położeniu. Regulamin służby wewnętrznej nie pozostawiał wprawdzie żadnych wątpliwości — zatrzymać i aresztować! — ale Król zbyt dobrze znał Romana, by nie dostrzec, że cała historia wykracza poza jakikolwiek regulamin.

— No, gadajże coś! Po kiego diabła lałeś tam w nocy?

Roman pochylił głowę. Nie umiałby wytłumaczyć koledze, że słyszał „jakieś” kroki, że widział t a m t ą twarz. Jak wytłumaczyć, że przed tymi zjawami pragnął ukryć się w kabinie



samolotu? Jeżeli tak powie — bezapelacyjnie uznany będzie za wariata. Jeżeli nie powie — stanie przed sądem wojskowym. Zarzuty — jasne: nielegalne nocne wejście na lotnisko. W jakim celu? Jak potrafi to wyjaśnić? Co robić? Mówić? Milczeć?

Porucznik Król bacznie przyglądał się wymizerowanym, podrapanym policzkom kolegi, jego zapadniętym oczom, świecącym dziwnym blaskiem. Zdał sobie sprawę, że Roman ma teraz urlop zdrowotny, że lekarz pułkowy zabronił mu latać ze względu na zły stan nerwów. Sam Roman opowiadał mu o tym. Król dotąd nie przywiązywał większej wagi do tych spraw: ostatecznie co jakiś czas któryś z kolegów, o najbardziej nawet żelaznym zdrowiu, „wysiadł” i kazano mu przerywać loty. Teraz jednak choroba Romana skojarzyła mu się z niebывałym zajściem.

— Posiedź no tutaj chwilę. Ja zaraz wrócę — odezwał się po namyśle.

Roman patrzył przed siebie apatycznie. Dowódca warty wyszedłszy na korytarz przywołał starszego strzelca Śniegułę i kazał mu towarzyszyć zatrzymanemu. Sam poszedł do telefonu. Niezwykłość sprawy usprawiedliwiała nocną interwencję. Ziewającemu, rozspanemu lekarzowi pułkowemu opowiedział przez telefon, co zaszło.

— Więc, panie doktorze, według regulaminu, powinienem go aresztować i posadzić — kończył swój raport. — Ale mnie się zdaje, że on jest po prostu chory.

Lekarz, rozbudzony już zupełnie, postawił parę pytań, po czym zadysponował:

— Dajcie mu na razie porządną porcję bromu. Stoi w apteczce z prawej strony. Niech będzie czterdzieści, nawet pięćdziesiąt kropel. Z wodą. I połóżcie go do łóżka. Po takiej dozie będzie spał przez kilka godzin, a rano ja przyjdę i zbadam go. Zobaczymy!

Król z westchnieniem ulgi odłożył słuchawkę. Na szczęście nie potrzebuje „wsadzać” swego druha. Sam znalazł brom w aptecznej szafce. Po namyśle kapnął jeszcze dodatkowych pięć kropel. „Nic nie zaszkodzi — myślał — a będzie spał i nie zrobi żadnego głupstwa.”

Niosąc szklanekę z bromem wrócił do Kisielewskiego.

— Śnieguła! — zlecił. — Przygotujcie panu porucznikowi łóżko w pokoiku przy wartowni.

Gdy strzelec wyszedł, Król podał Kisielewskiemu szklanekę.

— Wypij! Prześpisz się! Jutro pogadamy!

Roman powąchał podany napój. Brom! Dawali mu to podczas ostatniej kuracji. Przyjrzał się podejrziwie: lekarstwo to zawsze dostawał w małym kieliszku i barwa była jasna. Teraz — prawie pół szklanki brązowego płynu. Jasne: traktują go jak wariata. Korzystając z głębokiego snu odstawią go wprost do szpitala dla obłąkanych. Nie! Nie! Do tego nie wolno dopuścić! Łypnął na Króla, który tkwił obok z zatroskaną miną, wypił łyk i skrzywił się:

— Cholernie gorzkie! Nie masz czego do popicia?

Były to pierwsze słowa od chwili zatrzymania go przy samolocie. Króla ucieszyły one ogromnie, były rozsądne.

— Przyniosę ci wody. Albo, czekaj, mam w termosie herbatę z cytryną.

Wybiegł. Roman obejrzał się na drzwi: nikogo! Szybkim ruchem wylał lekarstwo przez uchylone okno. Po minucie Król był z powrotem. Roman krzywił się i wycierał usta chusteczką.

— Czemu nie zaczekałeś? — strofował dowódca warty. — No, teraz prędko popij.

Krzętał się zaafierowany koło przyjaciela jak koło chorego dziecka. Sam go odprowadził do łóżka. Mimo nalegań Roman nie chciał zdjąć ubrania ani butów.

— Nie, nie — Roman opędział się koledze — daj mi spokój! Daj mi spać!

Król dłuższy czas stał przy leżącym z zamkniętymi oczami i regularnie oddychającym Romanie. Pomyślał z zadowoleniem, że skutek był piorunujący, no ale i dawka była końska. Ziewnął. Ze zdenerwowania, z przeżytej przygody. Był senny. Wrócił do swej dyżurki polecając Śniegułę, by siedział na korytarzu, od czasu do czasu zaglądając do śpiącego.

Roman został sam, otworzył oczy. Nasłuchiwał. Dookoła panował spokój. Tylko z

wartowni dobiegał przez ścianę gwar przyciszonych głosów. Z goryczą pomyślał, że to on pewnie jest przedmiotem tych rozmów.

Zastanawiał się nad położeniem. Rano wezwany będzie do raportu do dowódcy lotniska. Potem zmuszą go do lekarskiego badania. Setki zabiegów, tysiące pytań — i wyrok ostateczny: Nie wolno latać!

Rosło w nim przemożne pragnienie ucieczki. Oszczędzić chciał sobie męczarni, które do niczego nie doprowadzą. Uciec! Nie jest to chyba trudniejsze, niż przekradanie się przez druty na lotnisko. Pokój parterowy, okno uchylone. Od koszar do krakowskiej szosy zaledwie paręset metrów. Ale co dalej? W domu znajdą go natychmiast! U Karusi również. Zresztą Karusia... Tęsknił do niej i równocześnie irytował się na nią. Gdyby się tak nie dobijała, gdyby dała mu spokój, nie wplątałby się może w tę awanturę. Ale i tak nie mógłby przecież bez końca siedzieć w swoim pokoju. I jeszcze ten Arski.

Uchyłono skrzypiące drzwi. Z korytarza wpadła smuga światła. Roman natychmiast przymknął powieki i zaczął głęboko, regularnie oddychać. Starszy strzelec Śnieguła na palcach podszedł do łóżka, zajrzał w twarz śpiącemu i uspokojony wyszedł.

Jeżeli uciekać — Roman powrócił do swych rozważań — to zaraz, póki jeszcze jest ciemno. A gdzie potem się ukryć? I najważniejsze: w jaki sposób odzyskać prawo latania? A jeżeli znowu powrócą halucynacje? Sytuacja była zupełnie beznadziejna.

Z zewnętrznej strony okna rozległ się jakiś szmer. Nastawił ucha. Ktoś wspinał się po gzymsie na wysoki parter, by móc zajrzeć do pokoju.

„Jakiś żołnierz — zapewne ciekawy wyglądu wariata” — z niechęcią pomyślał porucznik. Nie poruszył się na łóżku.

Od okna dobiegł go przyciszony szept:

— Poruczniku Kisielewski!

Roman nie drgnął. „Sprawdzają czy śpię” — przemknęło mu przez głowę.

— Poruczniku! — usłyszał stłumiony głos. — przychodzę pana ratować.

Roman uniósł się na łokciu, zaintrygowany tym razem. Ki diabeł? Tyle dziwacznych rzeczy spotkało go w ciągu ostatnich dni, że wszystko stawało się możliwe. Ostrożnie zsunął się z łóżka. Na palcach podszedł do okna. Niebo zaczynało już szarzeć i w tej godzinie przedświt ujrzał przed sobą bruneta w grubych, rogowych okularach, którego przed paroma godzinami sam zaczepił na drugim końcu Krakowa. Brunet, uchwycony palcami o framugę okna, utrzymywał równowagę na wysokim gzymsie.

— To pan? — wyrwało się Romanowi.

— Cicho! — szepnął tamten. — Proszę wyjść. Ulokuję pana w bezpiecznym miejscu.

Roman zawahał się. Nic już nie rozumiał.

— Prędeż! — ponaglił tamten. — Na co pan teraz czeka? Na szpital dla wariatów?

Porucznik drgnął. Skąd on wiedział? Na rozmyślania nie było czasu. Przybysz szeptał gorączkowo, rozkazująco:

— Jest pan zupełnie zdrow! Ja to udowodnię i panu, i innym. Słyszysz pan! Udowodnię i panu, i innym.

— Udowodni pan? — Roman osłupiał.

— Prędeż, do diabła! — niecierpliwił się brunet. — Co pan teraz ryzykuje? Ja panu daję szansę. Jeżeli pan ze mną pójdzie....

Miał rację. Nic już gorszego nie mogło mu się przydarzyć. Był na dnie. Cokolwiek się zdarzy, będzie lepsze niż to, co jest. Zdecydował się. Przerzucił nogi przez parapet, opadł na miękką trawę. Nieznajomy brunet chwycił go za rękę:

— Chodźmy!

Przesunęli się między krzakami. Przepelzali pustą przestrzeń. Brunet prowadził Kisielewskiego akurat do tej samej dziury w drucie kolczastym, którą Roman zrobił idąc na lotnisko. Bez słów przesmyknęli się na drugą stronę ogrodzenia. Potem szybko posuwali się ku szosie.

Obejrzeni się. Nikt ich nie gonił. Lotnisko było ciche i uśpione. Na wschodzie szarzał nowy dzień.

Roman szedł posłusznie. Nie słyszał żadnych kroków, nie prześladowała go żadna halucynacyjna postać. Odczuwał wdzięczność do tego człowieka — kimkolwiek by on nie był — że go wybawił z matni, że pomógł w najcięższej chwili życia, że ucieleśnił jego plany ucieczki z lotniska. Na dodatek: obiecywał pomoc jeszcze bardziej istotną.

Z daleka, jeszcze w półmroku, majaczyła sylwetka czarnej chevrolety.

— Prędej! — brunet ciągnął Romana za rękę. — Do tego wozu!

Kisielewski dawał sobą powodować. Był oszołomiony. Nie pytał bruneta, skąd się w ciągu jednej nocy dwukrotnie wziął na jego drodze? Jakim sposobem pojawił się w koszarach? Zaprzętała go bowiem myśl zupełnie inna: „Naprawdę potrafi udowodnić, że jestem zdrowy?”

— Więc pan naprawdę potrafi udowodnić, że ja jestem zdrowy? — zapytał.

— Wyjaśnię wszystko za chwilę. Sądzę, że potrafię — odpowiedział nieznajomy nie przerywając szybkiego marszu. — Nawet w pana przywidzeniach nie było i nie ma nic nie-normalnego.

„Wie wszystko!” — Romana ogarnął przestach, lecz zaraz potem ulga. Jeżeli jest ktoś, kto jakimś niezwykłym sposobem wtajemniczony jest w jego najbardziej skryte myśli i obawy, to przynajmniej nie musi mówić, opowiadać, zeznawać... A jeżeli tamten wie wszystko — to może istotnie potrafi pomóc? Ogarnęła go ciepła fala ufności do tego człowieka. Już nie potrzebował o niczym myśleć ani o nic się kłopotać.

Brunet usiadł przy kierownicy.

Auto ruszyło. Nieznajomy kilkakrotnie sprawdzał przez tylną szybkę, czy nikt za nimi nie jedzie.

Ale droga była pusta.

\* \* \*

W dużym przestronnym pokoju brunet starannie zamknął drzwi, po czym się roześmiał:

— No! Udało się! Udało się wyjątkowo! Teraz nareszcie będziemy mogli porozmawiać zupełnie swobodnie! Od dawna tego pragnę! Proszę, niech pan siada, ja zaparzę kawy! Przyda się po tych wszystkich emocjach, co?

Kisielewski milcząc skłonił głowę. Czuł, że go powoli ogarnia drętwa, która niesie ze sobą spokój. Nikt za nim nie gonił. A gdy wchodzili do bramy, jaśniejąca już świtaniem uliczka była zupełnie pusta. Nieznajomy własnym kluczem otworzył mieszkanie. Był więc u niego w domu. To uspokajało w każdym razie.

Gospodarz krzątał się koło elektrycznej płytki. Roman pierwszy przerwał milczenie:

— Pan mnie zna?

— Oczywiście!

— Ale skąd? W jaki sposób?

— Mam swoje sposoby! — rzekł brunet. Nalał wrzątku do garneczka. Po pokoju rozszedł się zapach kawy.

— Pan wie o moich... halucynacjach?

— To nie są halucynacje.

— Skąd pan to wie?

Brunet uśmiechnął się. W uśmiechu tym było coś dla Romana dziwnie znajomego. Gospodarz pochylił głowę i przez chwilę w milczeniu obracał w palcach firkę od papierosa, jakby ważąc słowa, które miał powiedzieć. Wreszcie podniósł oczy na Romana i ten znowu doznał dziwnego uczucia: znał te oczy! Skąd?

Brunet zaczął powoli:

— Wiem o panu wszystko. Wiem, że przed kilkoma tygodniami uległ pan halucynacji po raz pierwszy i że pan się do niej nikomu nie przyznał, ale że wystarczyło owo krótkie przywidzenie, by nerwy odmówiły posłuszeństwa. Musiał pan odbyć kurację.

Roman z napięciem oczekiwał każdego następnego zdania. To wszystko przekroczyło już granice normalnych zjawisk. Nieznajomy uśmiechnął się.

— Mogę panu również opowiedzieć ostatnie pańskie wydarzenie. U „Wierzyńka”. W szatni kupował pan papierosy, zmieniał pan pieniądze i raptem spojrzawszy w lustro ujrzał pan zamiast swojej twarzy — swoje dwie twarze.

Roman zamknął oczy.

— Wydawało się panu, że ktoś stojący obok ukazał panu pańską własną twarz. Prawda? Roman milczał.

— Chciał pan chwycić tamtego człowieka — ciągnął dalej brunet. — Nie udało się! — W głosie mówiącego brzmiał jakby cień tryumfu. — Zbiegł pan ze schodów, wyleciał pan za tamtym na ulicę. Na próżno! Pamięta pan? Nazajutrz otrzymał pan list przypominający o chorobie pańskiej matki? Że i ona również w pewnym okresie swego życia miewała takie właśnie halucynacje...

Roman dygotał. Spokojny, konstatający ton informacji udzielanej przez nieznajomego działał jak tortury. Brunet bacznie obserwował jego reakcje, zmienił ton:

— Ale to nieprawda! Matka pańska nie miała żadnych halucynacji...

Roman zerwał się.

— Jak to?

— ... i pan nie odziedziczył po niej żadnej choroby. Wszystko to, proszę pana, było organizowane celowo i świadomie.

— Przez kogo?!

— Przeze mnie.

Odpowiedź była zadziwiająco spokojna. Roman ścisnął pięści. Przez sekundę myślał, że skoczy tamtemu do gardła. Udusi go! Ale w jaki sposób tamten mógł mu pokazywać j e g o, Romana, twarz? To nieprawda, niemożliwe!

— Nieprawda! — krzyknął.

Brunet nie poruszył się. Uważnie obserwował lotnika.

— Niech pan się uspokoi — rzekł. — Losy sprzęgły nas w dziwny sposób, poruczniku Kisielewski.

— Nas? — krzyknął Roman. — Nie chcę mieć z panem nic wspólnego! Nie wierzę, że pan... Ale wiem, że nie mogę latać! Wiem, że...

Urwał. Nie chciał tamtemu mówić o Karusi. Usłyszał jej głos, proszący przez zamknięte drzwi, by otworzył. Dlaczego nie otworzył. Ona by go uratowała. A ten człowiek ma czelność siedzieć przed nim spokojnie i palić sobie papierosa jakby nigdy nic... Powinien zatłuc go zaraz, na śmierć!

Stał, ciężko dysząc. Jeżeli go zabije, nie dowie się niczego, co może być ratunkiem. Musi doprowadzić, by tamten odkrył przed nim swoje karty. Opanował się z trudem. Opadł na fotel. Rzekł z wysiłkiem:

— Przyrzekł pan... udowodnić, że jestem zdrowy.

Gospodarz skinął głową. Wypuścił kłęb dymu:

— Widzi pan... istnieją na świecie rzeczy, które trudno jest ogarnąć ludzkim rozumem. Został pan zaplątany w przedziwną historię. Dowie się pan wszystkiego, tylko chwilę cierpliwości! Choroba pana też ma swój sens. Zrozumie pan ten sens. Ale teraz musi się pan sam wyleczyć. Nastąpi to wtedy, gdy pan uwierzy we własne zdrowie. Wtedy będzie pan mógł prowadzić samolot i wtedy ja chętnie powierzę panu pieczę w powietrzu nad moją osobą.

— I pan to może udowodnić władzom lotniczym?

— Pan sam to im udowodni.

- Ja?
- Pan sam.
- Ale....

— Nie potrzebne jest żadne ale... Ofiarowuję panu szansę życiową, jakiej pan nie miał nigdy przedtem. Nie tylko wyleczę pana, nie tylko dzięki mnie udowodni pan swym przełożonym, że może pan latać, lecz jeszcze zyska pan pewną sławę. Ale — bo jednak jest ale — wszystko może się potoczyć w odwrotnym kierunku. Jeżeli pan nie zgodzi się na moje warunki, to będzie pan musiał się poddać badaniom lekarzy i sądów wojskowych. Żaden lekarz nie pozna się na pańskiej chorobie. Już nikt pana nie wyleczy i nie będzie pan mógł latać! Więc do wyboru...

Głos bruneta był groźny. Roman poczuł, że znalazł się u kresu swych sił fizycznych i umysłowych.

- Ma pan przed sobą dwie alternatywy.
- Już wybrałem. Nie mam zresztą przed sobą żadnego innego wyjścia.
- Zadanie, które panu postawię, będzie bardzo trudne, choć krótkotrwałe.
- Zgadzam się! Z góry zgadzam się! Tylko proszę mnie już nie dręczyć. — Głos Romana był coraz słabszy.

— Pozwoli pan, że wobec tego na chwilę wyjdę z tego pokoju. — Brunet wstał. Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze na moment. — Sekunda cierpliwości, panie poruczniku Kisielewski.

Wyszedł. Roman siedział bez ruchu w fotelu. Pragnął zasnąć i nie myśleć o niczym.

Nieobecność tamtego przeciągała się.

Wtem drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Widząc go Roman zerwał się z fotela, wyrzucił ręce do góry, wydał nieartykułowany okrzyk i — jak podcięty uderzeniem w nogi — zwałił się na podłogę.

Stracił przytomność.

Mężczyzna, który wszedł do pokoju, z troską pochylił się nad leżącym.

## VIII

*Warszawa, wtorek, 18 czerwca*

W ciągu tych paru dni profesor Nowicki stał się zupełnie już starym człowiekiem. Cała sprawa syna, a przede wszystkim nagłe zniknięcie Andrzeja, pozbawiła go energii, odebrała wszelkie siły. Toteż Brodzki nie męczył rodziców Andrzeja długimi przesłuchiwaniami. Niewiele potrafili zresztą opowiedzieć o tajemniczym zniknięciu syna, poza tym jednym jedynym, najważniejszym faktem, równie zagadkowym dla porucznika Brodzkiego, jak dla profesora Nowickiego. Faktem, który profesor w złożonych kilka dni temu zeznaniach tak opisał:

— Najpierw pan, panie poruczniku, rozmawiał z Andrzejem w jego pokoju. Potem rozmawiali oni dwaj, Andrzej z Arskim. Arski wyskoczył z pokoju syna podniecony. Przez drzwi krzyknął: „Chyba uratuję Andrzeja”! Tuż za nim wybiegł Andrzej. I od tej chwili przepadł — i on, i Arski.

Dotąd jeszcze nie rozmawiali szerzej o Arskim; porucznik nie żądał od profesora interpretacji jednoczesnego zniknięcia obu. W końcu jednak, po paru dniach, porucznik Brodzki zdecydował się wrócić do tego tematu. Powędrował na ulicę Filtrową.

Przywitał go tylko profesor, tłumaczył żonę leżącą w łóżku z ciężkim, przewlekłym atakiem żółci. Usiedli naprzeciw siebie w głębokich skórzanych fotelach.

Profesor nie czekał na pytanie porucznika Brodzkiego. Sam zaczął mówić. Szeptał raczej, zrezygnowany, obolały człowiek, który stracił równowagę swego życia. Nowicki przeszedł już przez wszystkie stadia ojcowskiego bólu — zdumienie, naiwne nadzieje, potem lęk, rozpacz. Uparcie odsuwał od siebie uczucie najgorsze: ostatecznego pożegnania. Jeszcze raz — i jeszcze raz — pytał porucznika o rezultaty śledztwa. Pytał: Czy była to ucieczka? Czy było to porwanie? Ucieczka przed kimś, kto go prześladował — ojciec podpowiadał oficerowi śledczemu.

Brodzki nie przerywał tego monologu. Jego koncepcje były inne niż nadzieje ojca. Dopuszczał albo morderstwo — Andrzeja Nowickiego już w tej chwili mogło nie być wśród ludzi żyjących. Widocznie za dużo wiedział o tajemniczej sprawie kradzieży, a może nawet i o sprawie ważniejszej niż kradzież, jak sugerował ostatni telefon Arskiego. Albo też ucieczka — ucieczka przed sprawiedliwością. Pozory uczciwości mogły okazać się łudzące. Tak czy inaczej — żywego czy umarłego — szukała go milicja w całym kraju; fotografię Andrzeja Nowickiego przekazano do wszystkich komisariatów śledczych. To było posunięcie zwyczajne, banalne — szukano człowieka. Ale przecież porucznik Brodzki wiedział, że drugie zniknięcie — nagły wyjazd doktora Arskiego — ma ścisły związek z nieszczęściem, jakie dotknęło państwa Nowickich. Te dwa zniknięcia łączą się ze sobą. Brodzki czuł, że we wzajemnym stosunku Andrzeja i doktora kryje się walna część tajemnicy.

— Panie profesorze! — Gdy ojciec Andrzeja przestał mówić, Brodzki zdecydował się pokierować rozmową. — Pan wie, że zniknięcie doktora Arskiego łączy się ze zniknięciem pana syna?

Nowicki pokiwał głową.

— Panie profesorze — ciągnął porucznik Brodzki — przed dziesięcioma laty pan właśnie zaprotegował nam do pracy w milicji doktora Arskiego. Jego życiorys znam...

Porucznik istotnie życiorys Arskiego znał już niemal na pamięć. Na jego biurku leżała od paru dniteczka personalnych aktów doktora wydziału śledczego komendy głównej MO Feliksa Arskiego. Syn urzędnika kolejowego z małej stacyjki zagubionej między Siedlcami a Warszawą. Student medycyny z trudem zarabiający korepetycjami na swe studia. Narzeczony bogatej dziewczyny, córki modnego w Warszawie lekarza i właściciela kliniki położniczej. Potem on sam właściciel i ordynator — w spadku po teściu — ciągle tak samo modnej i ciągle bardzo dochodowej kliniki. Brak dzieci. Przedwczesna śmierć żony. Podczas wojny — obóz koncentracyjny. Po wojnie powrót do kraju i nieprzerwana już praca w milicji. Tyle akta personalne! Ale Brodzki wiedział jeszcze coś więcej. Wiedział, że współpracy, z rozmów osobistych, że Arski jest człowiekiem bardzo mądrym, pełnym pasji do rozszyfrowywania zawikłanych splotów ludzkich losów. Parę razy Arski tłumaczył porucznikowi swój wybór dokonany po wojnie — porzucenie ginekologii na rzecz medycyny śledczej — tym, że ten rodzaj pracy lekarskiej sprawia mu o wiele więcej satysfakcji, pozwala brać udział w badaniach ludzkich pasji, namiętności, kompleksów, pozwala ludziom pomagać. Arski był kimś więcej niż tylko lekarzem ustalającym godzinę i sposób zgonu, był tym, który nie raz i nie dwa pomagał kolegom zrozumieć motywy kierujące przestępcami i ofiarami. Nie raz i nie dwa doktor Arski pomagał porucznikowi Brodzkiemu zrozumieć innego człowieka, ale teraz, gdy przyszło Brodzkiemu „rozgryźć” samego Arskiego, gdy musiał rozwiązać zagadkę samego doktora — czuł się bezradny.

— Życiorys znam — powtórzył porucznik — ale co to jest za człowiek? Pan profesor zna go dłużej niż my.

— Znam go dłużej — powtórzył Nowicki, z trudem odrywając się od własnych myśli. — Tak! Rzeczywiście znam doktora Arskiego już bardzo dawno.

— Niech pan mi o nim opowie! Wszystko. Może razem trafimy na jakiś pierwszy trop.

Kiedy pan profesor go poznał?

— Już nawet dobrze nie pamiętam... — Nowicki zamyślił się. — To były studenckie czasy. On był wtedy na medycynie, ja na politechnice. Już wtedy przypadliśmy sobie do gustu, ale to była znajomość dość luźna. Zresztą w tym właśnie czasie Arski szalał, z wzajemnością, za córką doktora Ołtarzewskiego, tego ginekologa, jego późniejszego teścia. To była wielka, obopólna miłość. Tak że znaleźliśmy się, ale jeszcze wtedy nie przyjaźniliśmy się. Dopiero gdy się miał urodzić Andrzej, Gosia zdecydowała, że pójdzie do znanego wówczas doktora Arskiego, by ten prowadził ją przez czas ciąży i by potem mogła rodzić w jego klinice. Przypomniałem sobie studencką znajomość. Zatelefonowałem — i tak się zaczęło. Arski stał się naszym częstym, potem nawet stałym gościem. Gosia miała trudny poród. Opiekował się nią przedtem i potem, no i w czasie, z niebywałym oddaniem. Jakby wiedział z góry, że się z naszym Andrzejem tak bardzo zaprzyjaźnią. Śmiał się potem zawsze, że Andrzej to chyba bardziej jego syn jak mój.

Profesor umilkł, a w poruczniku obudziło się nagłe podejrzenie, które mogłoby być rozwiązaniem jakiejś jednej zagadki w tej wielkiej sprawie: czy Arski nie jest prawdziwym ojcem Andrzeja? Jeżeli tak... — czy krok ku ustaleniu tego będzie krokiem ku ustaleniu prawdy, czy też krokiem wstecz?

Porucznik przez chwilę zaabsorbowany był swoją hipotezą. Profesor milczał również. Należało go pytać dalej.

— Trudno mi, przyznam się, wyobrazić sobie doktora Arskiego jako modnego lekarza kierującego elegancką kliniką.

— Bo też on nigdy nie był takim lekarzem, choć uchodził za lekarza modnego. Modni, zamożni lekarze — to była grupa osobliwych ludzi. Eleganccy, towarzyscy, cieszący się powodzeniem u kobiet, w miarę cyniczni; tymczasem Arski był chodzącym zaprzeczeniem tego wizerunku, a mimo to miał powodzenie. Miał powodzenie, pieniądze, eleganckie mieszkanie, piękną, lubiącą się bawić żonę. On sam raczej — odludek. W klinice urządził sobie laboratorium naukowe. Lata całe pracował nad jakimiś specyfikami, które miałyby uwolnić kobiety od porodowych bólów. Nawet zaatakowała go za to jakaś klerykalna gazeta, pisząc, że już w Piśmie świętym powiedziano o kobiecie, iż rodzić będzie w bólach, a on chce kobietę bólów danych przez Boga pozbawić. Gdy pokazałem mu ten artykuł, zasepił się i raptem ten raczej nie skłonny do filozoficznych wywodów człowiek, zresztą zawsze mało mówiący o swej naukowej pracy, wybuchnął namiętną filipiką na cześć nieskrępowanej wolności naukowych poszukiwań; tłumaczył, że każdy twórca, wynalazca, właściwie powinien chcieć być Bogiem, chcieć tworzyć nowe istoty, nawet fakty naturalne, kierować naturą, umniejszać bóle. Dowodził z zapalem, że wszystko to, co ongiś było domeną boskiej wyłączności, dziś stało się działalnością i wolą człowieka. Człowiek nauki powinien mieć ambicje nie tylko badacza, ale twórcy, kreatora...

— Kreatora? Ciekawe! Nigdy tego z ust Arskiego nie słyszałem — zauważył porucznik.

— Bo pan go poznał dopiero po wojnie. Wtedy to był już inny człowiek. Z obozu wrócił zupełnie przemieniony. Jakby w nim wygasła wielka pasja naukowego twórcy. Gdy kiedyś zapytałem go, czy kontynuuje przedwojenne badania, obruszył się, niechętnie i chłodno uciął rozmowę na ten temat.

— Ciekawe! Ale niech mi pan, panie profesorze, powie tak zupełnie szczerze, czy doktor Arski był naukowcem z prawdziwego zdarzenia, czy jego rzeczywiste osiągnięcia były proporcjonalne do jego zamierzeń? Jednym słowem, czy praca jego dała rezultaty?

— Nie wiem. Właściwie nikt dobrze nie wie, jakie były jego plany. Nigdy otwarcie o tym nie mówił ani do mnie, ani nie słyszałem, by mówił komukolwiek. Własną pracą naukową otaczał tajemnicą. Może i był na jakiejś drodze... Na pewno był! Wierzę w to. Ale koniec końców nic nie opublikował. Myślę, że najbardziej cenna była ta jego pasja twórcza. Postęp

naukowy jest często sumą dużej ilości niepowodzeń ponoszonych przez pojedynczych twórców, a jednak postęp dopiero wtedy zostanie zahamowany, gdy wygasną pasje poszukiwań za wszelką cenę, nawet za cenę niepowodzeń. Pasja Arskiego była silna i w swoim rodzaju piękna, choć chwilami był on aż dziwaczny. Wiecznie zapatrzony w swoje sprawy, na całe dni znikający w laboratorium, dokąd nie dopuszczał nikogo. Traktowano go też jako maniaka, odludka.

— A przyjaźń z państwem?

Opowiadanie profesora coraz bardziej frapowało porucznika. Postać, jaką opisywał profesor Nowicki, była inna od tej, którą znał porucznik Brodzki. Może tylko to jedno określenie — „odludek” — jako tako do obu pasowało. Więc istnieli dwaj różni Arscy? Istnieje również i ten, który dla porucznika jest od kilku dni nową zagadką. Który nagle przepadł. Brodzki pomyślał, że właściwie ciekawe byłoby wiedzieć, który to Arski tak nagle przepadł: obecny doktor, ludziom przychylny, ludzi ciekawy, czy dawny właściciel kliniki, maniak, naukowiec lub może tylko pseudonaukowiec. Tamten doktor przyjaźnił się z Nowickimi, a ten z ich synem. A temperatura, charakter tej przyjaźni kolidowały jakoś z określeniem „odludek”.

— Przyjaźń z nami — wyjaśniał profesor — była raczej wyjątkowa w postępowaniu i obyczajach doktora Arskiego. Ale przecież, panie poruczniku, człowiek na szczęście nie jest konsekwentny nawet w stosunku do siebie samego. Każdy trafi na ludzi sobie bliskich, choćby był nawet największym mizantropem.

Porucznik przytaknął. Nowicki dalej ciągnął wspomnienia o człowieku, który w tak zagadkowy sposób skrzyżował swój obecny los z losem ich syna. Długo opowiadał Brodzkiemu o tym, co było niegdyś, w tamtych historiach szukając, choćby na krótko, zapomnienia o terażniejszości. Opowiadał o wspólnie spędzanych z Arskim wakacjach, podczas których doktor przywiązywał się coraz bardziej do Andrzeja, rozumiejąc chłopca lepiej niż rodzice. Gdy mówił to, porucznik znowu pomyślał o możliwym ojcostwie Arskiego.

Dalej opowiadał profesor o zatargach, jakie Arski miewał z innymi lekarzami, innymi ginekologami, wśród których byli tacy, którzy zarzucali mu szarlatanerię.

— W związku z pracami nad usunięciem bólów rodzącej kobiety? — zdziwił się porucznik.

Tego Nowicki nie wiedział dokładnie. Traktował to wszystko jako bardzo normalne swary ludzi z jednego środowiska zawodowego, na domiar zazdrosnych o stale rosnącą zamożność właściciela kliniki. Porucznik zapamiętał sobie, że należy odnaleźć jakiegoś starego lekarza-ginekologa, który niechybnie coś więcej będzie mógł powiedzieć o przyczynach, dla których koledzy uważali Arskiego za szarlatana.

Przed wieczorem porucznik Brodzki wracał do siebie, do wydziału śledczego. Powoli szedł przez Pole Mokotowskie, obojętny na pyszne, wiosenne uroki Alei Niepodległości. W tej chwili absorbowała go wyłącznie postać doktora Arskiego. Teraz już wiedział na pewno, że kilkadziesiąt rozmów, jakie miał z Arskim na temat losów i charakteru innych ludzi, skutecznie przyczyniło się do zakamuflowania przed nim postaci i osobowości samego doktora, który dopiero teraz stał się dla Brodzkiego jakimś bardziej pełnym człowiekiem chociaż może właśnie dlatego bardziej zagadkowym. W tej chwili porucznik gotów był przypisać Arskiemu w brylantowej aferze rolę bardzo poczesną. Ale już w następnej minucie strofował sam siebie za zbyt pochopne formułowanie wniosków. Fakt, iż Arski był naukowcem-maniakiem, obarczonym przez kolegów zarzutem szarlatanerii, nie może w żadnym wypadku stanowić podstawy do podejrzeń czy oskarżeń, skoro właściwie rozmowa z profesorem Nowickim nie przyniosła żadnych tego rodzaju danych. Więc o nic nie można podejrzewać doktora Arskiego? Sam siebie pytał i sam sobie odpowiadał: „Można”! Skoro człowiek zapowiada ważną wiadomość w sprawie innego człowieka, a następnie razem z tym drugim, podejrzanym, przepada, znika — wolno uznać go albo za ofiarę, albo za również podejrzanego. I znów, jak uparty refren, podpływały do porucznika wszystkie męczące go wątpliwości. Niepokój Arskiego, gdy



po raz pierwszy usłyszał pytanie w sprawie Andrzeja. Szczególne stosunki łączące tych dwóch ludzi. Wspólne zniknięcie jako efekt wspólnej rozmowy...

Już dwa tygodnie śledztwo w sprawie kradzieży kosztownych kamieni tkwiło w zupełnie martwym punkcie. Wszyscy, absolutnie wszyscy upierali się przy swoich zeznaniach. Zarówno aresztowani pracownicy „Jubitera”, jak znajomi Andrzeja Nowickiego, którzy zgodnie podkreślali jego niezawodną uczciwość, skrupulatność i rzetelność. Wydawać by się mogło, że w całym Andrzeju Nowickim nie ma jednego ciemnego zakamarka, że cały jest odkryty, a tymczasem... zeznania kierownika skarbcza, konwojentów, strażnika, a tymczasem nagle zniknięcie, a tymczasem problem doktora Arskiego i stosunków łączących go z Andrzejem. Fakty — i opinie. Opinie — i fakty. Żadnego połączenia między nimi. Nic!

Rozesłano po całym kraju fotografie, rozesłano instrukcje o poszukiwaniu ciała — porucznik Brodzki zżymał się na te metody z czasów króla Ćwieczka. Cóż to za sposoby w epoce rozbicia atomu i krążących wokół ziemi satelitów! Pytać się po kolei — a do tego się taka operacja fotografiami sprowadzała — wszystkich milicjantów w całej Polsce, czy aby nie znają tego pana?! W ten sposób można na niego trafić pierwszego dnia. Ale można i setnego! Tylko co tu innego w tej sytuacji wymyślić? Za chwilę, gdy tylko wróci do siebie, każe zrobić tysiąc odbitek fotografii doktora Arskiego i znowu będą się milicjantów w Psiej Wólce rozpytywać, czy nie widzieli takiego siwego pana w swym rejonie? Co gorsza, będą to fotografie współpracownika komendy głównej MO i odpowiedź niejednego milicjanta wskazywać będzie prosto na wydział śledczy: tam spotykali człowieka o takiej właśnie twarzy! Wszystko razem — jakby toporem zabierać się do reperacji zegarka! Ale jak inaczej? Coś trzeba robić, a tu żadnych śladów, które by wskazywały kierunek działania.

Wchodząc do swego gabinetu porucznik Brodzki machinalnie, bardziej z desperacji niż nadziei, zapytał sekretarkę o nowiny w sprawie Nowickiego.

— Jest wiadomość.

— Skąd? — krzyknął.

— Z Poznania.

— Z Poznania? — Wydawało mu się to zupełnie nieoczekiwane, wręcz niemożliwe. Wyobrażał sobie, że może pierwsze wiadomości będą z jakiegoś granicznego posterunku WOP-u, który przytrzymał uciekającego przez granicę z kosztownościami Andrzeja Nowickiego...

Chwycił meldunek.

Komenda MO w Poznaniu donosiła, że przesłana im fotografia została przez nich zidentyfikowana. W Poznaniu mieszka i żyje człowiek dokładnie tak wyglądający. Z koperty wypadło zdjęcie, z tej serii zdjęć paszportowych, które dostarczano przy wyrabianiu dokumentów osobistych. Fotografia młodego człowieka.

Ta sama twarz, to samo czoło, te same usta, taka sama myszka na policzku! Takie samo charakterystyczne przymrużenie oczu w jakimś lekkim uśmiechu.

Porucznik urzeczony wpatrywał się w zdjęcie. Z szuflady wyciągnął dwie fotografie Andrzeja Nowickiego: jedną również paszportową, drugą bardzo powiększoną. Nie różniły się niczym od tej fotografii, którą trzymał w ręku.

To był ten sam człowiek!

A przecież załączona informacja poznańskiego wydziału śledczego dowodziła czegoś przeciwnego. MO twierdziła, że przesłana im fotografia nie jest fotografią Andrzeja Nowickiego, ale tamtejszego młodego lekarza, asystenta Akademii Medycznej, doktora Janusza Żukrowskiego.

Odruch zawodu, irytacji był pierwszą reakcją porucznika Brodzkiego na pismo poznańskiej milicji. Trudno sobie wyobrazić, by asystent Akademii w Poznaniu, ordynujący lekarz, mógł równocześnie pełnić w Warszawie obowiązki rzeczoznawcy „Jubitera”, co dzień obecnego w swym biurze. Ale już po sekundzie porucznik, wpatrujący się w dwie jednakowe

twarze, sformułował pytanie: Jeżeli dwóch tak identycznych sobie ludzi znajduje się w tej chwili w Polsce, to przecież mogła istnieć sytuacja, w której obaj równocześnie znaleźli się w gmachu „Jubitera”, jeden w gabinecie dyrektora, drugi w skarbcu... Tak czy nie? Zeznania kierownika skarbcza i innych mogą zostać potwierdzone. Portier mógł dwa razy widzieć tego samego człowieka opuszczającego gmach.

Czy asystent Akademii Medycznej zna rzeczoznawcę firmy jubilerskiej? Czy Andrzej Nowicki wiedział, kogo kryje alibi dostarczonym przez własny wygląd?

Więc?...

Oficer śledczy nakręcił numer telefonu.

— Pan profesor Nowicki?

— ...

— Przepraszam, że jeszcze raz muszę dziś pana niepokoić. Tu mówi Brodzki. Czy ma pan bratanka albo siostrzeńca, lekarza w Poznaniu?

— ...

— Aha! Nie! Dobrze! Jeszcze jedno pytanie. Przepraszam za nie z góry, ale pan rozumie... w tej sytuacji muszę być czasem niedelikatny. Wytlumaczę to panu osobiście. Czy pan Andrzej jest jedynym synem pana profesora? — Położył nacisk na ostatnie dwa słowa.

— ...

— Jedynym! Dziękuję bardzo i raz jeszcze przepraszam. Tak, tak, o to mi chodziło. Dziękuję bardzo.

Brodzki odłożył słuchawkę i zamyślił się. Ciągle patrzył na dwie leżące przed nim fotografie.

Po chwili zawołał sekretarkę.

— O której odchodzi pociąg do Poznania?

Sprawdziła w rozkładzie jazdy. Za niecałą godzinę! Porucznik poderwał się z fotela. Auto! Telefon do żony, by przygotowała walizkę. Telefon do Poznania — komenderował sekretarką — by wzięli pod obserwację doktora (pomyślał: „drugi doktor w tej samej sprawie!”) Żukrowskiego i śledzili każdy jego krok.

Już na progu pokoju rzucił ostatnie zlecenie: Jeżeli będą wiadomości od Arskiego, natychmiast przez linię służbową przekazywać do Poznania.

Już po odejściu pociągu do Poznania sekretarka dyżurująca w wydziale śledczym odebrała telefon z Krakowa. Źle było słycać.

— Doktor Arski? — powtórzyła nie wierząc własnym uszom.

— ...

— Ależ na pana czekał porucznik Brodzki! Gdzie pan...

— ...

— Nie ma go. Przed chwilą wyjechał.

— ...

— Do Poznania.

Usłyszała, jak doktor Arski zaklął. Wykrzyknął: „do Poznania?!?!” w wielkim zdumieniu i odrzucił słuchawkę, zanim zdołała się czegoś bliższego o nim dowiedzieć. Kazała na międzymiastowej sprawdzić, z jakiego numeru prowadzona była rozmowa. Podano jej numer od razu z bliższym wyjaśnieniem: Hotel „Lux”. Nadała do Poznania przez linię służbową wiadomość dla porucznika Brodzkiego o telefonie doktora Arskiego.

## IX

*Kraków, wtorek, 18 czerwca*

Telefonistka centralki w krakowskim „Lux-hotelu” ma bardzo dużo roboty. Nieustannie terkoczą dzwoneczki, migoczą lampki. Bez chwili wytchnienia dziewczyna operuje wtyczkami. Miasto! Proszę! Wewnętrzny! Proszę! Halo!

Telefonistka pracuje bardzo sprawnie. Tak sprawnie, że nawet w pośpiechu przeprowadzanych połączeń ma czas i sposobność na pewne rozmowy zwracać szczególnie baczną uwagę, podsłuchiwać je i dość dokładnie notować ich przebieg. Jej uwagę absorbują rozmowy przeprowadzane z pokojem czterdziestym pierwszym.

Zaterkotało miasto. Kobięcy głos prosi właśnie o połączenie z pokojem czterdziestym pierwszym. Telefonistka łączy i nie wyjmuje swego kontaktu. Uważnie podsłuchuje prowadzoną na tej linii rozmowę. Notuje godzinę i przebieg.

A więc dzwoni kobieta (telefonistka notuje literę „k” w kółku) z miasta o godzinie 11 minut 17.

— Doktor Arski? — pyta kobięcy głos i telefonistka zapisuje te dwa słowa i wszystkie .następnie usłyszane.

— Przy telefonie.

— Tu mówi Karusia.

— Panno Karusiu! Jak ja czekałem! Co nowego?

— Poczta przyniosła mi list od Romana. Przed chwilą.

— Gdzie jest?

— Stempel krakowski, ale adresu nie ma.

— Co pisze?

— Przeczytam.

— Słucham.

— List jest bardzo krótki. „Kochana... i tak dalej, wie pan, a potem: Nic się nie martw o mnie. Jestem cały i zdrow. Nareszcie zdrow. Jak najbardziej zdrow. Z tą chorobą to wszystko było nieprawda. Niedługo już będę latał. Czekaj cierpliwie jeszcze jakiś czas. Muszę wyjechać dość daleko, ale prędko wrócę. Czekaj cierpliwie. Wkrótce będziemy razem. Całuję...” i tak dalej, pan wie. To wszystko.

— I żadnego adresu nadawcy? Hm!

— Nic. Co ja mam robić, panie doktorze? Nawet odpisać mu nie mogę.

— Panno Karusiu! Trzeba czekać cierpliwie, bardzo cierpliwie. I niech pani będzie spokojna! Ten list to najlepszy dowód, że się z Romanem nic złego nie dzieje.

Światełko! Pokój 41!

— Proszę dać mi Poznań. Numer 503-37. Jak, prędko, sądzi pani, dostanę połączenie?

— O tej porze może trwać długo.

— W takim razie ekspresowa.

— Dziesięć razy droższa.

— Płacę!

Telefonistka umieściła wtyczkę w gniazdku czterdziestym pierwszym.

— Proszę mówić! Poznań przy aparacie.

Zanotowała: Poznań, numer 503-37. Godzina 12 min. 30.

— Czy to doktor Janusz Żukrowski?

- Przy telefonie.
- Tu mówi Arski. Doktor Feliks Arski.
- Dzień dobry panu!
- Pan mnie poznaje?
- Oczywiście!
- (Trzaski w aparacie)
- Źle słycać.
- Słucham.
- Chciałbym się z panem zobaczyć. Mam interes.
- Ja też ostatnio myślałem o panu.
- Naprawdę?
- Tak.
- Chciałbym możliwie prędko przyjechać do pana, do Poznania.
- Za kilka dni wyjeżdżam.
- O! Na długo?
- Na krótko. Najlepiej, żeby pan przyjechał po moim powrocie.
- Nie! Będę u pana jutro. Dokąd pan jedzie?
- Za granicę.
- Ale dokąd?
- Mniejsza z tym... innym razem powiem panu.
- To ja będę u pana jutro. W ciągu dnia. W południe.
- Dobrze.
- Do widzenia!
- Czekam.

Rozpędzony ołówek telefonistki zatrzymał się. Rozmowa z Poznaniem skończona. Po kilkunastu sekundach włączyła się do pokoju 41.

- Skończona rozmowa? — zapytała.
- Skończona. Proszę zapisać do rachunku.

Światelko! 41!

- Proszę miasto!
- Łączę.
- Zanotowała. 13 min. 13. Z miastem.
- Halo!
- Pani Karusia?
- Tak.

— To jeszcze raz ja, Arski. Niech mi pan powoli przeczyta jeszcze raz list Romana. Tę część zasadniczą.

— Proszę... „Nic się nie martw o mnie. Jestem zdrow i cały. Nareszcie zdrow. Jak najbardziej zdrow. Z tą chorobą to wszystko była nieprawda. Niedługo już będę latał. Czekaj cierpliwie jeszcze jakiś czas. Muszę wyjechać...”

- O właśnie to zdanie, tylko wolno. Notuję sobie.
- „Muszę wyjechać dość daleko, ale prędko wrócę.”
- „Dość daleko” czy „za granicę”?
- O zagranicy nic tu nie ma. „Dość daleko!”

— Dziękuję pani, panno Karusiu. Niech pani będzie dzielna i cierpliwa. Jestem pewien, że Romanowi nic nie grozi. Jeszcze do pani zatelefonuję. Do widzenia!

- Do widzenia!

Światelko! 41!

- Proszę zamówić dki mnie rozmowę z Paryżem.
- Numer?
- ODE, Odeon, 35-27. Z przywołaniem pani Andrzejewskiej.
- Zapisałam.
- Czy to długo potrwa?
- Trudno powiedzieć. Jakiś czas w każdym razie. Pewnie długo.
- Będę czekał w swoim pokoju.
  
- Tu międzymiastowa 23!
- Mówi „Lux-hotel”. Paryż ODE 35-27.
- Przyjęłam.
- Ile czekania?
- Dłużej niż godzina.

Pukanie. Telefonistka uniosła głowę znad rozdzielczej tablicy. Poprzez matową szybę drzwi prowadzących do jej kabiny dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Wstała. Szybko otworzyła drzwi. Rozejrzała się, czy nikt ich nie widzi, i wpuściła do środka bruneta w okularach. Była zdenerwowana.

Spod papierów wyjęła swoje notatki. Wręczyła je przybyszowi i szeptem, sprawdzivszy czy aparaty są wyłączone, informowała:

- Teraz zamówił rozmowę z Paryżem. Wszystkie zanotowałam, proszę pana...
- Niech pani będzie zupełnie spokojna. To jest à conto...

Wsunął jej w dłoń kopertę.

— ...Wuj jest człowiekiem niepczytelnym. Musimy go w ten sposób obserwować, gdyż inaczej całą naszą rodzinę doprowadziłby do ruiny. Pani rozumie, jacyś ludzie go szantażują. Musimy ich wykryć. Wiedzieć, z kim on rozmawia przez telefon, to jest połowa drogi do wykrycia prawdy. Kiedy będzie rozmawiał z Paryżem?

- Za pół godziny, za godzinę. Czekamy.
- Mógłbym posłuchać?

— Nie! — szepnęła przerażona. — Nie! Tutaj nie wolno nikomu przebywać. Mógłby ktoś zobaczyć. Zaraz po rozmowie wyniosę panu notatki. Niech pan będzie spokojny. Ja bardzo wiernie notuję. Pan zresztą sam zobaczy. Dziś jest gorący dzień. Przez trzy dni nikt do niego nie dzwonił, a teraz on szuka kontaktu chyba z całym światem.

— Czekam. — Brunet w okularach przerwał rozmowę prowadzoną szybko, półgłosem. Wycofał się do hotelowego baru.

Zanotowała: Paryż, godzina 19.30. Włączyła 41.

— Paryż! Proszę mówić!

— Paryż! Paryż! *Paris! Paris!* — szło po linii, powtarzane wieloma głosami telefoni-  
stek.

— Halo! — w Paryżu odezwał się kobiecy głos.

— Halo! Czy to pani Andrzejewska? Mówi Arski, z Polski.

— Co za niespodzianka, doktorze! Dzień dobry!

— Pani Zofio, czy Jerzy jest w Paryżu? W domu?

— W domu go w tej chwili nie ma.

— Ale w Paryżu jest? Na pewno?

— Ależ tak. Godzinę temu wyszedł. Wróci wieczorem. Czy coś się stało, panie dokto-  
rze?

— Nie, nic się nie stało. Mam do niego pewną sprawę... Pani Zofio, czy on się nigdzie nie wybiera?

- Do was, do Polski?

— Nie. Nie do nas. W ogóle czy nie ma zamiaru wyjechać z Paryża, z Francji?  
— Miał jechać na urlop. Ale całkiem nieoczekiwanie zaproponowano mu jakąś dobrze płatną robotę, a że my finansowo w tej chwili kiepsko stoimy, więc...  
— Co mu zaproponowano?  
— Coś w związku z tym międzynarodowym zjazdem naukowym...  
— Cooo?!!! Z jakim zjazdem?  
— Pan się dziwi? On też się dziwił, bo co ma architekt wspólnego z biologami? Ale mają mu tak dobrze zapłacić...  
— Na miły Bóg! Jaki to zjazd?!

— Ach, wie pan, cały Paryż się trzęsie, bo to chodzi o tę sztuczną kaczkę, wielka sensacja, pan chyba słyszał?  
— ...  
— Halo, panie doktorze!  
— ...  
— Halo! Doktorze! Słyszysz mnie pan?  
— Tak...  
— Proszę mówić głośniej, bo ja teraz nie słyszę!  
— Dobrze... postaram się... trochę się źle czuję...  
— Co mam powtórzyć Jerzemu?  
— Że... że go pozdrawiam... No i... Pani Zofio, nie mogę już dłużej rozmawiać. Napiszę do Jerzego. W liście powiem mu, o co mi chodzi! Do widzenia!  
— Do widzenia, doktorze!  
— Do widzenia!

Na sekundę wyskoczyła z centralki. Przebiegła korytarz. Szpakowaty brunet siedział na stołku w barze. Kiwnęła mu lekko głową i natychmiast wróciła do swej kabiny. Po chwili zajrzał do centralki. Wręczyła mu karteczkę. Rozwinął zaraz i aż gwizdnął z cicha!

— Oczekuję dalszych telefonów mego wuja. Proszę mi sygnalizować. Będę siedział w barze.

Pokiwała głową. Światelka zapalały się jedno po drugim. Godzina największego nasilenia rozmów.

Światelko! 41!

— Proszę połączyć mnie z Warszawą. Numer 8-32-41. Ekspresowa.

— Łączę!

Zanotowała: Warszawa, godzina 21 min. 03.

— Czy to gabinet porucznika Brodzkiego? Tu mówi Arski?

— Doktor Arski?!!!

— Tak jest. Chcę mówić z porucznikiem Brodzkim?

— Ależ na pana czekał porucznik Brodzki! Gdzie pan...

— Proszę go prosić...

— Nie ma go. Przed chwilą wyjechał.

— O Boże! Dokąd?

— Do Poznania.

— Do Poznania?!!!

Pobiegła do baru. Brunet zameldował się do kabiny. Przeczytawszy notatkę z ostatniej rozmowy poprosił:

— Proszę i mnie teraz z kolei połączyć z Poznaniem. 504-37. Ekspresowa.

— Droższa dziesięć razy.

— Płacę. Proszę połączyć mnie na rozmównicę.

Tej rozmowy nie notowała, ale podsłuchiwała również.  
— Doktor Janusz Żukrowski?  
— Przy telefonie.  
— Mówię w naszej, naszej sprawie. Poznaje mnie pan.  
— Poznaje.  
— Sprawa przybrała dość nieoczekiwany obrót. Proszę natychmiast, jak tylko pan może najprędzej, przyjechać do Warszawy. Na umówiony adres. Dobrze?  
— Będę mógł stąd wyjechać dopiero jutro po południu.  
— Zależy mi na tym, by pan wyjechał jutro rano. Jak najprędzej!  
— No...  
— Sprawa naprawdę ważna.  
— Dobrze! W południe będę w Warszawie.  
— Do zobaczenia!

— Do widzenia pani. To za ekspresową. Proszę nadal notować rozmowy doktora Arskiego. A ja się do pani odezwę jutro lub pojutrze.  
Telefonistka odetchnęła z ulgą.  
— Lepiej, jak pana tu nie ma.

Światelko! 41!  
— Proszę mnie połączyć z portiernią.  
— Łączę.  
— „Lux-hotel” — meldował się portier.  
— Mówię z pokoju czterdziestego pierwszego. Proszę mi podać najbliższy pociąg do Poznania.  
— Do Poznania... Sekundę! Już patrzę! Przed godziną odjechał wieczorny. Najbliższy jest w nocy. Druga pięćdziesiąt. Z Rzeszowa do Szczecina. Przez Poznań. Niestety zwyczajny.  
— Dziękuję!

Światelko! 41!  
Zanotowała: godzina 22 min. 30.  
— Miasto proszę.  
Ulokowała wtyczki.  
— Halo!  
— Panno Karusiu. Przepraszam, że tak późno. Mówi Arski. Czy mógłbym się jeszcze dziś z panią zobaczyć? Wyjeżdżam nagle. Na dwa, trzy dni.  
— Jestem gotowa.  
— Przyjdę do pani. Można?  
— Bardzo proszę.  
— Będę za kwadrans. Taksówką.  
— Czekam.

Światelko! 41!  
— Proszę portiera.  
— „Lux-hotel”.  
— Mówię z pokoju czterdziestego pierwszego. Proszę mnie obudzić o wpół do drugiej w nocy. Wyjeżdżam. Proszę przygotować rachunek. I zamówić taksówkę na dworzec.  
— O wpół do drugiej! Zamówić taksówkę. Zanotowałem.

## X

*Poznań, środa, 19 czerwca*

Porucznik Brodzki źle spał przez całą noc, a ściślej przez drugą połowę nocy, kiedy na koniec wylądował na tapczanie w pokoju gościnnym poznańskiej milicji. Pociąg przybył do Poznania około wpół do drugiej w nocy i tak Brodzki ani nie spał w wagonie, ani nie mógł potem zasnąć już w łóżku. Był zmęczony, niespokojny, zdenerwowany. Atakowały go majaki i marzenia. Ledwo zamykał oczy, a już podpływała doń twarz człowieka, którego miał za chwilę, pewnie rano, ujrzeć, ale oto nagle rozczarowanie: doktor, którego właśnie widzi, nie jest tym człowiekiem, którego ma zobaczyć. W półśnie, w półjawie porucznik Brodzki wyobraża sobie najbliższe godziny. Wejdzie jako pacjent do mieszkania — i okazuje się, że się mylił, że to zupełnie inna twarz, inny człowiek... Budził się z drzemki w nagłym przestraszu! Ze trzy razy — po każdym takim nawrocie sennych majaceń — zapalał lampkę (ciemna stora dobrze zasłaniała okno), sięgał do portfela i wyciągał dwie fotografie dwóch identycznych twarzy. Oczywiście istniejącej zagadki uspokajała go. Gasił lampkę, przykładając głowę do poduszki — ledwo zamykał oczy, ogarniał go płytki sen i natychmiast powracał obraz tak dlań straszny: widział twarz, która nie była twarzą poszukiwaną! Jeszcze jeden ślad okazał się fałszywy, uludny. Porucznik budził się — w ten sposób przepędzając zmoreę.

Tak mijały kwadransy i godziny dzielące czas przyjazdu do Poznania od świtu.

Powracały wszystkie warianty tej sprawy, w której zagadki mnożyły się niepokojąco. Już na dworcu w Poznaniu doręczono mu dalekopis z Warszawy: „Arski telefonował z Krakowa!” Dlaczego Arski znalazł się w Krakowie? Co robił w Krakowie? Czy Żukrowski jest synem doktora Arskiego, a bratem Andrzeja? Dlaczego w takim razie Arski jest w Krakowie, a nie w Poznaniu? Czy obaj bracia — wydawało mu się, iż dwaj identyczni mężczyźni powinni być braćmi — są w tej chwili razem w Poznaniu? Zaczęło się wszystko od kradzieży brylantów, a może skończyć odkryciem skandalu lub tragedii, jaka kiedyś miała miejsce w życiu dwóch starszych, bardzo czcigodnych panów. Jeszcze jedna z tej serii spraw, które się potem będzie tuszować.

Przez szpary w ciężkich, ciemnych roletach już dawno sączyło się dzienne światło. Najdłuższe dni w roku! Brodzki niespokojnie przewracał się na pościeli. Nagle zaterkotał telefon. Porucznik poderwał się. Usiadł. Zdawało mu się, że spał, ale to chyba było złudzenie. Chwycił zegarek: w smudze światła odczytał godzinę: za kwadrans szósta. Co się mogło stać o tak wczesnej porze? Przez chwilę zastanawiał się pełen nagłego lęku — telefon zadzwonił powtórnie. Z niechęcią podniósł słuchawkę, podał, że jest przy telefonie.

— ...

— Co?! — otrzeźwiał momentalnie.

— ...

— Psiakrew! Cholera! — zaklął. Po drugiej stronie drutu czekano na jego decyzję. — Za dziesięć minut będę u was.

Ubierał się gorączkowo. Nie golił się — ochlapał tylko twarz zimną wodą. Czuł, jak bezsenna noc paraliżuje jasność myśli.

Otrzymany meldunek był jasny i lakoniczny: wywiadowca, który od wczoraj wieczór inwigilował doktora Janusza Żukrowskiego, zakomunikował z dworca kolejowego, że doktor opuścił swoje mieszkanie — mając przy sobie jedynie dużą, bardzo wypchaną teczkę — pojechał wcześniej rano na dworzec i zajął miejsce w pociągu idącym do Warszawy. Wywiadowca meldował, że pociąg za chwilę odjedzie i że on będzie jechał razem z Żukrowskim aż do Warszawy, prosi jednak o dalsze instrukcje. Meldunek wpłynął w ostatniej chwili przed odej-



ściem pociągu. Nim przekazano go porucznikowi Brodzkiemu — pociąg rozpoczął swą podróż, a w pociągu jechał dr Janusz Żukrowski!!

Pierwszą myślą porucznika, gdy mu raz jeszcze powtórzono cały meldunek, było: „A może w pociągu idącym do Warszawy jechał nie Żukrowski, ale Andrzej Nowicki?”

Należało to sprawdzić. Wysłano agenta do mieszkania doktora Żukrowskiego. Po chwili był już telefon: na pukania nikt nie odpowiada. Dozorca zeznał, że dr Żukrowski opuścił o świcie kamienicę, mówiąc mu przy otwieraniu bramy, że wyjeżdża na kilka dni. „Sprawdzić u dozorczy, czy do doktora Żukrowskiego nie przyjeżdżał ostatnio jego brat?” — porucznik Brodzki wydawał dyspozycje. Po kilkunastu minutach była odpowiedź: „Żaden brat nie przyjeżdżał. W ogóle nikt się ostatnio o doktora nie pytał ani też doktora z nikim dozorca nie widział”.

Senne majaczenia sprawdziły się nadszpiewanie rychło. Nieco inaczej wprawdzie, ale niemniej porucznik nie może zobaczyć poszukiwanej twarzy. Umknęła mu ona jak we śnie! Brodzki był wściekły: wyjechał z Warszawy, wskutek czego nie mógł porozmawiać z Arskim. Przyjechał do Poznania — poszukiwany człowiek usunął się przed nim. Jeszcze jeden trop gmatwał się, mylił, zacierał lub był celowo przed nim zacierany. Brodzki dałby sobie rękę uciąć, że dr Żukrowski w jakiś sposób uzyskał wiadomość o jego przyjeździe do Poznania i dlatego tak nagle wyjechał stąd, po prostu uciekł!

Porucznik kłął, rzucał się po pokoju niczym w napadzie furii. Koledzy z wojewódzkiego wydziału śledczego patrzyli na niego z wyrozumiałym współczuciem. Każdy z nich znał takie chwile kłęski!

— Samochód! Najsilniejszą maszynę, najlepszego szofera! Ten pociąg dopiero około południa przyjeżdża do Warszawy. Czy zdążymy przed przybyciem pociągu? Ja go muszę zobaczyć!

Powzięta decyzja natychmiastowego powrotu uspokoiła nieco porucznika. Przełknął kawałek bułki, wypił szklankę herbaty.

Podczas gdy szykowano maszynę, Brodzki przeglądał skąpe, na chybcika przez milicję zebrane dane o doktorze Żukrowskim. Nic z nich ciekawego nie wynikało, właściwie tylko informacje niezbędne dla biura dowodów osobistych, gdyż Żukrowski nigdy nie miał żadnego zatargu z władzami. Porucznik zapamiętał sobie tylko datę urodzin — ten sam rok i ten sam miesiąc, w którym urodził się Andrzej Nowicki. Daty dni mogły być celowo zafałszowane przez rodziców. Bliźniaki? Czyżby profesor Nowicki kłamał, że ma i miał tylko jednego syna?

Miejscowym śledczym polecił zbadać i ustalić, co Żukrowski robił w ciągu ostatniego miesiąca. Możliwie najskrupulatniej odtworzyć kalendarz jego życia w ciągu tego okresu. Dokąd wyjeżdżał? Czy ktoś u niego bywał? Z kim się stykał na terenie szpitala? Jednym słowem, obowiązkiem milicji poznańskiej było dostarczyć w jak najszybszym czasie do Warszawy obszerny, wyczerpujący komplet informacji o życiu doktora Janusza Żukrowskiego.

Kwadrans po siódmej maszyna była gotowa do drogi.

— Na łeb na szyję! — instruował kierowcę porucznik. — A wy dajcie znać do Warszawy, że wracam, żeby pilnowali na dworcu Żukrowskiego i żeby złapali telefonicznie w Krakowie Arskiego.

Maszyna ruszyła gwałtownie. Porucznik opadł na miękkie tylne siedzenie. Mimo woli zaczął rachować czas, który go dzieli od ujrzenia doktora Żukrowskiego.

\* \* \*

Czerwcowy upał szczególnie doskwiera w pociągu osobowym, powoli wlokącym się, natłoczonym ludźmi i walizami. Pasażerowie po źle przespanej, przeważnie bezsennej nocy są zmordowani, zniecierpliwieni.

Arski co moment spogląda na zegarek. Opóźnienie pociągu przekroczyło już godzinę. Przedłużająca się jazda dręczy go. Przez cały czas niepokoi się o Andrzeja, o Romana, o tych wszystkich ludzi, których losy, być może, zależą od rozmowy z oczekującym nań Januszem Żukrowskim. Żukrowski czeka — pociąg się spóźnia... A przecież musi złapać Żukrowskiego. Musi chwycić go za rękę, stanąć naprzeciw niego i wytłumaczyć mu bezsens tej jazdy do Paryża. Arski wie już teraz, dokąd chce jechać Żukrowski — rozmowa z Andrzejską otworzyła mu oczy. Wszystko jest dlań już jasne, jakby leżało na dłoni. Musi powstrzymać Żukrowskiego od tej podróży; jeżeli powstrzyma Żukrowskiego, ma szansę odnalezienia innych. Żukrowski pomoże mu odnaleźć zagubione tropy... Boże! Czemuż ten pociąg się tak wlecze!

Wreszcie wpadli między przedmiejskie dzielnice; pierwsze tramwaje zobaczył z okna pociągu. Napchany przedział ożywił się. Ludzie prostowali kości, ścigali z półek walizki i pakunki. Jeszcze pięć minut i pociąg wsunął się, jakby ostatkiem sił, na przesłonięty szklanym dachem peron poznańskiego dworca.

W chwili gdy przy głównym wyjściu wręczał bilet kontrolerowi — wydawało się doktorowi Arskiemu, że ktoś go obserwuje. Uczucie było nieznośne. Zatrzymał się w środku dużej hali. Zaczął rozglądać się uważnie, szukając właściwie dwóch osób: albo porucznika Brodzkiego, albo Janusza Żukrowskiego. Nie spostrzegł żadnego z nich. O tej południowej porze przepływało tędy tysiące ludzi. Ruch był ogromny. Kilkanaście osób oczekiwało na swoich bliskich stojąc tuż przy budce biletera, ale żadna z tych rozglądających się osób nie była znana doktorowi. Mimo to nie opuszczało go nieodparte wrażenie, że jest obserwowany.

Z budki telefonicznej zadzwonił do komendy milicji. Poprosił o połączenie z wydziałem śledczym.

— Proszę do telefonu porucznika Brodzkiego z Warszawy. Ma być w Poz...

— ...

— Doktor Feliks Arski, lekarz wydziału śledczego komendy głównej MO — przedstawił się na żądanie rozmówcy.

— ...

— Co? Psiakrew!

— ...

— Do diabła! Mam do was ogromną prośbę. Dajcie znać do Warszawy, że jestem tutaj, w Poznaniu, że wieczorem będę u was. Będę chciał z porucznikiem Brodzkim porozmawiać przez telefon.

— ...

— O siódmej. Będę punktualnie o siódmej.

Powiesił słuchawkę. Zafrapowany był i zaniepokojony dziwnym postępowaniem Brodzkiego. Przyjechać w nocy, aby rano odjechać z powrotem! Co się stało?

Przywołał taksówkę. Podał adres doktora Żukrowskiego. Na Wildze.

Czuł straszliwe podniecenie. Czy go zastanie w domu? Czy zdoła go przekonać? Odwieść od szalonego zamiaru? Czy potrafi wytłumaczyć mu, że tego wszystkiego czynić nie wolno, po prostu nie wolno!... Jak zacząć tę rozmowę? Jakich argumentów użyć?

Taksówka zatrzymała się przed bezbarwną, tuzinkową kamienicą. Zapłacił.

Zatrzymał się na podeście drugiego piętra. Czuł, że brakuje mu sił na pokonanie jeszcze tych paru stopni. Zląkł się o swoje serce. Wprawdzie od ostatniego, „warszawskiego” ataku nie niepokoiło, ale tym razem oczekiwał wzruszenia bardzo gwałtownego. Jeszcze jedno piętro.

Wolno podchodził.

Przeczytał dokładnie wizytówkę bojąc się jakiegokolwiek omyłki. Nacisnął dzwonek.

Głucha cisza.

Drugi raz nacisnął dzwonek.

Nic.

„A więc i ten zniknął!”

Chwycił się za serce — łomotało przyspieszonym rytmem. Oparł się ramieniem o framugę zamkniętych drzwi. Drugi raz to samo. Staje przed zamkniętymi drzwiami. Odruchowo pomyślał: „Z trzeciego piętra nie sposób tak łatwo uciec jak z pierwszego”. Niemożliwe! — osądzał, choć wiedział, że wszystko jest możliwe.

Otwartymi ustami łapał powietrze. Musiał się uspokoić.

Po paru minutach przyszedł do siebie. Wytarł zimny pot z czoła. Zaczął uważniej oglądać drzwi.

W dziurce od klucza tkwiła złożona kartka, której przedtem nie zauważył. Wyjął. Przeczytał swoje nazwisko. Rozłożył.

„Niestety nie mogłem dłużej czekać na pana. Dziś mam dyżur w zakładzie. Proszę przyjść...” — dalej był podany adres znanego szpitala dla umysłowo chorych, znajdującego się na przedmieściach Poznania.

Arski odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się. Janusz jednak nie przepadł.

Zaczął powoli, zmęczony, schodzić ze schodów.

\* \* \*

— Poczekać? — zapytał szofer taksówki.

— O! Nie! — Doktor liczył się z długą rozmową. Płacił. Kurs był drogi, zawsze kawałek od miasta. Ale z powrotem Janusz na pewno jakoś ułatwi mu jazdę.

Brama wysoka, kamienna, kremowa. Pogodna i przyjemna. Portier zapytał o cel wizyty. Arski podał mu swoje nazwisko. Portier zatelefonował do biura, po czym wysłuchawszy instrukcji upewnił się raz jeszcze, czy istotnie ma do czynienia z panem doktorem Arskim.

Legitymacja związku zawodowego pracowników służby zdrowia — tym razem Arski zataił swą legitymację służbową — przekonała portiera. Pokazał doktorowi drogę, już wewnątrz terenów zakładowych :

— Iść trzeba prosto, między pawilonami, aż dojdzie pan doktor do dużego dwupiętrowego budynku stojącego poprzecznie. Tam jest kancelaria.

Arski powoli kroczył przez zakładowy park. O tej porze pensjonariusze są widać na obiedzie lub na zajęciach, gdyż mimo przepięknej pogody ogród jest pusty, a w oknach budynków też nie widać żywej duszy. W jednym pawilonie wszystkie okna są zakratowane. Te kraty, w zestawieniu z bujną zielonością parku oraz wesołą bielą luźno stojących budynków, są jakąś dysharmonią, boleśnie przypominającą, że zakład jest przybytkiem najcięższego nieszczęścia, jakie może spotkać człowieka.

Z daleka zobaczył rozłożysty, dwupiętrowy budynek. Nagle zapragnął poczekać tu, wśród drzew, na Janusza, który uprzedzony, niewątpliwie zaraz wyjdzie mu naprzeciw. Nie zatrzymał się jednak. Woźny stojący przy wejściowych schodach zapytał go pierwszy:

— Pan doktor Arski?

Pokazano mu jakieś drzwi. Zapukał i wszedł.

Zza białego biurka uniósł się mężczyzna w fartuchu. To nie był jednak Janusz Żukrowski. „Znowu nie Janusz?” — pomyślał rozpaczliwie.

— Pan doktor Arski?

Potwierdził. („Boże! Ciągłe się go o to jedno pytają!”)

— Kolega Żukrowski prosił, by pan tutaj zostawił swoją teczkę, palto i przeszedł do jego gabinetu. Woźny pana zaprowadzi.

Arski skrzywił się.

— Ciągłe dalej i dalej — mruknął. Czuł, że jest coraz bardziej zmęczony.

Obcy lekarz uśmiechnął się ze zdawkową uprzejmością.

Arski z ulgą położył wszystkie rzeczy, które mu ciążyły. Teczkę, palto, kapelusz.

Poczuł się lżej i raźniej. Za drzwiami gabinetu czekał już na niego woźny.

Prowadził go przez długi, zupełnie pusty korytarz. Z obu stron korytarza znajdowały się niezliczone ilości drzwi. Arskiemu doskwierało zmęczenie, był już zdenerwowany tym nieustannym odsuwaniem się Janusza Żukrowskiego. Woźny milczał. Wydawało się doktorowi, że idą już tak bardzo długo. Doszli do jakiejś klatki schodowej. Przewodnik wskazał ręką w dół.

Zeszli.

W suterenie ujrzał długi, tym razem rzeźbiście oświetlony korytarz. Nad dziesiątkami drzwi umieszczone były małe lampki, tabliczki. Każde drzwi miały w środku niewielkiego „judasza” i były pozbawione klamki. Zupełnie gładkie.

— Tutaj znajduje się gabinet doktora Żukrowskiego? — zapytał zdumiony.

— Zaraz będzie — burknął posługacz.

Z głębi korytarza nadszedł drugi woźny i bez słowa przyłączył się do idących.

Szli zupełnie cicho. Arski zorientował się, że podłoga wyłożona jest miękkim materiałem ściszącym kroki. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Powróciło uczucie już raz dziś doznane: obserwacji!

— Tu! — woźny zawołał półgłosem.

Zatrzymali się przed drzwiami z judaszem, lampką, bez klamki. Nie tak wyglądają drzwi do gabinetu lekarza...

Woźny specjalną, wyjętą z kieszeni klamką otworzył drzwi. Arski zobaczył przed sobą zwyczajną celę, z okratowanym oknem i pryczą stojącą po prawej stronie. Cella była pusta.

— Nie! — krzyknął ogarnięty nagłym strachem.

Cztery silne dłonie ujęły go z tyłu i mocno popchnięty poleciał przed siebie na miękką podłogę celi.

Zatrzaśnięto drzwi.

Straszna pomyłka!

Pięściami walił w gładkie, pozbawione klamki i zamka, białe polakierowane drzwi. Po dłuższym czasie otworzyło się okienko judasza. Czyjeś oko zajrzało do środka.

— To pomyłka! — krzyczał. — Jestem Feliks Arski. Doktor milicji!!!

— Doktor milicji! Tego nam brakowało! — zaśmiał się brutalny głos zza judasza. — Po prawej stronie siedzi Einstein, a po lewej król perski.

— Jestem doktor Arski!

— Zgadza się.

— Żądam widzenia z doktorem Żukrowskim! To pomyłka!

— Każdy tak mówi — głos zza judasza roześmiał się. — Doktor Żukrowski sam podpisał nakaz, więc jutro będzie was badał. — Judasz został cicho zamknięty. Oko znikło.

Jutro! Żukrowski sam podpisał nakaz zamknięcia! — Arskiego zaatakowały straszne słowa, okrutne zdania, niezrozumiałe fakty. Co to wszystko ma znaczyć? Nie pojmował nic. Tylko jedno, jedno jedyne stało się dlań oczywiste i zupełnie jasne: Janusz Żukrowski chciał się go pozbyć. Janusz Żukrowski jest w spisku.

Stary, zmęczony człowiek opadł na materace niskiego tapczanu. Owładnęła nim nagła senność.

## XI

*Warszawa, środa, 19 czerwca*

Jedenasta czterdzieści pięć — okrągły, wielki zegar dworcowy pokazywał dokładną godzinę. Porucznik Brodzki odetchnął. Jeszcze na ostatnim kilometrze przed Warszawą bał się jakiejś kraksy, jakiegokolwiek bądź wypadku, który mógłby uniemożliwić mu przybycie na dworzec przed przyjazdem poznańskiego pociągu. Dojechali jednak gładko i szczęśliwie — nawet siedemnaście minut przed czasem! Brodzki wyskoczył z auta, przeciągnął się, ziewnął; nie był śpiący, tylko ogromnie zdenerwowany.

Ktoś trącił go w ramię i usłyszał cicho wymówione własne nazwisko. Obejrzał się. Meldował się wywiadowca z wydziału śledczego, zgodnie z przekazanym z Poznania poleceniem. Jest ich dwóch, z autem, do dyspozycji Brodzkiego. Proszą o dyrektywy. Polecił sprawdzić, czy pociąg ma opóźnienie. Przewornie ustalili to, zanim on przyjechał: dziesięć minut spóźnienia.

Prawie pół godziny czasu.

Z automatu zatelefonował do domu i do biura — że jest. Potem wolnym, spacerowym krokiem obszedł plac przed dworcem, raz i drugi, aby choć trochę nacieszyć się słońcem. Były to godziny najmniejszego ruchu kolejowego i plac był pusty. Kupił peronówkę. Z doświadczenia wiedział, że najlepszym punktem obserwacyjnym, skąd najłatwiej spostrzec oczekiwanego człowieka, jest miejsce na początku peronu, w którym jednolity strumień pasażerów rozszcza się ku poszczególnym wyjściom.

Po pół godzinie głośniki zapowiedziały pociąg z Poznania. Brodzki dał znać agentom. Zostali na placu, on sam wszedł na peron.

Truchtem biegli pierwsi, bardziej śpieszący się pasażerowie. Brodzki usunął się nieco na bok, by idącym nie nasuwać się na oczy.

Obserwował przepływającą mimo masę ludzkich twarzy. Żadna nie wiązała jego uwagi. Czekał na twarz doskonale sobie znaną.

Jest!

Dojrzał ją z daleka. Wyłowił wzrokiem w tłumie innych, najwcześniej jak tylko mógł.

Zobaczył Andrzeja Nowickiego, który spokojnie kroczył w tłumie pasażerów. Andrzeja Nowickiego od kilkunastu dni poszukiwanego przez milicję! Przez parę sekund porucznik Brodzki jakby zapomniał o człowieku, na którego oczekiwał, tak bardzo był przejęty faktem odnalezienia Andrzeja Nowickiego. Tylko podejść, zawołać, chwycić za ramię! Nie mogło bowiem ulegać najmniejszej wątpliwości, że oto widzi przed sobą syna profesora.

Wzrokiem prowadził znaną sobie postać.

Lecz wtem przy Nowickim wyłoniła się inna figura — mężczyzna średniego wieku, ani wysoki, ani niski, blondyn o twarzy bladej, żadnej, nie do opisanego. Brodzki nie znał tego człowieka, ale znał tych ludzi, których pospolita szarzyzna, niemożność odróżnienia ich w tłumie innych, nijakość, umożliwiała fach. Brodzki poznawał swych podkomendnych od jednego spojrzenia — jedno więc spojrzenie na agenta poznańskiej milicji przywróciło mu poczucie rzeczywistości. Mężczyzna, na którego patrzył, nie jest Andrzejem Nowickim, a tylko i wyłącznie doktorem Januszem Żukrowskim.

I to dopiero było zupełnie niezwykle!

Boże! Brodzki naprawdę osłupiał. Przygotowany był na to wrażenie analizą obu fotografii, w ciągu parunastu ostatnich godzin zżył się z myślą o podobieństwie tych dwóch ludzi, ale jednak takiej identyczności nie oczekiwał! Ta identyczność przerażała, przekraczała granicę rozumu, była niesamowita. W ciągu tej pierwszej konfrontacji Brodzki utwierdził się w

przekonaniu, że Żukrowski i Nowicki to dwaj bracia bliźniacy. Tylko bliźniacy mogą być tak identyczni!

Janusz Żukrowski oddał bilet kontrolerowi. Na placu przed dworcem bezskutecznie czas jakiś rozglądał się za taksówką. Nie znalazł żadnej. Poszedł więc dalej, w stronę Alei, i wymachiwał dłonią ku przelatującym autom. Na koniec zatrzymała się przed nim jakaś urzędowa warszawa. „Łepek”. Doktor wsiadł.

Porucznik dał znak ręką — natychmiast podjechała z niedalekiego postoju niska, mocno trzymająca się jezdni „cytryna”. Brodzki zdecydował się osobiście śledzić Żukrowskiego. Nie mógł oderwać się od fascynującej go postaci.

„Cytryna” posuwała się za tamtym, powoli jadącym autem. Raz po raz oba samochody hamowane były czerwonym światłem, skręcającymi tramwajami, wozami — całym normalnym ruchem warszawskiego śródmieścia, będącym dla szoferów istną udręką.

Warszawa leciała prosto Alejami Jerozolimskimi, przez most, zakręciła na Rondzie. Wzdłuż parku jechali już szybciej i swobodniej. Lecz potem znowu musieli stawać na ruchliwych, ciasnych ulicach Pragi.

Na Radzymińskiej warszawa zatrzymała się przed dużą, odartą z tynku kamienicą. Numer dwudziesty ósmy. Zachowana z czasów jeszcze mocno przedwojennych, zamieszkiwana jest — jak podpowiadał Brodzkiemu dobrze zorientowany w tych okolicach agent — przez rzemieślników, przekupniów, robotników praskich fabryk, drobnych urzędników, jak również przez tutejsze lumpenproletariackie męty. Cóż za interes mógł w takiej kamienicy mieć młody poznański naukowiec?

„Łepek” odjechał pośpiesznie. Żukrowski wszedł do bramy. Nim Brodzki zdążył wyskoczyć ze swego auta i przebiec kilkanaście kroków — Żukrowskiego nie dostrzegł już ani w bramie, ani w podwórzu. Stał próbując domyślić się, do której z licznych klatek schodowych mógł skierować się doktor. Wielką praska kamienica miała trzy podwórza i trzy bramy. Ponad sto mieszkań. Kilka klatek schodowych. Bądź tu, człowieku, mądry! Brodzki obejrzał wszystkie trzy podwórza, brukowane, ciemne, ponure, brudne, gdzie między kubłami na śmieci bawiły się całe pułki dzieciaków. Z otwartych okien dobiegały, dźwięki radia. Z kuchen przywiewało najróżnorodniejsze zapachy. Po podwórkach można się było przejść, lecz niesposób było tutaj czekać na Żukrowskiego bez budzenia czujności lokatorów, spośród których wielu ma nader istotne powody, by unikać czyjejkolwiek obserwacji, a większość na kilometr pozna nawet najbardziej zatajonego milicjanta!

Musiał więc czekać na Żukrowskiego w aucie, na ulicy. Już miał wysunąć się z powrotem z bramy, gdy z lewych frontowych schodów wyszedł Żukrowski i powoli, z wyraźnym wysiłkiem dźwigając ciężką, dobrze wypchaną teczkę ruszył Radzymińską ku Żąbkowskiej. Złeciwszy agentowi zebranie informacji o lokatorach lewej frontowej klatki schodowej — Brodzki z auta śledził dalej kroki doktora.

Na ulicy Żąbkowskiej doktor znalazł taksówkę. Pojechali teraz za nim aż na MDM. Do restauracji. Żukrowski usiadł przy jednym z wolnych stolików — Brodzki postanowił przeprowadzić próbę raz jeszcze. Ciągle nie mógł pogodzić się z myślą — i nie był tego tak zupełnie, absolutnie pewien — że śledzony przez niego człowiek nie jest Andrzejem Nowickim. Żywione wątpliwości znów się pojawiły. Zajął więc miejsce trzy stoliki dalej, ale tak, by wzrok tamtego chcąc nie chcąc musiał odruchowo błędząc po sali, natrafić na porucznika.

Doktor spokojnie, bez pośpiechu zamówił obiad, kazał sobie podać kieliszek wódki. Raz i drugi skrzyżowały się ich spojrzenia. Żukrowski musiał zauważyć swego restauracyjnego sąsiada, a jednak twarz jego nie drgnęła nawet najlżejszym skurczem, nie skrzywił się, nie odwrócił oczu ani też nie przyglądał się porucznikowi dłużej, niż zazwyczaj przyglądamy się ludziom zupełnie obcym. Wykluczone, by Andrzej Nowicki mógł być aż tak opanowany!

Korzystając z widocznej sjeisty doktora Brodzki odszedł na chwilę do telefonu. Zadzwonił do biura. Poznań depeszował, że zgłosił się do nich doktor Arski i że o siódmej wieczór

pragnie telefonicznie rozmawiać z porucznikiem.

Arski w Poznaniu! Porucznika ogarnęła złość — tak się głupio minąć! Ale równocześnie podejrzenia jego uzyskiwały potwierdzenie. Jeżeli Arski pojechał z Krakowa (ale dlaczego był w Krakowie?) do Poznania, to znaczy, że Janusz Żukrowski zamieszany jest w tę całą aferę. Dwóch identycznych mężczyzn, a pomiędzy nimi Arski! Wszystko się potwierdzało. Więc eskapada, w jaką się wdał, nie jest nadaremna, trop jest prawdziwy! Brodzki uspokajał sam siebie, gdyż ciągle jeszcze na zbyt wątych przesłankach opierało się to całe jego śledztwo.

Wrócił na salę i usiadł naprzeciw Żukrowskiego. Coraz bardziej był pewien, że ma do czynienia z dwoma bliźniakami i coraz bardziej podejrzewał, że ojcem ich jest doktor Arski. Ojcem — uderzyło go w tym momencie — który synom swym nie przekazał w spadku ani jednego podobnego rysu twarzy, ani jednego podobnego ruchu. Lecz przecież i do profesora Nowickiego żaden z tych dwóch nie jest podobny!

Z restauracji doktor Żukrowski przeniósł się do kawiarni. W tym nowym lokalu Brodzki tak się ulokował, aby będąc dla doktora niewidzialnym, móc go wygodnie obserwować. Żukrowski siedział zupełnie sam i czytał gazety. Potem porucznik tkwił dwie godziny w aucie przed kinem, dopóki doktor nie wyszedł z programu.

Zachowanie się poznańskiego psychiatry było dość osobliwe: ostatecznie człowiek mający dużo pracy nie przyjeżdża z Poznania do Warszawy po to tylko, by spacerować po ulicach, samotnie przesiadywać w restauracjach i kawiarniach, samemu — żeby z kobietą — iść do kina. Jeszcze na dworcu Żukrowski wyraźnie się śpieszył, natomiast wyszedłszy z owego domu na Radzymińskiej zaczął raczej spędzać czas, niż załatwiać jakiegokolwiek interesy.

Z kina doktor powędrował na Nowy Świat. Wszedł do niewielkiej kamieniczki i śledzący go Brodzki bez trudu zorientował się, że doktor wszedł do mieszkania na drugim piętrze. Na drzwiach wizytówka: Zygmunt Jarochowski, architekt.

No! — Brodzki odetchnął. — Nareszcie Żukrowski znalazł się w mniej zagadkowym, bardziej odpowiadającym lekarzowi towarzystwie.

Na Nowym Świecie Żukrowski siedział tak długo, że przed siódmą wieczór porucznik musiał zejść z posterunku, porzucić uparty spacer po ulicy. Za chwilę z Poznania będzie telefonował Arski. Brodzki pojechał do biura, na Nowym Świecie zostawiwszy inwigilacyjny posterunek.

O siódmej nie było telefonu z Poznania. Czekał, niecierpliwiąc się coraz bardziej, aż sam zdecydował się zadzwonić pierwszy. Odpowiedź poznańskich kolegów brzmiała: doktor Arski nie zgłosił się o oznaczonej przez siebie samej godzinie; tam też na niego czekano.

Z niesamowitą dokładnością powtarzała się historia sprzed kilku dni: doktor znowu zapowiedział się — i znowu nie dotrzymał terminu!

Brodzki czekał, zdenerwowany w najwyższym stopniu. Zmęczenie po źle spędzonej nocy, długa jazda samochodem, nużące, wielogodzinne śledzenie Żukrowskiego — wszystko dało mu się we znaki. Na chwilę wyciągnął się na kanapce.

Obudził go telefon. W pokoju było już zupełnie ciemno. Zapalił lampę. Wpół do jedenastej. Spał niemal trzy godziny. Z Poznania nikt nie dzwonił. Może to teraz woła Poznań?

Nie! To tylko wywiadowca, że Żukrowski, tym razem bez teczki, wyszedł z mieszkania architekta i pojechał na ulicę Radzymińską dwadzieścia osiem, gdzie siedzi już niemal godzinę. Udało się ściśle ustalić mieszkanie, do którego wszedł. Mieszkanie Alfreda Zielińskiego, aktora, pracownika „Estrady”. — Czy porucznik przyjedzie? — pytał agent.

Brodzki z niejakim trudem odzyskiwał pełną świadomość. Co było w tej chwili bardziej istotne: czekać na telefon Arskiego, czy śledzić Żukrowskiego? Miał nadzieję, że doktor odezwie się jeszcze, a bezwarunkowo musiał z nim rozmawiać osobiście. Zaraz wywoła Poznań, każe go szukać. Żukrowskiego na razie mogli śledzić agenci. Zdecydował, że zostanie przy telefonie, a na ulicę Radzymińską pošle tylko wzmocnioną obstawę. Przecież Żukrowski

mógł na Radzymińskiej nawet nocować, choć fakt pozostawienia teczki u Jarochowskich raczej temu przeczył.

Wywołany Poznań meldował, że Arski jeszcze się nie zgłosił. Brodzki polecił go szukać. Siedział więc teraz w swym gabinecie oczekując wiadomości: z daleka — z Poznania, i z bliska — z ulicy Radzymińskiej.

Z Poznania nie było żadnych.

Z Radzymińskiej zameldowano mu przed północą, że doktor Żukrowski opuścił mieszkanie Zielińskiego i wrócił, już chyba tym razem na całą noc, na Nowy Świat, do Jarochowskich.

Brodzki zarządził ścisłą inwigilację obu mieszkań i ich lokatorów.

## XII

*Warszawa, czwartek, 20 czerwca*

Pauza!

Dużymi fantazyjnie ozdobionymi literami porucznik Brodzki wyrysował to krótkie słowo na arkusiku papieru. Jak wielu ludzi, on też rysował esy i floresy, gdy myślał intensywnie bądź czekał, nie mogąc działać.

A właśnie teraz działać nie mógł! Nie miał nic do roboty poza przeraźliwym czekaniem. Dzień wczorajszy wypełniony był faktami i ruchem — dzisiejszy był właściwie pusty. Był dniem oczekiwania — właśnie pauza! — tak się przynajmniej w tej chwili porucznikowi Brodzkiemu zdawało.

Wpół do dziesiątej wieczorem. Jeszcze jest jasno, zmierzcha zaledwie; nowowprowadzony czas letni znakomicie przedłuża dzień. I chyba tylko światło dzienne daje porucznikowi nadzieję, że i dziś coś się jeszcze może zdarzyć. Więc po raz setny i pierwszy Brodzki porządkuje sobie fakty dnia mijającego.

Arski nie zatelefonował! Mało tego — przepadł! Milicja poznańska przetrząsnęła wszystkie hotele. Wzmoczona została obserwacja dworców. (Pewnie zbyt późno! — Brodzki żywił cichą nadzieję, że Arski w ślad za Żukrowskim przybył do stolicy i lada chwila odezwie się jego telefon, już z Warszawy). Na głównych arteriach wylotowych rewidowane są wszystkie samochody opuszczające Poznań. I ciągle żadnego śladu — ostatni meldunek przysłano z Poznania dwie godziny temu. Tamtejsi śledczy sugerują Brodzkiemu zgodę na rozplakatowanie listu gończego, zaopatrzonego w fotografię Arskiego, ale porucznik waha się z podjęciem takiej decyzji.

A więc fakt pierwszy — groźny, nadal gmatwający zagadkę.

Fakt drugi — wywiadowcy obserwujący mieszkanie Alfreda Zielińskiego ponieśli porażkę. „Technik z elektrowni”, który od samego rana zaczął pracować na schodach, nieco powyżej obserwowanego mieszkania, zobaczył, że około godziny dziesiątej wyszedł stamtąd nieco starszy, szpakowaty brunet w grubych okularach, z plastrem na prawym policzku i powoli zszedł na dół. Elektromechnik musiał chwilę odczekać. Nim zwinął narzędzia i wybiegł na ulicę, czarna chevroleta znikła już za rogiem — za późno było biec po stojącą dalej w bocznej ulicy „cytrynę” — a drugi wywiadowca najspokojniej spacerował sobie po chodniku, nie podejrzewając, iż właściciel czarnej limuzyny może mieć coś wspólnego z Alfredem Zielińskim. Zieliński odjechał więc samochodem, który całą noc zaparkowany był przed bramą, na ulicy. I obu inwigilującym do głowy nie przyszło, że samochód ten winien



być również przedmiotem ich zainteresowań. Z zawodowego nawyku wywiadowca zapamiętał sobie tylko numer: H-77485.

Sprawdzono w rejestrze, że chevroleta należy do właściciela dwóch taksówek jako wóz prywatny, odnajmowany przez niego klientom na dłuższe okresy czasu. Właściciel auta zeznał na przesłuchaniu, że obecnie czarną chevroletę wynajął na miesiąc panu... Alfredowi Zielińskiemu, zamieszkałemu przy ulicy Radzymińskiej, szpakowatemu brunetowi, który transakcję zawierał w towarzystwie innego pana o nie znanym taksówkarzowi nazwisku, rozmawiającego bardzo złą polszczyzną, z cudzoziemskim akcentem. To były fakty bardzo podejrzane! Aktor grywający, jak zdołano ustalić, w „Estradzie”, w drugorzędnych, objeżdżających głuchą prowincję zespołach, wynajmuje sobie auto! Akurat na czas spędzenia urlopu. Za czyje pieniądze? Za pieniądze tego cudzoziemca? Cudzoziemiec — nowy znak zapytania w sprawie już i tak pełnej tych znaków.

Fakt trzeci — koło południa doktor Żukrowski opuścił mieszkanie na Nowym Świecie, z wypchaną teczką w rękę, a więc nie miał zamiaru wracać tam na noc. Autobusem pojechał na plac Komuny Paryskiej, tam przesiadł się w drugi autobus, idący na daleki Marymont. Z przystanku autobusowego udał się, według wskazówek zanotowanych na odwrocie pudełka papierosów (widziano, jak sprawdzał), do znajdującego się nie opodal skarpy wiślanej domu ogrodnika. Dom ten osłonięty jest od ulicy drzewami i inspektami.

Żukrowski wszedł do ogrodnika o godzinie 13 minut 10, mimo iż na furtce wisiała kartka, że „dzisiaj sprzedaży nie ma”, co denerwowało klientki odchodzące z niczym. Poza Żukrowskim przez cały dzień ani nikt z domku nie wychodził, ani nikt do domku nie przychodził. Wobec przedłużającej się wizyty doktora — po południu porucznik osobiście pojechał na Marymont i obejrzał sobie ten dom z daleka; ze względu na odsłoniętą ulicę prowadzącą do furtki inwigilacja była trudna. Ustalono tylko, kto tam mieszka. Ogrodnik Mateusz Ścibor, wdowiec lat 55, i jego córka Maria, lat 25, pomagająca ojcu w gospodarstwie. Interes ogrodniczy, według marymonckich milicjantów, prosperuje znakomicie. Ogrodnik i córka mają opinię ludzi zupełnie spokojnych. To wszystko.

Ostatnia wiadomość z Marymontu była sprzed kwadransa: Ścibor z córką około dziewiątej wieczorem wrócili do domu. Żukrowski nadal nie wyszedł. Jak wynikało z obserwacji, przebywał tam dzień cały pod nieobecność gospodarzy.

A więc fakt trzeci — dziwny i wysoce podejrzany. Zachowanie się Żukrowskiego w Warszawie było coraz bardziej osobliwe. „Ale — myślał porucznik Brodzki — gdyby poddać wyłącznie takiej wycinkowej obserwacji stu dowolnych przechodniów — zachowanie dziewięćdziesięciu dziewięciu z nich budzić by mogło takie samo zdumienie. Czy może to być podstawą do podejrzeń i oskarżeń? Czy wolno będzie za kilka godzin — jeżeli doktor nie opuści domku ogrodnika — zacząć akcję milicyjną?”

Brodzki wiedział, że posiadane dowody są bardzo skąpe, ale też czuł, że już w tym stanie śledztwa musi ryzykować, jeżeli nie ma go spotkać zupełna kompromitacja.

Wyrysował słowa „pauza”! Trwająca pauza, chwila zastoju. Na dworze już było ciemno. Dziś nic się nie zdarzy. Czy jutro będzie mógł działać?

## XIII

Warszawa, piątek, 21 czerwca

Zatrzymali auto na małej, odludnej uliczce. Stąd do posesji ogrodnika Ścibora był jeszcze kawałek drogi, ale porucznik nie chciał podjeżdżać pod sam dom, wołał zachować środki ostrożności. Asyście kazał towarzyszyć sobie z daleka, sam ruszył przez ulice Marymontu, który w tym miejscu był już raczej dużą wsią niż stołecznym przedmieściem. Łączki, poletka, małe domki, świeżo wybudowane, jeszcze nie otynkowane, stawiane wszystkie według jednolitego wzoru, najtańszego, gdyż najmniej drzewa zużywającego na dach. Dzień — jak wszystkie dni tego czerwca — był piękny; poranek znowu zapowiadał południową spiekotę. Brodzki zobaczył obu swych wywiadowców, jak udając podmiejskich lumpów zapalczywie rznąli w karty, rozłożeni na trawie nie opodal domku ogrodnika.

Posesja Ścibora od strony ulicy była tylko prowizorycznie ogrodzona. Parę kolczastych drutów podtrzymujących z obu stron rachityczną furtkę nie mogło stanowić dla nikogo przeszkody. Uliczka podchodziła pod same wejście, dalej były krzaki i drzewa, które razem z bogatymi inspektami zasłaniały sam dom mieszkalny.

Porucznik pchnął furtkę, ścieżką między drzewami podszedł do domu, przed którym strugał ogrodowe kijki sam gospodarz. Szczupły, starszy już człowiek.

— Dzień dobry! — wymienili pozdrowienia. Ogrodnik stwierdził, że to dobry znak rozpoczynać dzień od klienta — mężczyzny, przeważnie przychodzą kobiety.

Brodzki przedstawił się. Jest pracownikiem stołówki ministerstwa spraw wewnętrznych. Chciałby dowiedzieć się ceny warzyw i zapytać o warunki ewentualnych dostaw. Ogrodnik zdziwił się, że chcą brać od niego, a nie od dostawców uspołecznionych, ale obiecał wywiązać się ze wszystkich umów. Przybyły rozglądał się po gospodarce.

— Ładne inspekty — mruknął. — Nie boi się pan złodziei? Te druty to...

— Kraść kradną, zawsze ogrodnikowi kradną, ale mniej niż pan przypuszcza. Pies? Boże! Ilu ja już ludziom płaciłem za poszarpane spodnie, kurtki, spódnice. Wchodzą sobie od strony Wisły jak na spacer. Nikt nie uważa, jak włazi na cudze zagony.

Gadali przez dłuższą chwilę o psach, o ich walorach, Brodzki opowiadał anegdoty, jakie wśród milicjantów krążyły na temat psów policyjnych. Ogrodnik przyniósł z domu papier, aby spisać zamówienie. W pewnym momencie porucznik zdecydował zmienić kierunek rozmowy:

— A mnie to do pana polecił pewien pański znajomy.

— Który?

— Nie znam jego nazwiska. Przychodzi do nas do biura. Taki przystojny blondyn, niebieskooki, z małą myszką na prawym policzku.

Porucznikowi zdawało się, że w oczach ogrodnika mignęło zaniepokojenie. Ścibor zastanawiał się przez chwilę, potem odpowiedział spokojnie:

— Człowiek ma tylu klientów, tylu tutaj przychodzi, tylu kupuje, kto tam ich spamięta. Dobrze, że polecają mnie łaskawym słowem.

Odpowiedź była wymijająca. Porucznik zdecydował się przystąpić do akcji bezpośredniej. Z kieszeni wyjął pocztówkowego formatu zdjęcie doktora Janusza Żukrowskiego i podsunął je przed oczy ogrodnika.

— Ja właśnie mówię o tym panu.

Ścibor spojrział na fotografię, potem na porucznika, jeszcze raz opuścił wzrok na papierowy kartonik i długą chwilę medytował. Aż Brodzki znecierpliwiał się i przynaglił krótkim: — No?

— Co to pana obchodzi, czy ja go znam?

Brodzki wyciągnął legitymację oficera służby śledczej MO i również podsunął ją pod oczy ogrodnika, dodając przy tym:

— Nie po warzywa tutaj przyszedłem.

Ścibor odsunął oba dokumenty: legitymację i fotografię.

— To jest narzeczony mojej córki — powiedział już tym razem bez żadnych wykrętów, ale lekko drżącym głosem.

— Nazwisko?

— Zieliński, Alfred Zieliński. — Informacja udzielona była niechętnie.

Porucznika Brodzkiego przeszło nagle zimno. Ta sama, identycznie ta sama twarz i — trzecie jej nazwisko! Pierwszym odruchem zaskoczonego oficera była myśl, że Zieliński to drugie nazwisko albo Andrzeja Nowickiego albo Janusza Żukrowskiego. Może któryś z nich mógł być nawet narzeczonym córki ogrodnika? Ale przecież ten Zieliński, lokator mieszkania na ulicy Radzymińskiej — choć według agentów wyglądał on inaczej niż według relacji ogrodnika — był aktorem w objazdowym zespole, tymczasem tryb życia Żukrowskiego i Nowickiego żadnych częstych wyjazdów z miejsca zamieszkania w badaniach nie ujawnił.

A więc trzeci sobowtór?

Dziesiątki pytań, supozycji, podejrzeń galopowało przez głowę porucznika Brodzkiego. Zanim zebrał rozhułkane myśli, przypomniał sobie to, co przed kilkoma dniami w ostatniej rozmowie telefonicznej powiedział mu doktor Arski: w tej sprawie chodzi o coś znacznie poważniejszego niż kradzież kosztownych kamieni. I po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia śledztwa porucznik poczuł, że doktor ma rację. Brylantowy trop wiódł go w jakąś niesamowitą tajemnicę, którą musi rozwikłać. Dłuższa chwila minęła, nim zadał następne pytanie:

— Gdzie ten Zieliński pracuje? Czym się zajmuje?

— Jest aktorem w objazdowych teatrach. Nie pamiętam, jak się nazywa ta instytucja, co organizuje występy.

— „Estrada” — odpowiedział Brodzki. Ogródnik potwierdził.

— Gdzie mieszka?

— Na Pradze. Na Radzymińskiej. Nie pamiętam dokładnego numeru. Nigdy tam nie byłem.

— Był wczoraj tutaj?

— Był.

— O której?

— Rano. Przed naszym wyjazdem.

— Dokąd państwo wyjeżdżaliście?

— Do szwagrostwa. Pojechaliśmy do Ożarowa.

— Wszystko będzie sprawdzone.

— Proszę bardzo. Pomianowski Adam. Ożarów...

— Potem zapytam o to dokładniej — przerwał porucznik.

Ogródnik skinął głową. Porucznik wyczuł, że Ścibor zrobił się uległy, jakby w ten sposób pragnął coś utaić. Wyraźnie czegoś się bał, był zdenerwowany.

— Proszę zawołać córkę — porucznik równocześnie przytrzymał Ścibora ręką, tak, by tamten słowa „zawołać” nie zrozumiał jako „pójść i sprowadzić”.

Ścibor krzyknął: — Marysiu!

Dziewczyna musiała być blisko. Zaczerwieniona, szybko pojawiła się zza węgła domku.

„Ładna, z gustem ubrana warszawianka” — ocenił Brodzki.

— Pan jest z milicji. Pyta o Alfreda — przedstawił Ścibor.

— O Alfreda? — powtórzyła. Jej zdenerwowanie było też zupełnie jawne. Stała obok ojca. Porucznik spojrzał na jej dłonie opuszczone wzdłuż bioder — lekko drżały.

— Dawno zna pani pana Zielińskiego?  
— Z rok będzie.  
— Gdzie on pracuje? — porucznik konfrontował.  
— Jest aktorem w „Estradzie”.  
— Gdzie mieszka?  
— Radzywińska dwadzieścia osiem, mieszkania czternaście.  
— Kiedy widziała go pani po raz ostatni?  
— Wczoraj. Przyszedł tu do nas po dziesiątej rano i wkrótce potem razem wyszliśmy. Pojechał z nami autobusem aż na plac Komuny Paryskiej.  
— Na kiedy państwo się teraz umówiliście?  
— Nie umawialiśmy się. Alfred wczoraj wyjechał na całą serię przedstawień. Aż na Ziemię Zachodnie. Teraz u nich najlepszy sezon.  
— A tego pana pani zna? — jeszcze raz wyciągnął z kieszeni fotografię doktora Żukrowskiego.

— Alfred — powiedziała zmuszając się do spokoju.  
Brodzki zażądał teraz, by oprowadzono go po całym mieszkaniu i po ogrodzie. Pokazał przygotowany nakaz rewizji.

Mieszkanie jak w takim domku: więcej rozmaitych korytarzy, zakamarków, wnęk, komórek i komór niż pokoi. Kuchnia, piwnica, stryszek dość obszerny, a tylko dwa niewielkie pokoiki, urządzone dostatnio, ale bez żadnej troski, byle jak zapchane meblami i mebelkami. W pokoju córki szeroki tapczan przy ścianie oraz wąskie składane łóżko po drugiej stronie, nieporęcznie ustawione przed szafą na bieliznę, jakby tylko przypadkowo tu się znalazło.

— Kto tutaj śpi? — zapytał Brodzki.  
— Ja — odpowiedziała Ściborówna.  
— Na tapczanie. A na tym łóżku.  
— Koleżanka czasem przyjedzie czy ktoś ze znajomych. Czasem sypiał tutaj Alfred.  
W mieszkaniu nic nie zainteresowało porucznika. Jeszcze jedno spojrzenie na oba pokoje — i jedno pytanie:

— Czy Zieliński tutaj właśnie siedział z państwem wczoraj rano?  
— Tutaj też. Wszędzie.  
— Czy pani dzisiaj rano sprzątała pokój?  
— Tak... — Odpowiedź brzmiała niepewnie. — Ścierałam kurze, sprzątałam.

Mimo to postanowił przysłać daktyloskopa.

Sad był duży, rozległy, rozciągał się aż po sam brzeg skarpy opadającej do lasku. Laskiem można było dojść do Wisły — kilka stromych drózek prowadziło w dół. Odgródzone były one drutem kolczastym, ale najistotniejszą ochronę tej części ogrodu stanowił pies, warujący w swej budzie, od strony skarpy osłoniętej kupą ziemi. Miał łańcuch dostatecznie długi, by nagle móc uchwycić za nogę każdego amatora cudzych warzyw i owoców. Zejścia ze skarpy nie można było dojrzeć od strony miasta. Tędy mógł ulotnić się doktor Żukrowski. Dlaczego nie chciał wyjść frontem posesji? Czy wiedział, że jest obserwowany? Jak dał sobie radę z psem? Najwidoczniej pies znał go jako domownika. W jaki sposób zagadnąć Ściborów o Żukrowskiego. Zaprzeczą — i mogą zaprzeczyć, gdyż nie było ich w domu. Z tym pytaniem należy poczekać, aż zbierze się więcej materiału dowodowego.

Brodzki wrócił z gospodarzami do domu. Kazał, aby podjechało auto. Musiał działać energicznie, lecz ostrożnie. Ojciec i córka zostali zatrzymani do wyjaśnienia i natychmiast wysłani do aresztu wydziału śledczego. Już po ich odjeździe przeprowadzono w całym mieszkaniu bardzo dokładną rewizję, która wykryła wciśnięty za bielizniarkę pokrwawiony bandaż i opatrunek.

Prosto z Marymontu porucznik Brodzki pojechał na Pragę. Wywiadowcy inwigilujący mieszkanie Alfreda Zielińskiego nie mieli nic nowego do zakomunikowania. Nikt do

mieszkania nie wchodził, nikt nie wychodził. Porucznik odnalazł dozorcę kamienicy, który zidentyfikował pokazane mu oba zdjęcia — Żukrowskiego i Nowickiego — jako fotografię lokatora spod czternastki, Alfreda Zielińskiego.

A więc chyba jednak trzeci bliźniak? I zniknął — jak tamci. Trzej identyczni ludzie, znikający w tajemniczy sposób, to trochę za wiele! Porucznik chwilami nie był pewien, czy nie majaczy. W głowie mu się mąciło. Wziął się jednak w karby. Dalej prowadził badanie:

— Czy przedwczoraj, w środę wieczorem, ktoś po godzinie jedenastej wychodził z kamienicy? Mężczyzna słusznego wzrostu? — rozpytywał. Odpowiedź nie była żadną informacją. Kamienica jest wielka i ruchliwa. Iluż to mężczyzn każdej nocy wychodzi już stąd po zamknięciu bramy, ho. Kto by tam każdego z nich spamiętał?! Otwiera — to jego obowiązek, ale nie interesuje się tym, kto i od kogo wychodzi! Jasne.

Alfred Zieliński mieszkał w kawalerce bez kuchni. Pokój czysty. Urządzony bardzo skromnie. Dużo fotografii sławnych aktorów, pineskami przytwierdzonych do ścian. Kilkadziesiąt książek — wszystkie o teatrze albo teksty sztuk dramatycznych z pozakreślonymi stronicami. Metoda Stanisławskiego — pilnie studiowana, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie mowa o ćwiczeniach fizycznych. Stare numery pism teatralnych. Kilka książek medycznych. Genetyka! „Ciekawe — pomyślał porucznik. Żadnych listów ani notatek. Czyżby celowo zostały one usunięte?”

Przez cały czas niedługiej rewizji — i potem jeszcze, gdy daktyloskop zdejmował liczne ślady palców — Brodzki myślał o jednym tylko: jeżeli wygląd pokoju jest funkcją charakteru, pasji, zainteresowań mieszkającego człowieka, to dwa pokoje: tamten, Andrzeja Nowickiego, i ten, Alfreda Zielińskiego — najbardziej dobitnie świadczyły przeciwko jedności osobowej ich właścicieli. Pokój na kolonii Staszica należy do człowieka systematycznego, skrupulatnego, dokładnego; ten, tutaj — jest pokojem artysty, o czym świadczyły nie tylko książki i zdjęcia teatralne, ale i nieład, w jakim wszystkie przedmioty były ułożone.

Dwie popielniczki potwierdzały przedwczorajszą wizytę Żukrowskiego — w obu były innego gatunku papierosy. Lecz kim był ten trzeci mężczyzna, który wczoraj rano odjechał stąd samochodem? Który tutaj spędził całą ubiegłą noc? Kiedy natomiast ze swego mieszkania wyszedł Alfred Zieliński? A może wcale do mieszkania nie przyjeżdżał? Może Żukrowski spotkał się tutaj z kimś, kto nie był Zielińskim, ale miał klucze i prawo dysponowania mieszkaniem Zielińskiego?

Rewizja utwierdziła Brodzkiego w przypuszczeniu, że w tej sprawie pojawił się trzeci człowiek, identycznie wyglądający jak dwaj pozostali, ale też nie rozwiązała żadnego z poprzednich pytań — przeciwnie, kazała formułować nowe.

Gdy rozstawszy się z dozorcą wyszli z kamienicy, Brodzki kazał wywiadowcy wrócić ukradkiem do mieszkania Zielińskiego i siedzieć tam w przyczajeniu, oczekując na kogoś, kto przyjdzie.

Popołudnie rozpoczęło się od rozmowy z właścicielami mieszkania na Nowym Świecie, u których nocował Żukrowski. W przedstawionej fotografii zarówno architekt Jarochowski, jak i jego żona natychmiast poznali swego przyjaciela, który rzeczywiście spędził u nich noc ze środy na czwartek. Jak to zresztą miał w zwyczaju, ilekroć przyjeżdżał do Warszawy. U Jarochowskich Żukrowski uważany był po prostu za członka rodziny. Mógł zjawić się o każdej porze dnia lub nocy — tapczan był zawsze dla niego wolny. Bywało nawet i tak, że Jarochowscy, wychodząc z domu, a będąc uprzedzeni o przyjeździe Janusza, zostawiali mu klucze u dozorczy.

Jarochowski znał Żukrowskiego niemal od dziecka. Razem skończyli szkołę średnią, a potem równocześnie studiowali i choć Jarochowski kończył architekturę w Warszawie, raz po raz wpadał do rodzinnego Poznania, zawsze spotykając się z przyjacielem. Ojciec Żukrowskiego, dobrze sytuowany urzędnik bankowy, zamordowany został podczas wojny. Matka z synem przeżyli okupację w Warszawie, potem wrócili do Poznania. Pani Żukrowska zmarła

w rok po wojnie, a Janusz sam przebijał się przez studia.

— Czy doktor Żukrowski często przyjeżdżał do Warszawy?

— W zasadzie rzadko. Niewiele miał na to czasu.

— Czy jest pan zupełnie pewien, że zawsze, gdy przyjeżdżał, zatrzymywał się tylko u państwa?

— Trudno na to tak zdecydowanie odpowiedzieć. O ile wiem, nigdy nie nocował u nikogo innego ani w żadnym hotelu. Zresztą, gdyby tak było, powiedziałyby mi o tym. No, ale tej ewentualności na sto procent wykluczyć nie mogę.

— Czy pan rzeczywiście tak dobrze znał rodzinę doktora Żukrowskiego?

— Bardzo dobrze i bardzo blisko.

— Hm! A nic pan mi jeszcze nie powiedział o bracie doktora Żukrowskiego.

— O bracie? On nie ma żadnego brata! Wiedziałbym o tym.

— Doktor Żukrowski ma brata. Bliźniaka. Nawet mieszkającego w Warszawie.

— Niemożliwe!

— Dlaczego? Czy pani Żukrowska nie mogła mieć dwoje dzieci lub bliźniaków?

— Oczywiście, że mogła! Ale jaki interes miałby Janusz ukrywając przede mną ten fakt?

— Różne sytuacje bywają w różnych rodzinach i różne rodziny mają różne tajemnice, które często potrafią znakomicie zakonspirować przed najbliższymi sobie ludźmi. Dziecko mogło być upośledzone? — porucznik rozmyślnie prowokował zeznania inżyniera Jarocho-wskiego.

— Janusz nie jest człowiekiem, który wstydziłby się upośledzonego brata. Jestem zupełnie pewien, że znałbym nawet najtragiczniejsze dzieje jego rodziny, jeżeli byłyby one faktem. Nie jest mi nic wiadome, żeby Janusz miał brata i wykluczam istnienie jakiegokolwiek takiej tajemnicy.

— A jednak... No, mniejsza z tym. Pan nie wie, ale to jeszcze niczego nie przesądza. Rozmawiamy więc o tym, co panu jest na pewno wiadome. Kiedy doktor Żukrowski był u państwa po raz ostatni?

— Właśnie wczoraj i przedwczoraj. Opuścił nas wczoraj w południe. Pożegnaliśmy się, gdyż popołudniowym pociągiem miał już wracać do Poznania.

— A kiedy był u państwa przedtem, przedostatni raz?

— Stosunkowo nie tak dawno. Normalnie znacznie dłuższy przeciąg czasu dzielił jego wizyty.

— Dokładnie. Możliwie dokładnie.

— Dwa, trzy tygodnie temu.

— Proszę przypomnieć sobie dokładną datę. To bardzo ważne.

Jarochowski głośno kombinował:

— Akurat byliśmy z żoną na premierze w „Narodowym”. — Wyciągnął kalendarzyk i rachował dni. — To był... tak, to był poniedziałek trzeciego czerwca. Dwa i pół tygodnia temu. Wróciwszy z teatru zastaliśmy we drzwiach kartkę od Janusza, że jest, że przyjechał, że przyjdzie przed północą. Co też nastąpiło. Nocował u nas.

— Ile dni?

— Wyjechał dopiero w środę po południu.

Porucznik nie potrzebował zaglądać do kalendarza. We wtorek 4 czerwca dokonano w „Jubilerze” owej zuchwałej kradzieży.

— Nie wie pan, co Żukrowski robił wtedy w Warszawie? Jaki interes miał do załatwie-nia? Co mówił państwu?

— Nic nie mówił. Nie opowiada się z tego, co robi, chyba że zdarzy mu się coś bardzo dla nas ciekawego. Cały wtorek spędził, jak zwykle, poza domem.

— Wrócił późno?

— Dość wcześnie, koło ósmej, ale był nieswój, zmęczony, zdenerwowany. Usprawiedliwiająć się bólem głowy, zaraz poszedł spać. W środę nigdzie nie wychodził, odpoczywał aż do odjazdu pociągu.

— Czy jest pan absolutnie pewny tej daty?

Jarochowski wymownym gestem pokazał kalendarzyk.

— Jeszcze jedno pytanie: jak jest sytuowany doktor Żukrowski? Czy dobrze zarabia?

— No, jak startujący lekarz. Nie za wiele. Ale praktykę ma i w zasadzie ostatnie dwa, trzy lata już się nie skarżył na trudne warunki.

— A gdybym tak poprosił pana o określenie mi jednym słowem, w najkrótszy sposób, postaci, charakteru pańskiego przyjaciela, jakie słowo byłoby według pana najtrafniejsze?

— Jednym słowem? — Jarochowski zamyślił się. — Jednym słowem? Tak najpełniej... Piekielnie ambitny, raczej skryty, trudno obdarzający innych przyjaźnią. W swej naukowej pracy twórczy, sumienny, wyczulony — jako psychiatra — na niedole człowieka. O! Mam to słowo! „Dociekliwy” — umie pytać i potrafi słuchać. Umie słuchać — jak mało kto umie słuchać. Pasjonują go losy ludzi i zagadki psychologii. Pracy swojej jest bezwarunkowo oddany, w swoich wnioskach — bardzo śmiały i odważny.

Porucznik pomyślał: „Jak ojciec” — Arskiego o to ojcostwo podejrzewał stale — ale głośno zapytał:

— Ryzykant?

— W nauce czy w życiu osobistym?

— To się jakoś łączy.

— Nie zawsze. Janusz jest, moim zdaniem, zdolny do niebywałego ryzyka, jeżeli będzie miał nadzieję odkrycia czegoś przydatnego dla swej pracy zawodowej lub naukowej.

— Więc typ ambitnego naukowca?

— Bezwarunkowo tak!

Nie, w tym wizerunku nie było miejsca na działalność przestępczą. Zeznania i charakterystyka inżyniera Jarochowskiego zgadzały się zresztą, nawet w najdrobniejszych szczegółach, z raportem, który przysłano dzisiaj z Poznania. Ale przecież fakty mówiły coś zupełnie innego: sobowtór podejrzanego o kradzież brylantów i sobowtór aktora, osobliwa wędrownica po Warszawie, wizyta w domu ogrodnika i wszystkie okoliczności z tą wizytą związane, ujście śledzącym go detektywom, wreszcie charakterystyczna obecność w Warszawie akurat w dniu popełnienia kradzieży w „Jubilerze”, kradzieży — o tym już porucznik był bezwarunkowo przekonany — umożliwionej charakterystyczną identycznością dwóch lub nawet trzech osób.

Brodzki zamyślił się. Jarochowski oczekiwał następnego pytania. I porucznik zadał je po chwili.

— Czy obcując dużo z doktorem Żukrowskim nie słyszał pan od niego albo od jego matki nazwiska: Arski. Doktor Feliks Arski?

— O tak. Wielokrotnie.

— W jakich okolicznościach? Poznał pan może tego Arskiego przez doktora Żukrowskiego?

— Nie. Nie widziałem go nigdy. O Arskim często mówili i jego matka, i sam Janusz. To był lekarz, bodajże ginekolog, ale podobno bardziej naukowiec niż ordynator, który bardzo serdecznie przyjaźnił się z matką Janusza. Przed wojną nawet przyjeżdżał do nich do Poznania. Po wojnie Janusz będąc w Warszawie odwiedzał go od czasu do czasu. Rzadko, ale bywał u niego.

— Czy opowiadał panu szczegóły owej naukowej działalności doktora Arskiego?

— Bardzo ogólnikowo. To były sprawy kobiece, porodowe, coś w tym rodzaju. Potem zresztą podobno zaprzestał swych badań. Miał jakieś przykrości... Janusz mi to kiedyś, bardzo już dawno, opowiadał, ale dziś niewiele z tego pamiętam.

— W każdym razie doktor Żukrowski utrzymywał kontakt z doktorem Arskim do obecnych czasów?

— Ostatnio nie rozmawialiśmy o tym ze sobą, ale chyba nadal odwiedzał pana Arskiego. Tak sądzę.

Porucznik był absolutnie przeświadczony, że inżynier mówi mu prawdę. Jego wygląd był ujmujący, sympatyczny. Ale oczy Andrzeja Nowickiego też były takie szczerze... Brodzki rozważał, czy powinien zatrzymać Jarochowskich, czy też puścić ich wolno, nadal prowadząc tylko inwigilację mieszkania. Wreszcie zdecydował się na tę drugą ewentualność.

— Dziękuję panu. Proszę być jednak przygotowanym na możliwość następnej rozmowy i proszę bez powiadomienia mnie nie opuszczać Warszawy aż do odwołania.

Teraz polecił sprowadzić z aresztu Marię Ścibor, córkę ogrodnika.

Siedziała po drugiej stronie biurka, smutna, jakby oblana wodą. Parogodzinny areszt do niepoznania zmienił tę ładną, żywą, młodą kobietę — tak ocenił porucznik Brodzki. Siedziała zmaltretowana. Na twarzy miała ślady łez. Suknia była pognieciona od leżenia na pryczy. Milcząc oczekiwała pierwszego pytania.

— Pani narzeczony, Alfred Zieliński, podejrzany jest o kradzież, poważną kradzież, popełnioną w jednej z instytucji handlu zagranicznego...

— Nieprawda! — przerwała mu z nagłą pasją. — Nieprawda!

— Posiadamy dowody.

— Przeciwko Alfredowi nie możecie mieć żadnych dowodów — jakby odżyła w gniewie zrodzonym z głębokiego uczucia. — To jest piękny i uczciwy człowiek!

— W pani oczach...

— Nie tylko w moich oczach. On naprawdę jest pięknym człowiekiem. Ma tylko jedną namiętność: teatr. O tym tylko marzy.

— Gra przecież w teatrze.

— W jakim? Co to za teatr, takie objazdowe wygłupianie się.

— Dlaczego nie może grać w innym teatrze?

— Papierka nie ma. Dyplomu ukończenia szkoły. Usunęli go ze szkoły teatralnej. Miał już za sobą trzy lata, ale był, jak powiedzieli, niesforny. To nieprawda! Po prostu był zdolniejszy od swoich profesorów i bali się jego konkurencji. Taki świat! — Mówiła to w złości i oburzeniu.

— Zaraz po szkole poszedł do teatru objazdowego?

— Nie. Do czego on się już nie brał! W gazetach pisał, pracował jako murarz, był szoferem... Wszędzie biednemu wiatr w oczy. Za hardy, za dumny...

— Może właśnie dlatego potrzebował większych pieniędzy, by stanąć o własnych siłach.

— A pan był w jego pokoju? Pan widział, jak on nędznie mieszka? Jakby kradł, to by tak nie mieszkał!

— Nie mówię, że kradł dawniej czy że kradł stale, ale że jest podejrzany o kradzież... Mamy dowody.

Maria Ścibor bezradnie poruszyła ramionami.

— Pani może o tym wszystkim nie wiedzieć. Zgódźmy się z tym, na początek. Ale w takim razie prosiłbym panią o wyjaśnienie, którego niechybnie może pani udzielić. Kogo pani opatrywała niedawno? We własnym pokoju?

W oczach dziewczyny zamigotał strach.

— Ja... nikogo nie opatrywałam.

— Proszę nie kłamać!

— Aha, prawda — mówiła jękając się ze zdenerwowania — nasz pies pogryzł jakiegoś człowieka...

— Proszę nie kłamać!



Milczała.

— Pani tłumaczy mi, że narzeczony nie mógł nic ukraść. Jak ja mam pani wierzyć, kiedy teraz próbuje mnie pani wprowadzić w błąd!

Milczała.

Porucznik wyjął z biurka pokrwawione bandaże.

— Więc?...

— On nie mógł ukraść. On nic nie ukradł! Proszę pana... — zaczęła gwałtownie i szybko, ale zacięła się znowu.

— Słucham. Ale teraz chciałbym raczej wiedzieć, kogo pani opatrywała?

— Proszę pana! To nie on! To wszystko nie on! To ten... — ton nienawiści zabrzmiał w jej głosie — ten... brat.

— Brat! — Porucznik aż krzyknął, lecz zaraz opanował się. — Ten bliźniak?

— To pan też wie? — Była zdziwiona.

— Ja wiem bardzo dużo. Często Zieliński z bratem bywał u pani?

— Bywał? Z tamtym? Nigdy przedtem. Zobaczyłam go i dowiedziałam się o nim po raz pierwszy tego wieczoru, kiedy go Alfred, właśnie rannego w głowę, do nas przywiózł. Przedtem mi nawet nigdy o tym bracie nie mówił.

— Kiedy i jak przywiózł Zieliński do państwa tego rannego brata? Proszę mi wszystko dokładnie powiedzieć.

— Powiem panu, powiem panu wszystko! Pan zobaczy, że to winien jest brat, a nie Alfred.

— Kiedy to było? Proszę dokładną datę.

— Pamiętam. Przez całe życie będę pamiętała. To było w czwartek szóstego czerwca. Dwa tygodnie temu. Dwa tygodnie tej mordęgi!

— Dwa tygodnie temu — porucznik notował datę — Zieliński przywiózł swego rannego brata. Jak to było?

— Na wieczór umówiłam się z Alfredem. Miał przyjść po mnie i mieliśmy pójść gdzieś sobie potańczyć. Miał być o ósmej wieczorem, ale bardzo długo nie przychodził. Minęła dziesiąta, jedenasta. Byłam zdenerwowana. Ojciec już spał, a ja siedziałam przy oknie i patrzyłam w noc, nasłuchiwałam, czy nie usłyszę jego kroków, czy nie zobaczę go na ścieżce. Ostatnio był czymś bardzo zaabsorbowany. Miał jakieś wielkie plany...

— Jakie? — zapytał szybko Brodzki.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie mówił o nich bliżej. Tyle tylko, że niedługo już będzie sławny. Że nareszcie rzuci „Estradę”. Że będą się o niego dobijały największe teatry. Może to były jego urojenia? W każdym razie nie miał dla mnie ostatnio czasu. Dlatego tak bardzo cieszyłam się na ten wieczór, na tę noc całą, a tu spóźnił się. Czułam, że to jednak nie było spóźnienie. Jemu się coś musiało stać. Zdenerwowana, już chciałam jechać do niego, na Radzymińską, ale bałam się, że w tym samym czasie on przyjedzie tutaj i miniemy się. Było już zupełnie cicho. Nawet pijacy na Marymoncie przestali hałasować. Ta cisza była okropna. Wyobrażałam go sobie pobitego przez chuliganów, leżącego pod samochodem, w szpitalu... Było coraz później i później. Wreszcie zasłałam tapczan. Położyłam dwie poduszki — dla niego też. Rozebrałam się, ale w szlafroku czekałam ciągle.

Czyniła wysiłki, by jej relacja była możliwie najdokładniejsza. Porucznik słuchał cierpliwie.

— Usłyszałam jakiś lekki, mało uchwytny szmer jadącego samochodu. Daleki hałas. Auto posuwało się ku nam. Warkot motoru był coraz głośniejszy. W dzień nigdy tak nie słychać auta jadącego w naszej dzielnicy, jak w nocy. Nagle przeraziłam się, że pogotowie przywozi Alfreda. Przecież Alfred nigdy nie przyjeżdżał żadnym samochodem. Jak stałam, tak wybiegłam do ogrodu, naprzeciw. Auto zatrzymało się nie opodal furtki.

— Jakie auto?

— Duże, czarne. Chyba chevroleta. Zobaczyłam, jak jakiś człowiek wyciąga z auta drugiego człowieka, zupełnie bezwładnego, dźwiga go na plecy... Nieruchomo stałam przy furtce, w odległości kilkudziesięciu metrów od samochodu. Wiedziałam, że spełniły się moje najgorsze przeczucia. Ten ktoś niósł ciało Freda! Gdy niosący podszedł zupełnie blisko — aż krzyknęłam. To nie Alfreda niesiono, ale Alfred dźwigał jakiegoś człowieka. Mruknął, bym była cicho, i kazał mi opuścić rolety. Zrobiłam to. Ojciec już się obudził i obaj wnieśli tego człowieka do pokoju. I wtedy krzyknęłam raz jeszcze. Bezwładny człowiek był Alfredem! Alfred niósł i Alfred był niesiony.

— Obaj byli jednakowi? — szepnął porucznik.

— Obaj byli jednakowi! „To mój brat!” — powiedział Alfred. „Potem opowiem ci wszystko o nim. Ciuknął faceta w bójce. Szuka go milicja. Ja go muszę ratować. Macie wolną komórkę?” Tak mówił. Potem, gdy bandażowałam poranioną głowę nieprzytomnego brata, miał zresztą i inne rany, na piersiach, Alfred opowiedział mi, że brat jego jest nerwowo chory. Trochę, mocno nawet, pomyłony. Dlatego mi nic o nim nie opowiadał. Dziś byli razem w knajpie, wynikła awantura, brat zranił człowieka. Przecież on musi — tłumaczył — bronić brata bez względu na to, co tamten zrobił czy kogo udaje. Takie już jest rodzinne prawo. Prawda? — zapytała, jakby chcąc uzyskać aprobatę porucznika.

— Proszę mówić dalej.

— To był jego bliźniak. Zupełnie tacy sami, jak dwie krople wody. Uprzątnęliśmy komórkę. Wstawiłam tam składane łóżko. Dziś rano jeszcze nie zdążyłam złożyć tego łóżka, przesunęłam je tylko do mojego pokoju i tam pan je zobaczył. Alfred odjechał jeszcze tej samej nocy. Autem, którym przywiózł brata. Uprzedził mnie, że tamten jest wariat, że będzie się zachowywał nienormalnie i że wobec tego, żeby nie zdradzić się przed nikim, należy mu robić zastrzyki na osłabienie. Przyniósł mi potem specjalne lekarstwo. Przez pierwszych kilka dni tamten był bardzo słaby, spał całymi dniami. Robiłam mu te zastrzyki — umiem robić. Mam za sobą szkołę pielęgniarstwa. I ten drab był stale słaby jak dziecko. Po kilku dniach odzyskał trochę przytomności i zaraz zaczął się awanturować. Gadał, że jest kim innym...

— Kim? — To było dla porucznika najważniejsze.

— Mówił, że jest Andrzejem Nowackim.

— Nowackim czy Nowickim?

— Nowickim! Nowickim! — potwierdziła.

Koło się zamknęło! Porucznik zamknął oczy i dał dziewczynie znak, by przestała mówić. Milczeli oboje. Brodzkiego ogarnęła wielka radość — tak, radość! Jego przeczucia okazały się słuszne. Tropy okazały się prawdziwe. Jego działanie — począwszy od rozesłania tych fotografii Andrzeja Nowickiego — było prawidłowe. Jeszcze nie wiedział, kto ukradł brylanty, jeszcze nie odnalazł Andrzeja Nowickiego, jeszcze niczego nie miał w ręku, ale już wiedział, kogo ma szukać i po jakim śladzie ma się posuwać.

— Czy tylko to mówił Nowicki? — zaczął na nowo badanie.

— Bredził. Ale nie tylko bredził. On właśnie mówił o tej kradzieży, że jego podejrzewają... Nie słuchałam tego, bo Alfred uprzedzał mnie, że to puste gadanie.

— To nie było puste gadanie.

— Teraz zaczynam się domyślać, może on rzeczywiście ukradł, i Alfred chciał go schować. Ale to on ukradł, nie Alfred!

— Zobaczmy. Zeznania pani też nam pomogą wyjaśnić prawdę. Co dalej?

— Dalej już niewiele. Całe dnie spał. To po tych prośkach i zastrzykach. Zamykaliśmy komórkę na żelazną sztabę. Alfred obiecał, że go zabierze, ale wyjechał i cały tydzień go nie było. Była to mordęga i strach. Alfred wrócił dopiero przedwczoraj po południu. Zamknął się w tej komórce razem z bratem. Gadali bardzo długo. Po tej rozmowie poszedł sobie, a gdy przyszedł wczoraj rano, poprosił nas, czy nie moglibyśmy na cały dzień wyjść z domu gdzieś

wyjechać z wizytą, wtedy on zorganizuje wywiezienie brata. Tego pragnęliśmy najbardziej. Ojciec zgodził się stracić dzień handlu, byle tylko tego draba nie mieć w domu. Zostawiliśmy kartkę, wyszliśmy razem z Alfredem, który odprowadził nas na Żoliborz, potem wziął od nas klucze. Miał wrócić do domu i zabrać brata. Tak i zrobił. Wieczorem już go w domu nie było. To wszystko.

— To wszystko? — Zapytał Brodzki. Myśli porucznik pracowały żywo. Podsuwały mu koncepcje i oświetlenia. Dla niej to było „wszystko” — dla niego był to początek. Ale po raz pierwszy początek drogi, a nie błądzenie po omacku we mgle.

— Jak się w dniach ostatnich czuł ten brat?

— Rana się zasklepiła. Ale proszki i zastrzyki sprawiły, że był bardzo słaby. Ledwo mógł wstać o własnych siłach.

— Czy Zieliński mówił pani, dokąd chce wywieźć brata?

— Nie mówił. Nie pytałam.

— Teraz proszę mi opowiedzieć dokładnie o całym pobycie tego brata u państwa. Dzień po dniu.

Maria Ścibor westchnęła ciężko. Ale nim zaczęła mówić, do pokoju wpadła sekretarka.

— Poruczniku! Poznań!

Chwycił za słuchawkę.

— ...

— Co? W szpitalu wariatów?

— ...

— Na pewno on?

— ...

— Niemożliwe? Żukrowski jego?

— ...

— Nie! Broń Boże! Jeszcze znowu gdzieś przepadnie po drodze. Niech siedzi tam na miejscu. Pilnujcie go jak oka w głowie. W tym zakładzie. Ja zaraz jadę do was. Samochodem.

— ...

— Za kilka godzin. W nocy, najdalej nad ranem. Do widzenia!

Rzucił słuchawkę i rozdygotany otrzymaną wiadomością zwrócił się do przesłuchiwanej dziewczyny:

— Teraz odprowadzą panią na dół. Ma pani dzień czasu. Proszę sobie wszystko dokładnie przemyśleć, przypomnieć. Nasza rozmowa będzie długa i bardzo szczegółowa. W pani rękach, być może, leży los pani narzeczonego.

Zadzwoił. Mundurowy milicjant wyprowadził Marię Ścibor. Porucznik łączył się z przełożonymi. Konieczny mu jest samochód. Natychmiast! Za parę godzin musi być w Poznaniu. Każda godzina może teraz decydować o sukcesie śledztwa. Jeżeli Żukrowski zdecydował się w taki sposób unieszkodliwić Arskiego — chowając go ostatecznie tylko na kilka dni lub nawet kilka godzin — to znaczy, że mu zależało już tylko na dniach lub na godzinach. A więc może za parę godzin z pomocą Arskiego wszystko się rozwikła.

## XIV

*Poznań, sobota, 22 czerwca*

Auto, w którym porucznik Brodzki jechał z Warszawy do Poznania zatrzymało się przed bramą zakładu dla nerwowo chorych. Najpiękniejsze, wczesne promienie dnia odsłoniły oczom zmęczonego drogą oficera urok tego miejsca. Dokoła była cisza. Tylko ptaki świergotały w drzewach i pod niebem. O tej rannej według słońca, a nocnej według ludzkiego obyczaju porze wszyscy jeszcze spali.

Pasja, zniecierpliwienie, ciekawość, a wreszcie i strach o to, żeby Arski znowu nie zniknął w ostatnim momencie, były silniejsze od własnego zmęczenia, silniejsze nawet od jakichkolwiek względów dla personelu szpitalnego, który trzeba będzie postawić na nogi o tak wczesnej porze. Całą drogę porucznik myślał tylko o tym, kiedy nareszcie dowie się od Arskiego nieco więcej prawdy. Kilka minut przed trzecią rano, nie wstępując ani do hotelu, ani do komendy milicji, Brodzki zajechał przed szpital, gdzie zamknięty był doktor Arski.

Zaspany strażnik przeraził się milicyjnej legitymacji. Porucznik kazał mu natychmiast obudzić dyrektora szpitala, który już po pięciu minutach pojawił się w płaszczu narzuconym na pidżamę, zdenerwowany tą całą, tak bardzo dla zakładu nieprzyjemną historią.

— Czy doktor Arski jest jeszcze tutaj? — to było pierwsze gwałtownie postawione pytanie porucznika.

— Śpi pewnie.

Porucznik odetchnął. Dyrektor wyjaśniał:

— Cały dzień awanturuje się i żąda widzenia z doktorem Żukrowskim, a skąd ja mu wezmę doktora Żukrowskiego. Wyjechał, przysłał telegram, że musi przedłużyć swą nieobecność. Ja nic w ogóle z tego wszystkiego nie rozumiem. Te pytania milicji...

— Dlaczego pan zamknął doktora Arskiego?

Dyrektor w zakłopotaniu rozłożył ręce.

— Żukrowski prosił mnie o to. Mówił, że Arski jest jego pacjentem...

— Osobiście prosił pana o to czy przez telefon?

— Osobiście.

— Kiedy to było?

— Dzisiaj jest sobota. W środę. Trzy dni temu.

— W środę, dziewiętnastego — precyzował Brodzki.

— Tak jest — tego dyrektor był najzupełniej pewny. Już wczoraj milicja domagała się od niego ścisłych informacji. — Wszystko jest zresztą odnotowane w książce ewidencyjnej.

— O której godzinie? Proszę dokładnie.

— W południe. Mniej więcej jedenasta, może było już wpół do dwunastej. Doktora Żukrowskiego spotkałem na korytarzu. Prosił mnie o kilka godzin urlopu. Musiał wyjechać gdzieś pod Poznań. Jednocześnie poprosił, by pacjenta jego, który się zgłosi, Feliksa Arskiego, zamknąć w separacie i czekać, aż on sam przyjedzie go zbadać. Wydałem więc stosowne polecenie...

— Czy to ma pewno było w środę o godzinie wpół do dwunastej?

— W środę przed południem — kategorycznie potwierdził dyrektor.

Porucznik, nie dowierzając pamięci, sprawdził notatki i zajrzał do kalendarzyka. W środę, dziewiętnastego czerwca, o wpół do dwunastej pociąg wiozący doktora Żukrowskiego z Poznania do Warszawy minął już Łowicz i zbliżał się do Błonia. W trzy kwadransy później on sam, Brodzki, spotkał Żukrowskiego na dworcu w Warszawie. Żukrowski nie mógł być równocześnie w dwóch miejscach. Wtedy również — chociaż w tym wypadku pewność

Brodzkiego była nieco mniejsza — Andrzej Nowicki leżał chory w komórce w domu ogrodnika Ścibora. Ale co tego dnia i o tej godzinie robił trzeci człowiek o identycznej twarzy, Alfred Zieliński? Nie było go na Radzymińskiej! Czyżby to on właśnie był w Poznaniu? Czyżby bluff posunięto aż tak daleko? Aż za progi zakładu dla umysłowo chorych?

— Ostatnie pytanie: czy zauważył pan coś podejrzanego w zachowaniu się doktora Żukrowskiego?

— Był wyjątkowo niespokojny, nieswój. Musiał być zdenerwowany. Na korytarzu jakby mnie nawet nie poznał. Dopiero sam pierwszy zawołałem na niego. Wtedy zapytał, czy może mnie o coś prosić. To brzmiało bardzo uprzejmie, ale tej formy w rozmowach naszych nie używamy. I właśnie poprosił o tego... Arskiego. Początkowo nie zwróciłem na to wszystko uwagi, ale teraz... Ja nic nie wiem! Nie rozumiem tego wszystkiego!

— Ba! żebym to ja rozumiał — mruknął porucznik. — Wiem tyle tylko, że zamknięty został człowiek najzdrowszy w świecie i że ja tego człowieka muszę zobaczyć możliwie najprędzej.

Szybko szli przez długie korytarze. Porucznik podziwiał spryt swoich przeciwników. Jak świetnie wykorzystano okoliczności, aby na kilkanaście godzin lub nawet na kilka dni unieszkodliwić doktora Arskiego. Widać bardzo przeszkadzał przestępcom. Wariat może wszczynać nie wiedzieć jaki alarm — i tak nikt tutaj mu nie uwierzy, nikogo to tutaj nie wzrusza. Chory musi czekać na swojego lekarza, a lekarza nie ma!

Zatrzymali się przed drzwiami bez klamki. Dyrektor uchylił „judasza” i porucznik dojrzał Arskiego, jak skulony siedział na pryczy. Dyrektor wyjął z kieszeni klamkę i otworzył drzwi. Na ten dźwięk z łóżka poderwał się Arski, skoczył i... zderzył się z porucznikiem. Przez sekundę patrzył na Brodzkiego w osłupieniu. Widać oczekiwał kogoś zupełnie innego! Potem, jakby nagle zrozumiał, co dla niego znaczy pojawienie się oficera, krzyknął:

— Nareszcie! Poruczniku, gdzie jest Żukrowski?

— Szukam go również!

Arski złapał Brodzkiego za rękę i zaczął mówić nerwowo, pośpiesznie, rozkazująco:

— Natychmiast niech pan spowoduje zamknięcie wszystkich stacji granicznych, wszystkich lotnisk, wszystkich dróg! Przecież oni wszyscy uciekają za granicę!

— Za granicę? Te sobowtóry? — porucznik doznał szoku.

Arski spojrzał na niego ostro.

— Pan już wie! Tym lepiej!

— Uciekają... z brylantami? — Brodzki nie mógł przyjść do siebie.

— Może i z brylantami! Ale brylanty są w tym wszystkim najmniej ważne — fuknął Arski. Brodzki potaknął; on też już wiedział, że nie brylanty są w tym najważniejsze. Arski obejrzał się na stojącego obok dyrektora:

— Czy ja jestem już wolny?

Dyrektor skinął głową i zaczął się sumitować.

Arski nie słuchając wyjaśnień ruszył do wyjścia ciągnąc za rękę porucznika. Emanowała z niego energia i pasja. Brodzki uczył, że od tej chwili pierwszą osobą w śledztwie będzie doktor Arski. Sam zaś obiecywał sobie, że ani na jedną sekundę nie puści go od siebie.

Wyszli z gmachu, w drodze przez ogród Arski niepewnie zapytał porucznika:

— Czy to naprawdę Żukrowski kazał mnie zamknąć tutaj?

— Może Żukrowski to wykoncypował, ale nie on to przeprowadził. W tym czasie był już w Warszawie, niemal razem ze mną.

Arski jakby odetchnął z ulgą.

Gdy w pięć minut potem pędzili autem do Poznania, porucznik Brodzki zdecydował się zadać najbardziej palące go pytanie:

— Doktorze! Skąd są te sobowtóry? Bliźniaki czy co...

— Bliźniaki! — parsknął Arski. — Czworaczki raczej, jeżeli o dorosłych ludziach tak

można powiedzieć, ale i to nie!

— Czworaczki! — jęknął porucznik. — Trzech było dla mnie już za dużo.

— No, to pan jeszcze niewiele wie — orzekł Arski i uczynił wymowny gest głową: nie chciał rozmawiać przy kierowcy.

Zresztą w kilkanaście minut później, gdy dotarli już do gmachu milicji, Arski również odmówił bardziej szczegółowych wyjaśnień. Tłumaczył się koniecznym pośpiechem. Porucznik dowiedział się od niego jeszcze tylko o istnieniu Romana Kisielewskiego.

O wpół do piątej rano Brodzki wysłał z Poznania meldunek do Komendy Głównej MO. W dwie godziny później wszystkie graniczne punkty kolejowe, portowe, drogowe, cały WOP i wszystkie lotniska zostały ostrzeżone o możliwościach próby ucieczki za granicę. Wezwano je do natychmiastowego meldowania wszelkich podejrzanых wydarzeń.

W ciągu niewielu minut, nie zważając na tak wczesną porę, doktor Arski uzyskał połączenie z krakowskim mieszkaniem panny Karusi, narzeczonej Romana Kisielewskiego. Z drugiej słuchawki polecił stenografować rozmowę.

— Tu mówi doktor Arski.

— Jezus Maria! Co ja się naczekałam! Panie doktorze, dzwonił Roman!

— Kiedy?

— Przedwczoraj. Telefonował z miasta.

— I ...

— Wesoly był, pogodny. Powiedział mi, że czuje się znakomicie. Prosił, by mu ufać bezwarunkowo, gdyż nawet najgorsze wiadomości, jakie w najbliższym czasie mogą o nim otrzymać...

— Najgorsze wiadomości?

— Tak dokładnie powiedział: „najgorsze”. Prędko okaże się, że będą niesłuszne. Rozumie pan, doktorze! Pewnie go będą o coś oskarżać. niesprawiedliwie. Dalej powiedział, że już niedługo udowodni wszystkim, że jest zdrow i że może latać. Kazał mi na siebie czekać cierpliwie. Ale to nie będzie długo...

Z tamtej strony słuchawki odezwał się szloch.

— Pani Karusiu, proszę się uspokoić! Wszystko będzie dobrze! — mówił szybko Arski. — Nic mu nie grozi! Czy na pewno powiedział, że niedługo udowodni, że może latać?

— Udowodni... wszystkim... udowodni... — łkając powtarzała dziewczyna.

Odłożywszy słuchawkę Arski formułował porucznikowi swe wnioski: jeżeli Kisielewski zapowiedział, że lataniem udowodni swe zdrowie, to może on chce wydostać się za granicę właśnie samolotem! Może to ucieczka ma spowodować oskarżenie, które się wyjaśni?

Porucznik ponowił meldunek wysłany do komendy głównej: Uważać na lotniska!

Równocześnie z Warszawy odebrał wiadomość: w odpowiedzi na rozesłaną wczoraj przez porucznika Brodzkiego ankietę w sprawie czarnej chevrolety nr H-77485 odezwał się Kraków. Milicja krakowska zanotowała to auto, gdy 20 czerwca wieczorem wjechało ono szosą warszawską — i do tej pory z miasta nie wyjechało. Proszą o instrukcje.

— Jeżeli złapią to auto — zatrzymać, zaarrestować- pasażerów! — odpowiadał Brodzki.

Decyzja porucznika była natychmiastowa. Kisielewski jest w Krakowie, tamci pojechali swym autem do Krakowa — w Krakowie zbiegają się nici. Zażądał zmiany kierowcy, zmęczonego całonocną jazdą z Warszawy. Obaj z Arskim jadą do Krakowa.

— Przez Częstochowę czy przez Wrocław? — rozpytywał się. Poradzili mu jechać przez Wrocław. Droga nie o wiele dłuższa, a znacznie lepsza. Za pięć godzin najdalej będą na miejscu. Więc wszelkie dalsze meldunki Brodzki polecił przekazać sobie najpierw do Wrocławia, potem do Opola i Katowic. Wszystko wskazywało na to, że sprawa wkroczyła w stadium decydujące.

O wpół do szóstej rano Brodzki i Arski wyjechali z Poznania.

Brodzki kłął, gdy strzałka wskazująca szybkość samochodu spadała niżej osiemdziesięciu. Domagał się, by możliwie długimi odcinkami szofer wyciągał ponad sto! Zbliżali się do Wrocławia i choć jechali niewiele ponad dwie godziny — jazda wydawała się Brodzkiemu nieskończenie długa. Normalne zdenerwowanie, towarzyszące kulminacyjnym momentom każdego śledztwa, tym razem powiększało się w dwójnasób: Arski milczał! Wskazywał wymownym ruchem głowy na kierowcę, w ten sposób usprawiedliwiając swą wstrzemięźliwość, ale Brodzkiemu wydawało się, iż doktor jeszcze nie uznał za słuszne wyjawić mu wszelkich posiadanych w tej sprawie informacji. Kilka razy w ciągu tych dwóch godzin porucznik Brodzki zagadywał Arskiego na rozmaite sposoby.

— To w Krakowie widział się pan z tym Romanem?

Arski zaprzeczył ruchem głowy — i nic nie odpowiadał. Po paru minutach milczenia zniecierpliwiony, zdesperowany Brodzki przypuszczał następny z kolei szturm:

— Znał pan rodziców tych trzech... innych?

Uśmiech Arskiego, ruch głowy w stronę szofera i znowu milczenie po jakimś czasie przerwane przez porucznika:

— Pan bywał w mieszkaniu na Radzymińskiej?

Przeczący ruch głową. Arski zamknął oczy dając znak, że drzemie. Porucznik czuł się w sytuacji dziada gadającego do obrazu. Wiedział, że potrafi zmusić doktora Arskiego do ujawnienia mu całej prawdy, ale nie chciał tego robić w tej chwili. Godziny jazdy wydłużały się niepomierne. Szybkość samochodu decydowała już nie tylko o wcześniejszym przybyciu do Krakowa, ale i o uzyskaniu przez Brodzkiego pełniejszej niż dotąd wiedzy o jeszcze nie znanych mu, a tak frapujących faktach. Popędzał więc kierowcę, przeklinał każde zwolnienie tempa jazdy.

Wpadli między zrujnowane przedmieścia Wrocławia. Gruzy porastały już bujną zieleńią. Zadrzewiona szosa przeszła w ulicę — coraz bardziej ludną, coraz bardziej miejską. Przez Wrocław jedzie się długo. Zakręty, tramwaje, wozy, przechodnie, milicjanci regulujący ruch — wszystko wstrzymywało auto, podniecało niecierpliwość porucznika.

Nareszcie! Czerwony, wysoki budynek milicji. Brodzki Wbiegł pędem na schodki. W dyżurce była już wiadomość. Wywołał Arskiego z samochodu.

Donosił Poznań: na ostrzeżenie przed możliwościami ucieczki odezwał się Kraków. Zachodzi podejrzenie, że dziś rano przedsięwzięto próbę ucieczki taksówką powietrzną „Lotu”. Próba, według pierwszych wiadomości, połączona była z zamachem na pilota „taksówki”.

Gdy Brodzki odczytał Arskiemu tych parę słów lapidarnego meldunku — Arski zbladł i wybełkotał:

— Oni zdążą!.. — ale nic więcej nie chciał Brodzkiemu powiedzieć.

Meldunek był nader lakoniczny. Naradzali się, czy łączyć się z Krakowem i prosić o dalsze wiadomości — może to potrwać kilkanaście minut: najpierw połączenie, potem poszukiwanie w Krakowie kogoś, kto zna tę sprawę — czy jechać od razu dalej, polecając, by w Opolu przygotowano dla nich rozmowę z tym kimś zorientowanym w komendzie milicji w Krakowie. Pierwsze rozwiązanie opóźniało jazdę. Drugie — narażało ich cierpliwość na dodatkową, godzinną jeszcze próbę.

Zdecydowali poddać się tej próbie.

W aucie nie mówili do siebie ani słowa. Meldunek z Krakowa nie wyjaśniał, czy ucieczka była udana. Gdzie są w tej chwili czterej bohaterowie afery? Co myśli sobie doktor Arski? — kombinował Brodzki, który ciągle jeszcze nie mógł pozbyć się podejrzeń o ojcowskich związkach między doktorem a sobowótami.

Szofer świetnie znał drogę. Gdy za Wrocławiem wypadli na gwiazdę rozjazdu rozpoczynającego autostradę, bez namysłu wziął właściwy kierunek, choć drogowskazu nie było na lekarstwo.

Po betonowej autostradzie pędzili z szybkością stu dwudziestu kilometrów.

*Opole, ósma rano*

Z boku szosy stała żółta tablica z czarnymi literami: OPOLE. Nie licząc się z przepisami bezpieczeństwa ruchu wpadli między zieloność tego miasta. Niecała godzina jazdy — z zadowoleniem skonstatował Brodzki.

Przy telefonie już czekał Kraków. Wydział śledczy komendy wojewódzkiej. Brodzki podał drugą słuchawkę Arskiemu, zależało mu na tym, by doktor widział, iż przed nim nie ma tajemnic. Z tamtej strony rozpoczęto relację:

— Ustalono, jak dotąd, co następuje: Wczoraj rano w biurze „Lotu” na placu Świętego Ducha zamówiona została taksówka powietrzna na dziś, na czwartą rano, do Szczecina. Zamówiono ją upoważnionym listem warszawskiej centrali handlu zagranicznego kosztownościami „Jubiler”...

— „Jubiler”! — Brodzki ryknął w słuchawkę, a w kierunku doktora wykonał jakiś fantastyczny gest ręką.

— „Jubiler” — spokojnie powtórzono z Krakowa. — Samolot miał zabrać dwie osoby. Pasażerom zależało na najwcześniejszym odlocie. Opłata została uiszczona z góry, dokumenty wypełniono zgodnie z regulaminem.

— Czy list „Jubilera” jest prawdziwy? — pytał Brodzki.

— Jeszcze nie sprawdziliśmy. List jest z warszawskiej centrali, a nie z krakowskiej ekspozytury.

— I dalej?

— Dziś o wpół do czwartej obaj urzędnicy „Jubilera”...

— Jak wyglądali? — przerwał porucznik.

— Szpakowaty brunet w rogowych okularach...

— Ten z Radzymińskiej — szepnął Brodzki w kierunku Arskiego.

— Drugi blondyn z jasnym wąsikiem, w okularach przeciwsłonecznych.

— Czy miał na twarzy myszkę, znamię? — Arski odpowiedział pytanie Brodzkiemu, ten je powtórzył.

— Nie miał, albo też żadnej myszki nie zauważono — wyjaśniono z Krakowa. — Czterooosobowa maszyna czeska, taksówka, była już przygotowana. Parę minut przed czwartą wystartowali. Krótko potem był meldunek pilota, że wszystko jest normalnie. W dziesięć minut później radio na lotnisku usłyszało z taksówki jakiś okrzyk, jakby pilot coś nieartykułowanego zawołał, jakby mu nagle urwała się łączność. I od tej pory było już głucho.

W pierwszej chwili myślano, że katastrofa, że spadli. Wysłano samolot na przeszukanie terenu i skierowano pytania do posterunków milicyjnych. Jak dotąd, żadnych meldunków jeszcze nie otrzymano. O wpół do szóstej rano, kiedy trwały poszukiwania, przyszło ostrzeżenie przed możliwością ucieczki. Podejrzewamy, że to właśnie była próba ucieczki. Poszukiwania trwają nadal.

— Za późno! — jęknął Arski i jakby nagle odeszły go wszelkie siły, opadł na krzesło. Porucznik pomyślał o tajemniczych sobowtórach, które z brylantami wydostały się za granicę. Gorzka była myśl, że gra może jest już przegrana.

— Przegraliśmy? — zapytał Arskiego. Doktor patrzył na niego swym nieobecny, dalekim wzrokiem. Szef miejscowego wydziału śledczego słuchał ich nic nie rozumiejąc.



Brodzki wstrząsnął ramieniem doktora chcąc przywrócić go do stanu obecności. Wtedy Arski ocknął się i zupełnie spokojnie odpowiedział porucznikowi:

— Najszybciej, jak można, jedźmy do Krakowa. Może jeszcze nie wszystko stracone.

*Katowice, dziewiąta rano*

Na ulicach miast górnośląskiego zagłębia przemysłowego zmarnowali masę czasu. W Katowicach oczekiwano już przybycia porucznika Brodzkiego. Zgodnie z prośbą przekazaną z Opola, Kraków zawiadamiał porucznika Brodzkiego, że samolot na pewno uciekł. Pod Pszczyną znaleziono pilota. Zapytywano Brodzkiego, czy chce się dołączyć do ekipy śledczej, która wyrusza do Pszczyny dla zbadania okoliczności związanych z ucieczką samolot. Arski z Brodzkim mogliby jechać tam prosto z Katowic.

Do Pszczyny — pół godziny drogi. Ruszyli.

*Pszczyna, dziesiąta rano*

Byli pierwsi. Ekipa z Krakowa jeszcze nie przyjechała. Mimo to Brodzki rozpoczął przesłuchanie. W pokoju komisariatu MO siedzieli we trzech: Arski, Brodzki oraz młody człowiek, pilot taksówki „Lotu”. Twarz i ręce miał podrapane. Ubranie ubrudzone ziemią. Był straszliwie roztrzęsiony i z trudem formułował jako tako rozsądne zdania informujące. Porucznik kazał mu opowiadać wszystko od początku.

— Jak przyrolowałem przed biuro „Lotu”, taki barak na lotnisku, już czekali. Wsiedli...

— Zaraz. Jak wyglądali?

— Jeden był w czapce sportowej i w ciemnych okularach.

— Miał zamię na twarzy?

— Nie... nie wiem. Nie miał. Wąsy miał. Rude. Blondyn. Drugi brunet, szpakowaty.

— Wiek?

— Blondyn był młodszy. Koło trzydziestki. Szpakowaty brunet — starszy.

— Rozmawiali z panem?

— Tak... zwyczajnie, jak pasażerowie. Starszy pytał się, za ile czasu będziemy w Szczecinie? Jak prędko lecimy? A co się stanie, jeżeli na przykład w Szczecinie będzie mgła, czy starczy nam paliwa? Takie pytania zadają zawsze wszyscy pasażerowie. Zaraz się uspokajają, gdy im powiedziec, że mamy paliwa na dwukrotny przelot trasy.

— Potem wsiedli?

— Tak.

— Jak?

— Zwyczajnie.

— Jak siedzieli?

— Blondyn za mną. Brunet obok blondyna...

— Czy mieli ze sobą jakieś bagaże?

— Tylko teczki.

— I co dalej?

— Wystartowaliśmy. Lecieliśmy w największym porządku. Meldowałem na lotnisko. Potem... — pilot zaciął się. Nie umiał znaleźć słów. Porucznik zrozumiał, że doszli do momentu zamachu. Pilot miał po raz pierwszy przyznać się do odniesionej klęski. Poddał się przecież napastnikom.

— Jak pana sterroryzowali?

— Jeden przyłożył mi do głowy rewolwer, drugi... nie, jeszcze wtedy nic nie robił ten drugi. Usłyszałem rozkaz, że mam się przesiąść na miejsce obok.

— Posłuchał pan?

— Proszę pana, ja naprawdę nie miałem innego wyjścia... — W głosie pilota była błagalna rozpacz, choć starał się opanować zdenerwowanie. — Mogłem maszynę spuścić w dół, rozbić...

— Dobrze, że pan tego nie uczynił — szepnął Arski. Porucznik pomyślał: „Czy to mówi ojciec?”

— Nie zrobiłem tego. Może się bałem... Może nie pomyślałem... Nie wiem... To wszystko trwało jakoś bardzo krótko.

— Krzyknęliście jednak?

— Nie wiem... — nie pamiętam. Może i krzyknąłem coś. Stale mi trzymali rewolwer przy głowie... Przesiadłem się...

— Kto wyłączył radio?

— Blondyn, co siedział za mną. Z tyłu sięgnął ręką. Przesiadłem się. Blondyn wsunął się na moje miejsce... Maszyna nawet nie zadrżała... Dobra maszyna...

— Łaska boska... — szepnął doktor Arski.

— Co dalej? — Brodzki pytaniami podtrzymywał siły opowiadającego. Arski nalał pilotowi nową filiżankę kawy.

— Tamten pokierował maszyną. Doskonały pilot. Zmieniliśmy kierunek na południowy zachód! Szukał na mapie jakiegoś punktu.

— Co robił drugi pasażer, brunet?

— Trzymał mi rewolwer koło głowy i stale powtarzał, że jeden ruch, a strzeli.

— Co tamci dwaj mówili między sobą?

— Nic. Milczeli, aż blondyn powiedział jedno słowo: „Jest!”.

— Co miało być?

— Polana w lesie, na którą zaczął schodzić. Świetny pilot. Doskonały pilot...

— Nieważne! Co było na polanie?

— Czekali na nich.

— Kto?

— Dwaj jacyś inni. Wszyscy w ciemnych okularach. Jeden z bandażem na głowie.

— Czy miał myszkę na policzku? — zapytał Arski.

— Nie zauważyłem... Ja ich początkowo nie spostrzegłem. Maszyna skakała. Zatrzymała się. Wtedy rozkazano mi wysiąść i wysiadając zobaczyłem tych dwóch, ale to był ułamek chwili, gdyż zarzucono mi szalik na oczy, skrupowano ręce i nogi... — znów umilkł.

— Daliście się tak wiązać?

— Bilem się... szarpałem... ale tamci dwaj rzucili się na mnie.

— Którzy dwaj?

— Brunet na pewno i jeden z tych czekających, ale nie ten obandażowany. Pokonali mnie. Zapuscili maszynę i odlecieli.

— Wszyscy? Widzieliście?

— Nie wiem... Maszyna odleciała... a ilu — nie widziałem... miałem głowę owiniętą szalem.

— Kto was znalazł?

— Nikt. Sam jakoś uwolniłem sobie jedną rękę... — tu ton głosu pilota stał się pewniejszy. — Nie wiązali zbyt dobrze. Potem drugą — i tak poszło... Po dwóch godzinach marszu natknąłem się na wieś z urzędem pocztowym. Dałem znać do Krakowa. To było niedaleko stąd... To chyba już wszystko...

— Wszystko... — mruknął porucznik. Wszystko? Dla tego pilota wszystko. Rzeczywiście... wszystko... Nawet czarną chevroletę z przemalowanym numerem już znaleziono porzu-

coną na szosie nie opodal lasu, w którym uciekający zostawili pilota. Krąg faktów się zamknął. I co z tego? Wszystko?

— Dokąd poleciecieli? — Brodziki zapytał bezradnie.

— Dokąd? — Arski powtórzył pytanie i nagle zerwał się na równe nogi. — Do Paryża!

— Do Paryża? — porucznikowi nie Paryż wydał się dziwny, tylko straszny fakt, że ucieczka za granicę przekreśla szanse śledztwa, szanse odzyskania klejnotów. — Do Paryża? — powtórzył raz jeszcze i dopiero zreflektował się i zapytał — po co?

— Na kongres zwołany w sprawie sztucznej kaczki! — Arski był o tym najzupełniej przekonany.

— Czego?! — wykrzyknął Brodzki, zmaltretowany mnożącymi się w tej aferze dziwnościami.

— Sztucznej kaczki! Sztucznej kaczki! To bardzo skomplikowana rzecz. Wytlumaczę panu, jak będziemy mieli chwilę wolnego czasu. Teraz kolej na pana. Jeżeli pan potrafi tak wszystko urządzić — paszporty, wizy, bilety i tak dalej — żebyśmy się za tydzień zjawili w Paryżu na ten kongres właśnie, to może we dwóch potrafimy wygrać wyścig. Wygrać go za granicą! Pan jeszcze może odzyska swoje brylanty. Czy ja odzyskam swoją zgubę?... Moje szanse są mniejsze niż szanse pana, ale mimo to niech pan się, na miłość boską, śpieszy, śpieszy, żebyśmy za tydzień mogli być w Paryżu.

— Niechże mi pan wreszcie powie, o co chodzi, doktorze! Przecież błędę po omacku... Cholera!

Telefon przerwał Brodzkiemu. Z Krakowa przekazywano mu następującą wiadomość:

Konsulat polski w Wiedniu donosi, że dziś około siódmej rano na lotnisku w Wiedniu wylądował mały samolot „Lotu”, z którego wysiadło czterech Polaków. Samolot ten został porwany z Polski. Jeden z pasażerów, pilot nazwiskiem Roman Kisielewski, zamieszkały w Krakowie, poprosił, by samolot wraz z dokumentami lotu i maszyny władze austriackie przekazały władzom polskim oraz by zawiadomiły one władze polskie, że związany pilot samolotu znajduje się na polanie w lesie — podano dokładną informację geograficzną. Czterej pasażerowie oczekiwani byli przez francuskiego dziennikarza, który miał już dla nich przygotowane papiery na przelot do Paryża. Rzecz doskonale widać przygotowana, traktowana jest bardzo poufnie. Prasa wiedeńska nie została o niczym powiadomiona...

— Do Paryża! — Brodzki powtórzył dwa słowa z wysłuchanego komunikatu i spojrzał z podziwem na Arskiego: ten wiedział wszystko wcześniej od niego. Ale dlaczego mu nic nie powiedział? Podziw zamienił się w pretensję. Pretensja w rozżalenie.

— Doktorze, paszporty będą, wizy będą, wszystko będzie, ale niech mi pan powie, po co? Kilka słów, zanim ruszymy do Katowic i Warszawy po te papiery. Kilka słów choćby!

— Niech pan siada! — I doktor rozpoczął opowieść, na którą Brodzki tak długo czekał.

## XV

*Paryż, wtorek, 2 lipca*

— Co to będzie? — dopytywali się wzajemnie; zapowiedź wyjątkowo ciekawej informacji naukowej, jaka miała im być udzielona natychmiast po zamknięciu oficjalnych obrad kongresu, ekscytowała wszystkich uczonych. Przewodniczący, doktor profesor Hugo, bardzo starannie strzegł tajemnicy, nikt z zebranych nie wiedział, co miało być przedmiotem zapowiedzianej prelekcji. Dały się nawet słyszeć głosy wątpliwe, gdyż chyba nic bardziej ciekawe-

go od problemu, który był przedmiotem obrad kongresu, nie można było przygotować.

Parodniowe debaty dobiegały kresu. Ponad stu uczonych z kilkunastu europejskich, amerykańskich i azjatyckich krajów doszło do zgodnego wniosku, że dwanaście kaczek przedstawionych przez francuskich profesorów do zbadania rzeczywiście należy do nowej, sztucznie stworzonej rasy. Kaczki te różniły się od wszystkich innych, znanych nauce, upięrczeniem, barwą dzioba, cechami fizycznymi, które nie były odziedziczone, tylko zostały kunsztownie stworzone. Przeszrzykiwanie kwasu DNA pobranego z kaczek rasy „khana” na kaczki rasy „pekin” dało w rezultacie rasę sztuczną. Po raz pierwszy w dziejach udała się mutacja tak rozwiniętego stworzenia. Nieograniczone perspektywy otwierają się teraz przed nauką.

— Jestem przekonany — kończył rekapitulować wyniki narady twórca sztucznej kaczki — że kontynuując nasze doświadczenia będziemy mogli z czasem uzyskać zarówno mutację ssaków, jak i ludzi.

To były odważne słowa. Może nawet za odważne. Zebrani uczeni zawahali się przez chwilę z oklaskami. Profesor, twórca kaczek, schodził z katedry. Terkotał aparat filmowy.

Przewodniczący obrad profesor Hugo uderzył młoteczkiem w miniaturowy gong.

— Zgodnie z moją wczorajszą zapowiedzią proszę panów o pozostanie jeszcze na sali. Udzielona zostanie informacja naukowa wagi — w moim przekonaniu — bardzo doniosłej. Sprawę tę pragnie zakomunikować uczestnikom obrad przedstawiciel redakcji „Paris-soir”, który chciałby przedstawić nam pewien dokument.

Na katedrze pojawił się redaktor Dumas.

— Redakcji „Paris-soir” udało się zdobyć dokument, który ogłoszony w naszym piśmie, stałby się ogromną sensacją naukową i nie tylko naukową. Zdecydowaliśmy się jednak zrezygnować z tej sensacji i najpierw kongresowi przedstawić tę całą sprawę do dyskusji i do oceny. Podam krótką historię tego dokumentu: Przed paru miesiącami znalazłem się w Warszawie, dokąd wysłała mnie moja redakcja. Któregoś dnia zgłosił się do mnie pewien człowiek, Polak, i oświadczył, że dowiedział się o przygotowywanym w Paryżu kongresie, na którym ma być omawiane doświadczenie ze stworzeniem sztucznej kaczki. Polak ten był w posiadaniu dokumentu naukowego, omawiającego pewien niezwykle eksperyment, jaki jeszcze przed wojną udało się przeprowadzić jednemu z warszawskich lekarzy. Twórca eksperymentu zginął w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, a posiadacz dokumentu pragnął go za moim pośrednictwem przedstawić na tym kongresie. Przejrzałem dokument — odkrycie było niezwykle, wprost nieprawdopodobne. Zażądałem pokazania mi dowodów. W towarzystwie tego Polaka objechałem kilka miast, w których miałem możliwość przekonania się o bezwarunkowej prawdzie eksperymentu.

Przekonałem się, że w tę sprawę warto inwestować pieniądze mojej redakcji. Uczyniłem to i w rezultacie redakcja nasza pragnie teraz właśnie wam, panowie, przedstawić ten dokument. Oto jego najważniejsze fragmenty.

Redaktor Dumas usiadł przy stole prezydyjnym, na katedrze stanął lektor i zaczął czytać:

*— Notatki te spisuję w styczniu 1940 roku. Od czterech miesięcy trwa już okupacja Warszawy, od paru tygodni żyjemy wszyscy pod wrażeniem terrorystycznych egzekucji, które o niewiadomym czasie i niewiadomej godzinie zgładzić mogą każdego z nas. Nie wiem, czy dane mi będzie przeżyć okupację, ale chciałbym, aby mój eksperyment przetrwał i znalazł kontynuatorów. Śmierć grozi nam codziennie, notatki mają większe szanse przetrwania niż ludzie...*

Lektor przerwał czytanie. Redaktor Dumas objaśnił zebranych, że początek notatek zawiera historię pierwszych prac pewnego warszawskiego lekarza, który między dwoma wojna-

mi był właścicielem kliniki ginekologicznej, lecz przede wszystkim zajmował się pracą naukową. Prowadził intensywne badania, które doprowadziły go do tego, że... — Dumas dał znak lektorowi, by zaczął czytać następny fragment.

— ...*W 1928 roku rozpocząłem poszukiwania odpowiednich ciężarnych kobiet. Miałem już poza sobą eksperymenty na myszach, szczurach, królikach, drobiu. Setki ginących zwierząt usprawiedliwiałem wobec personelu mej kliniki eksperymentami nad bezbolesnym porodem. Podawałem zresztą jeszcze i inne preteksty, które wyrobiły mi arcywygodną opinię maniaka, tyleż nieszkodliwego co upartego. W największej tajemnicy pracowałem dniami i nocami, aż ostatecznie ustaliłem dobór witamin, proporcje zastrzyków, składniki chemiczne, kolejność ich podawania, zarówno doustnie, jak zastrzykami. Zabiegi te łączone były z naświetlaniami wynalezionymi przeze mnie zespołem promieni, w specjalnej kolejności i częstotliwości...*

— Proszę podać formułę tych zabiegów! — ktoś krzyknął z sali.

— Dokładne liczbowe jakościowe dane znajdują się na końcu dokumentu — wyjaśnił redaktor Dumas.

— ...*Wiele kosztów i trudu pochłonęły instalacje naświetlające, które musiały wyglądać jak zwyczajne kwarcówki, a których konstrukcja była przecież zupełnie inna. Zależało mi na zupełnej tajemnicy, więc poszczególne części aparatury zamawiałem u mechaników mieszkających w różnych miastach, sprowadzałem je nawet z zagranicy. I choć moje pacjentki w zasadzie miały do mnie ogromne zaufanie, a motywując troską o przyszłego potomka mogłem wmówić w nie każdą formę kuracji, to jednak najłżejsze podejrzenie co do ostatecznego celu tych zabiegów, gdyby dotarło do pacjentek, mogłoby zniweczyć całą moją pracę. W żadnym wypadku nie mogły się one domyślać, że pragnę ich własne dzieci uczynić niepodobnymi do matek, że pragnę obdarzyć je takimi cechami fizycznymi, które w moim przekonaniu gwarantować im mają przodującą inteligencję i świetny charakter, ale które przekreślają podobieństwo i dziedzictwo rodu. Na to by się nie zgodziła żadna z przyszłych matek.*

*Wybrałem dwanaście kobiet. Musiałem przekonać się, jak poszczególne organizmy będą reagować na ten sam zespół chemicznych, promieniotwórczych, witaminowych środków. Pierwsza seria kobiet miała mi dostarczyć materiału do dalszych badań; nie wierzyłem, bym tak od razu osiągnął poważniejsze rezultaty. Brunetki i blondynki, szczupłe i tęgie, kobiety o usposobieniu histerycznym i spokojnym, pracujące fizycznie i nie pracujące wcale, cierpiące na jakieś choroby i przeciętnie zdrowe — reakcje każdej z nich mogły być zupełnie odmienne. Zdecydowałem wszystkie dwanaście ciężarnych kobiet w tym samym czasie poddać zabiegom — miały one rodzić niemal równocześnie. Wybrałem kobiety mieszkające w jednym rejonie klimatycznym, eliminowałem mieszkanki gór lub wybrzeża, gdzie powietrze jest nadmiernie przepojone jodem...*

W tym momencie ktoś głośno poddał w wątpliwość wiarygodność notatek i zażądał skończenia bałamutnej lektury. Odkrzyknięto mu z drugiego końca sali, że przeciwnie — to jest rewelacja! Czytajcie dalej! Lektor, nie speszony okrzykiem, kontynuował lekturę.

W tym miejscu notatki przypominały powieść obyczajową. Autor dokładnie opisywał starania, jakich wymagało znalezienie dwunastu kobiet oczekujących potomków. Stosunkowo łatwo udało mu się namówić na stosowną kurację kilka pacjentek, które same do niego przychodziły prosząc, by prowadził je aż do rozwiązania. Były to żony ludzi zamożnych, kobiety nie pracujące, przywykłe do troski o własne zdrowie, drżące o zdrowie swego przyszłego dziecka, dysponujące czasem na każdą kurację. O wiele trudniej było na przykład przekonać żonę fabrycznego robotnika, dorabiającą praniem. Takie kobiety ani nie przywykły, ani nie

miały czasu nadmiernie certować się ze swoją ciążą. Ich matki rodziły niemal na kamieniach, pracowały ciężko przed porodem i one też nie widziały dostatecznych powodów, by tracić czas na zbędną w ich przekonaniu kurację. Argumentem, jaki przeważył, była korzyść materialna: mianowicie doktor ustanowił w swojej klinice coś w rodzaju fundacji, przeznaczając pewną ilość miejsc na bezpłatne porody dla kobiet nie mogących sobie na taki luksus pozwolić. Warunkiem uzyskania tej fundacji było ściśle poddanie się przepisany przez niego zabiegom.

Wśród wynalezionych kobiet znalazła się również osoba nerwowo chora, żona przyjaciela. Wy tłumaczył jej, że właśnie ona ma szczególny obowiązek dbać o swe dziecko, by zapobiec dziedziczeniu jej nerwowych stanów. W tym przypadku doktor podejmował eksperyment z ciężkim sercem: jego zabiegi mogły, wobec stanu zdrowia matki, narazić płód na dodatkowe wstrząsy nerwowe.

Przypadek pomógł lekarzowi w znalezieniu jednej z kobiet: służąca w jego domu zaszła w ciążę, a będąc panną zwróciła się do doktora z prośbą o usunięcie płodu. Zgodziła się rodzić, gdy doktor zapewnił jej przyszłemu dziecku utrzymanie i opiekę.

Dosadny, barwny styl opisu, miejscami zamieniający notatki doktora w małe, interesujące obrazki, wiązał uwagę słuchaczy. Ale też prowokował sprzeciw niektórych. Tu i ówdzie sarkano półgłosem, że sesja naukowa nie powinna być miejscem beletrystycznej lektury.

W końcu starania doktora zostały uwieńczone rezultatem: dwanaście kobiet różnego wieku, różnej kondycji, mających rozmaite warunki życia, znalazło się pod jego opieką. Zaczął się wielki eksperyment. Doktor miał nadzieję, że uda mu się przesądzić o płci płodu — starał się stworzyć chłopców — i o tym, by każdy z nich posiadał pewne określone cechy fizyczne, które zgodnie z teoriami innych uczonych zadecydować miały i o pewnym podobieństwie psychicznym przyszłych ludzi.

— Bzdura — krzyknął ktoś!

Ilekoć w odczytywanych notatkach pojawiały się wzmianki o ostatecznym celu eksperymentu warszawskiego doktora, tyle razy odzywały się ostre głosy wątplenia, sprzeciwu, nawet drwiny. Znane i uznane przez tych uczonych doświadczenia ograniczały się jak dotąd do mutacji drobiu; skok naukowy opisywany w tym dokumencie traktowali jako jawne niepodobieństwo, kpinę z nich i z nauki. Lecz natychmiast odzywały się inne głosy, domagające się dalszej lektury. I tak notatkom tym towarzyszyło rosnące zaciekawienie, ogarniające uczestników zebrania, przed chwilą jeszcze zgodnych, teraz wobec nowego zjawiska naukowego podzielonych.

Lektor czytał:

*— ...Przez wiele miesięcy trwała żmudna praca. Kobiety, każda oddzielnie, nieświadoma istnienia towarzyszek, przychodziły do lecznicy. Sam poddawałem je naświetlaniom i sam robiłem im zastrzyki. Przyzwyczajony do mych dziwactw personel kliniki nie rozpytywał o nic. Okres poszukiwań miałem już za sobą — ale i... przed sobą. Teraz musiałem tylko czekać — i czekałem bardzo niespokojnie. Straszliwie bałem się, czy aby moje zabiegi nie wpłyną ujemnie na płód rosnący w łonie matki. Prześwietlenia nie ujawniały żadnych anormalności, lecz przecież mógł zostać zagrożony mózg przyszłego dziecka. Ostatnie tygodnie przed rozwiązaniami były dla mnie koszmarne. Powążyłem się na rolę Boga — twórcy człowieka! Chciałem być stwórcą... Były dni, gdy bałem się, że losy pokarzą mnie za pychę niegodną człowieka. Prometeusz skradł bogom piorun, ja chcę wydrzeć tajemnicę stworzenia. Do jakiej skały zostaną przykuty i jaki sęp będzie mi szarpał wątrobę...*

Szmer jakiś zakołował po sali. Naukowcy całego świata zrozumieli warszawskiego lekarza. Przecież oni wszyscy ogarnięci byli tą samą pasją: dociekania, tworzenia. W swych laboratoriach i pracowniach nieraz przeżywali podobne emocje, obawy, nadzieje.

— ...Pochłonięty bliskimi rozwiązaniami, jakoś nie myślałem, że niepewność bynajmniej nie skończy się wraz z przyjęciem dziecka, ale trwać będzie przez lata, gdyż po latach ujawniają się dopiero efekty eksperymentu. Dziś jestem już przyzwyczajony do oczekiwania, ale wtedy stałem na progu wielkiej próby i wydawało mi się, że najważniejsze jest przekroczyć ten próg. Nieprawda!

W kwietniu, maju i czerwcu, oczekiwałem wszystkich dwunastu rozwiązań. Czekałem na każde dziecko jak ojciec na pierworodnego. Nie miałem własnych dzieci, obce było mi uczucie rodzicielskiego niepokoju, a przecież wydaje mi się, iż przeżywałem coś stokroć silniejszego niż troska o jedno własne dziecko. Jeżeli matka i ojciec przekazują potomkom swoje cechy genetyczne, to czyż ja nie byłem bardziej ojcem niż ich ojcowie fizyczni? Moje sztuczne elementy mają okazać się silniejsze niż elementy naturalne.

Pierwsza rodziła pani N., żona profesora. Bez żadnych komplikacji. Zdrowy chłopak ważył trzy i pół kilo. Na prawym policzku miał znamię, małą myszkę.

*M o j e pierwsze dziecko!*

W tydzień potem — pani W., żona robotnika, praczka, jedna ze „stypendystek”. Dziewczynka! Dziewczynka, nie chłopiec! Od jednego razu zawałił się gmach moich doświadczeń! Płeć syna pani N. mogła być rezultatem natury, nie moich środków. Dziewczynka była blondynką — chciałem stworzyć blondynów, ale chłopców! W tej sytuacji małe znamię na jej prawym policzku wyglądało na kpiny! Nie umiałem — pamiętam — chłodno przeanalizować niepowodzenia. Wydawało mi się, że poniosłem nieodwracalną klęskę.

Trzecie dziecko pognębiło mnie jeszcze bardziej. Synek pani M. odziedziczył po swym ojcu krucze włosy i śniadą cerę. Jego oba policzki były zupełnie gładkie.

Zabrakło mi odwagi, by samemu przyjmować czwarte dziecko — rodziła pani K., nerwowo chora żona mojego przyjaciela. Gdy w parę godzin po rozwiązaniu wszedłem do pacjentki, zaniemówiłem: noworodek, chłopiec, był jakby dokładną kopią synka pani N...

— Nieprawda!

— Cicho! Czytać! Czytać!

Znowu zakłębiły się w sali okrzyki słuchających.

— ...Ponieważ pani N. miała w domu doskonałe warunki — odesłałem ją już z kliniki, nie chcąc, by personel mógł porównywać noworodki. Teraz żałowałem tego kroku, gdyż w pierwszym odruchu pragnąłem położyć obok siebie obu chłopców. Wziąwszy synka pani K. na badanie, sfotografowałem go bardzo dokładnie. Popędziłem do państwa N. Tam również pod lada jakim pretekstem sfotografowałem dziecko. Zdjęcia dokładniej niż żywe obiekty unaocznily absolutne podobieństwo. I tu już nie mogło być żadnych przypadków!

Najbliższych kilka tygodni przeżyłem w gorączkowej malignie. Sam przyjmowałem dzieci. Nie będę opisywał wszystkich rozwiązań. Dość, że pod koniec czerwca byłem „stworcą” sześciu jednakowych chłopców...

— Nie można tworzyć sztucznych ludzi! To bajki! — rozległy się zirytowane głosy.

— Czytać! Czytać! — zakrzyczano ich.

Temperatura sali była coraz wyższa. Opinie były wyraźnie podzielone. Ciekawość rosła.

— ...Byłem „stworcą” sześciu jednakowych chłopców — powtórzył lektor — synów państwa N.. K., A., Z., L. oraz mojej sprzątaczkę pani Z. W sześciu innych przypadkach natura okazała się silniejsza. Zadaniem moim było zbadać, co wpłynęło na częściowe niepowodzenie eksperymentu; charakterystyczne, że większość kobiet, które „nie dały rezultatu”, pracowała fizycznie, żyła w złych warunkach materialnych, była silna i zahartowana. Poddaly się nato-

*miast mym środkiem kobiety nie pracujące, wątle.*

*Ale ostatecznych wniosków nie mogłem jeszcze wyciągnąć. Sześć jednakowych fotografii, które studiowałem przez długie godziny, to był dopiero początek pracy. Początek pełen sukcesu, ale nic poza tym. Musiałem dalej pracować — i ryzykować. Badałem dzieci, badałem matki. Wszystkie sześć kobiet namówiłem, by powierzyły mi prowadzenie swych dzieci aż do trzeciego roku życia. Z ginekologa musiałem przekształcić się w pediatrę. Było to ryzykowne, ale wolałem ryzyko niż wtajemniczenie innego lekarza w moje plany. Bałem się, by ten inny nie przepisał „moim chłopcom” jakichś odmiennych niż ułożone przeze mnie recept żywieniowych. Przez kilka jeszcze lat każdy z tych chłopców musiał być karmiony tymi samymi „syntetycznymi specyfikami. Na to mogłem mieć wpływ. Niestety nie miałem żadnego wpływu na całokształt pożywienia podawanego dziecku; ostatecznie były to domy o różnej stopie życiowej, gdzie karmiące matki różnie się odżywiały, inne lubiły potrawy. Gdybym mógł odebrać dzieci matkom, umieścić je w idealnym, przez siebie prowadzonym żłobku! Nie mogłem! I właściwie tak było lepiej: dziecko wychowywało się normalnie, eksperyment był trudniejszy, ale bardziej praktyczny.*

*Po dwóch latach miałem zupełną pewność i nadspodziewane rezultaty! Sześciu chłopców, zupełnie identycznych, choć spłodziło ich sześciu różnych ojców, urodziło sześć różnych matek. Staralem się stworzyć ludzi podobnych — stworzyłem sobowtóry. Sam dobrze nie wiedziałem, jak to się stało. Tego nie znała jeszcze nauka!*

*„Stworzyłem sześciu identycznych ludzi!” — powtarzałem sobie przez długie lata. Nie mogłem oswoić się z tym faktem. Ale też ogarnął mnie niepokój: nie ponawiałem doświadczeń z kobietami. Zabrakło mi odwagi raz jeszcze powtórzyć cykl oczekiwań i porodów. Eksperymentowałem dalej na zwierzętach, z doskonałym rezultatem, który opiszę nieco dalej.*

*Dziś, gdy piszę te słowa, w ciemny, okupacyjny wieczór, wszyscy ci chłopcy mają już po jedenaście lat. I ciągle są tacy sami! Zaprzyjaźniłem się z ich matkami, dwóm z nich stale pomagam materialnie. Z każdą wizytą konstatuję fizyczną identyczność chłopów. Rzecz charakterystyczna: ich rozwój postępuje identycznie i identycznie u każdego wyprzedza normę wieku. Chłopcy są bardziej fizycznie i umysłowo rozwinięci niż przeciętny chłopiec w ich wieku, choć każdy przecież żyje w innej rodzinie, otoczony jest innymi ludźmi. Do tego stopnia zdeterminowałem ich rozwój...*

— Dość tego! — ostry okrzyk tak kategorycznie przerwał lekturę, że lektor zamilkł, a wszyscy spojrzeli na kruczowłosego profesora z Południowej Ameryki, który zerwał się od stołu i wyprostowany wołał ku przewodniczącemu:

— Proszę przedstawić nam dowody! Bez dowodów nie warto tego wszystkiego słuchać!

Wystąpienie Amerykanina sprowokowało burzę okrzyków. Francuscy, włoscy, angielscy, japońscy, hinduscy uczeni wołali jeden przez drugiego żądając przedstawienia dowodów prawdy. Padały okrzyki: „Bajka! Mistyfikacja!” Wśród fali zarzutów redaktor Dumas stał nieporuszony, z lekka się uśmiechając.

Sala nie była jednomyślna. Na żądanie dowodów odpowiedzieli, również okrzykami, inni uczeni, że należy wpierw skończyć lekturę!

— Czytajcie! — wołano. — Czytajcie!

Ale już po kilku chwilach z ogólnego zamętu wybijało się coraz wyraźniej wołanie:

— Dowody! Dowody!

Profesor Hugo uniósł się z prezydenckiego fotela, stuknął młoteczkiem w miniaturowy gong.

— Proszę o ciszę! — powiedział do mikrofonu i przez głośniki zapanował na chwilę nad gwarem. — Możecie, koledzy, być pewni, że bez zbadania dowodów nie ośmieliłbym się tej sprawy uznać za dostatecznie ważną, by ją przedstawiać na naszym Kongresie. Dowody



będą dostarczone.

Umilkły okrzyki i wtedy odezwał się Dumas:

— Panowie żądacie dowodów? Oto dowody!

Pokazał w stronę drzwi zakrytych kotarą, łączących podium z pokojem w kularach. Podeszedł do kotary, odchylił ją i zawołał:

— Proszę! Panowie pozwolą!

Na podium wyszedł smukły, przystojny blondyn o dużych niebieskich oczach i ciemnej myszce na prawym policzku. Zaskoczony tak licznym gremium, zmrużył oczy, stanął, całą swoją postawą wyrażając zażenowanie, niepewność. Na sali panowała kompletna cisza. Słychać było tylko szum aparatu filmowego.

W następnej sekundzie zza kotary wysunął się drugi mężczyzna, ubrany inaczej, i stanął obok poprzedniego.

— Niemożliwe! — ktoś krzyknął. — Przecież dobiłem... — lecz słowa jego przygłuszono ogólnym psykaniem; w ciszy lepiej było przyglądać się obu mężczyznom.

Byli zupełnie identyczni. Ta sama twarz, te same włosy, ten sam wzrost.

Na podium pojawił się trzeci człowiek.

Taki sam! Sobowtór! Jak obaj poprzednicy, wyraźnie speszony tym przedstawieniem, w którym wypadło mu brać udział.

Zza kotary wyszedł czwarty mężczyzna — sobowtór!

I piąty — taki sam! Dopiero on pierwszy ukłonił się sali, Obytym, teatralnym ruchem.

Sto par oczu wlepionych było w pięciu doskonale jednakowych ludzi. Na sali panowała cisza, ale już nie ta grobowa cisza napiętego oczekiwania, lecz cisza pulsujących, słyszalnych oddechów, cisza stłumionych szeptów, cisza pełna emocji. Ośłupienie powoli przechodziło w ożywienie.

Redaktor Dumas przedstawiał kolejno:

— Pan Alfred Zieliński! Artysta dramatyczny! — mężczyzna, który wyszedł ostatni, stojący teraz na lewym skrzydle piątki, ukłonił się w radosnym podnieceniu.

— Inżynier architekt Michał Andrzejewski. Stale mieszka w Paryżu. — Drugi z rzędu sobowtór skłonił się nieznacznie.

— Pan Roman Kisielewski! Porucznik-pilot. — Lotnik stał nieruchomo.

— Pan Andrzej Nowicki, ekspert-jubiler.

— Pan doktor — Dumas zaakcentował tytuł naukowy — Janusz Żukrowski. — Doktor pochylił się lekko.

Różnica w zachowaniu się Zielińskiego oraz czterech pozostałych mężczyzn była zupełnie wyraźna: oni byli opanowani, spokojni, jakby niechętni, on promieniał radością zwycięstwa, radością wielkiego sukcesu. Nareszcie grał swoją główną rolę — czegoż mógł w tej chwili chcieć więcej!

— A szósty! Szósty! — zażądano z sali.

— Szóstego nie udało nam się odnaleźć... — zaczął redaktor Dumas, ale z pierwszego rzędu przerwał mu jakiś ironiczny głos:

— Szóstego już nam nie pokażą! Szóstego oczywiście nie będzie! Medycyna jak dotąd zna tylko wypadki pięcioraczków. Jeszcze żadna kobieta nie urodziła sześciu synów!

Z fotela podniósł się wysoki, chudy pan. Wszyscy go tutaj doskonale znali. Doktor medycyny, profesor, członek Instytutu. Aparaty filmowe skierowano w jego stronę. Skłoniwszy się ceremonialnie przewodniczącemu, jakby przepaszając za to, iż bez wezwania zabrał głos — ciągnął dalej:

— Ponieważ sześcioraczków nie urodziła jeszcze żadna kobieta, jasne jest, że ten szósty „sobowtór” — ironicznie akcentował — musi pozostać nie odnaleziony. Inaczej cała zabawa byłaby na nic...

Aprobujące śmiechy. Akademik kontynuował:

— Skąd panowie z redakcji „Paris-soir” są tacy pewni, że tych pięciu dżentelmenów to dzieci różnych rodziców? Ja sądzę inaczej. Zapewne. Chowano ich w tajemnicy, by któregoś dnia świat zadziwić. Nie jestem pewien, ale obawiam się, że tych pięciu panów stojących przed nami można by oskarżyć, łagodnie mówiąc, o mistyfikację. Historia medycyny zna wypadki większej ilości bliźniąt...

— Tak zupełnie identycznych?! — Część obecnych głośno demonstrowała niechęć wobec wystąpienia akademika.

— W każdym razie bardziej prawdopodobne, że natura stworzyła pięciu jednakowych braci, niż że sztucznie ukształtował ich człowiek w łonach pięciu różnych matek, zapłodnionych przez pięciu różnych ojców...

Jeszcze to mówił, gdy w środku sali wszczął się jakiś ruch. Ktoś się przepychał wśród siedzących. I oto na pustą przestrzeń między pierwszymi rzędami a prezydium wybiegł białowłosy, stary mężczyzna o czarnych oczach. Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, przyskoczył do lektora, wyrwał trzymany przez niego plik papierów — notatki polskiego lekarza — i zaczął drzeć je w zapalczą pasję. Na dywan sypały się strzępy podartego maszynopisu.

— Arski! Doktorze! — krzyknął jeden z sobowtórów.

Redaktor Dumas pobladł i cofnął się. Pięciu sobowtórów stojących na podwyższeniu zamarło w bezruchu. Twarz jednego z nich — Zielińskiego — raptownie straciła swój poprzedni uśmiech. Na sali zrobiło się zupełnie cicho.

Rzuciwszy resztki papierów doktor Arski przyskoczył do stojącego ciągle nieruchomo akademika i krzyknął w doskonałej francuszczyźnie:

— Niczego nie fałszowałem! W niczym nie skłamałem! Przysięgam, że każde przeczytane tutaj słowo jest najrzetelniejszą prawdą...

— Kim pan jest? — przerwał mu akademik.

— Tym, kogo pan nazwał szalbierzem. Jestem autorem tych notatek, jestem twórcą tych sobowtórów! I protestuję w tej chwili przeciwko odczytywaniu moich notatek, moich dokumentów! Nie wolno ich publikować bez mojej zgody! — Swój protest, wykrzykiwany z całą siłą, zwracał Arski już nie do akademika, lecz do całej sali.

Zebrani zaszemrali. Wszyscy byli zdumieni i zaskoczeni. Nikt nie pojmował, co się stało. Jedynie akademik nie stracił pewności siebie i nie odpowiadając wprost Arskiemu, odezwał się do przewodniczącego, profesora Hugo:

— Panie prezydencie! Proszę wyjaśnić nam sytuację. Jesteśmy poważnymi ludźmi, a tutaj najpierw czyta się nam jakieś nieczytelne notatki niezjącego człowieka, a potem nieboszczyk przeciw temu protestuje. Czyżby zakpiono z nas?

Profesor Hugo od paru już chwil stał bezradnie przy prezydialnym stole. Był blady, zmieszany.

— Sądzę, panie kolego, że redakcja wyjaśni nam pewne nieporozumienia — próbował łagodzić sytuację — ale zapewniam pana, że sprawę zbadaliśmy przed przedłożeniem jej kongresowi... i naukowo jest ona wiarogodna...

— To gdzie jest szósty sobowtór? — w rosnącym gniewie wykrzyknął akademik. — Nigdy go nie było!

— Był! Był!... — wołał Arski.

— Gdzie jest? — krzyczano z sali.

— S z ó s t e g o z a b i ł e m j a! — rozległ się donośny głos.

Wszystkie oczy obróciły się w tamtą stronę. Z krzesel wstał, by słowom swym nadać szczególne znaczenie, znany popularny profesor Sorbony Mallarmé.

— Antoine! — zawołał ku niemu Arski.

— Szóstego zabiłem ja! — powtórzył wyraźnie i dobitnie. — Zabiłem... przy milczącej zgodzie doktora Feliksa Arskiego...

Głuchy łoskot padającego ciała. Arski osunął się na ziemię. Skoczyli ku niemu wszyscy

— redaktor Dumas, czterech sobowtórów, lektor — powstało zamieszanie. Przez salę przepychał się ku prezydium profesor Antoine Mallarmé. Arski ciężko łapał powietrze. Dźwignęli go na podstawiony fotel.

Z sali zaczęto domagać się wyjaśnień — coraz bardziej natarczywie. Prezydent Hugo stracił panowanie nad wydarzeniami. Nie wiedział, co ma w tej chwili robić, komu udzielać głosu, komu wzbraniać mówienia. Z chaosu wyłonił się wreszcie profesor Mallarmé, który stanął na katedrze, tym samym dając znak, że chce mówić.

Uciszone się.

— W 1943 roku — zaczął Mallarmé — dostałem się, jak wielu spośród nas, do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, jednego z tych obozów, które znajdowały się na terenie Polski. Było tam wielu Polaków. Z jednym z nich zaprzyjaźniłem się bardzo. Łączyły nas te same zainteresowania naukowe. Już wtedy miałem ogłoszoną jakąś drobną pracę — wydrukowałem ją jeszcze przed wojną — i oto Polak ten, usłyszawszy kiedyś moje nazwisko, podszedł pierwszy, pytając, czy ja jestem jej autorem. To był doktor Feliks Arski. Przyjaźń nasza była serdeczna i doktor Arski opowiadał mi nawet o swoich doświadczeniach naukowych, ale tylko tych, które przeprowadzał na zwierzętach. Rozmowy nasze często schodziły na tematy osobiste i wtedy doktor Arski zwierzał się, że wprawdzie nie ma własnych dzieci, ale losy kazały mu się opiekować sześcioma młodymi chłopcami. Nie wtajemniczał mnie w ich dzieje, ale mówiąc wielokrotnie o tych chłopcach, zawsze czynił to z żywym uczuciem miłości niemal rodzicielskiej.

Antoine Mallarmé zwrócił się w stronę chudego akademika:

— Pragnę podkreślić, szanowny kolego — rzekł z naciskiem — że doktor Arski mówił mi zawsze o s z e ś c i u chłopcach!

Akademik poruszył się żywo, jakby chciał replikować. Po chwili jednak skłonił głowę dając tym znak, że nie zabierze głosu.

Profesor Mallarmé podjął:

— Pamiętam również bardzo charakterystyczne, często przez Arskiego używane określenie. Mój przyjaciel mawiał mianowicie, że ci chłopcy są dla niego czymś znacznie więcej niż rodzonymi synami...

Mallarmé urwał. Powiódł wzrokiem po pięciu sobowtórach. Powiedział cicho, jakby do siebie:

— Dopiero dzisiaj to zrozumiałem...

Na sali panowała zupełna cisza. Profesor zaczął po chwili:

— Los jednego z tych chłopców budził szczególne obawy Arskiego. Jeszcze przed aresztowaniem doktora chłopca porwano w ulicznej łapance i wywieziono do obozu. Na początku 1944 roku przyszedł do nas nowy transport więźniów ewakuowanych z obozów położonych bardziej na wschód. Wśród tych ludzi doktor Arski odnalazł wywiezionego. Byłem świadkiem pierwszej radości mojego przyjaciela. Cieszyło go, że teraz będzie się mógł tym chłopcem opiekować.

I byłem też świadkiem wielkiej tragedii, jaka nastąpiła potem...

Chłopak miał lat piętnaście, ale był rozwinięty nad wiek, zarówno umysłowo, jak fizycznie. Kiedy dwaj pierwsi z tych sobowtórów — Mallarmé pokazał ręką — weszli tutaj, krzyknąłem z niebywalej emocji. Między tamtym piętnastoletnim chłopcem a nimi było tak uderzające podobieństwo, że wydawało mi się, iż tamten uszedł swemu losowi i po tylu latach, już dorosły, pojawił się wśród nas. A przecież... ale po kolei

Tragedia nastąpiła wkrótce potem. Piętnastoletni chłopak bardzo szybko objawił się nam jako okrutnik, dręczyciel współwięźniów, sadysta. Opowiedziano nam, że jego ujmująca powierzchowność zwróciła w tamtym obozie koncentracyjnym uwagę jednego z hitlerowskich szefów. Zaopiekował się chłopcem, zaczął go darzyć faworami, a równocześnie szczuł go przeciw towarzyszom niedoli, zarówno rówieśnikom, jak dorosłym. Chłopak poszedł na lep

tej straszliwej przyjaźni gestapowca. Może pobyt w obozie i strach przed egzekucją wpłynęły na jego postawę moralną — dość, że chłopak w krótkim czasie zaczął naśladować swego hitlerowskiego „opiekuna”. Czynnie pomagał przy likwidacji Żydów. Uczestniczył w egzekucjach. Bił i szarpał ludzi zmuszanych całymi godzinami do stania bez ruchu na placu apelowym. Jednym słowem, było to małe, dzikie zwierzę, już nie człowiek, już nie człowiek...

To wszystko widział doktor Arski. Możecie sobie państwo wyobrazić tragedię, jaką przeżywał. Dziś ją zrozumiałem do samego końca: to była tragedia nie tylko przyjaciela, ale tragedia... stwórcy, który na pewno siebie samego musiał po wielokroć pytać: „Czy ja się do tego nie przyczyniłem?”

Słów profesora Mallarme słuchano w napięciu. Cień tragedii leżał na sali.

— Młody chłopak poznał oczywiście swego dorosłego przyjaciela i traktował go inaczej niż wszystkich. Garnął się do Arskiego. Nieufny i zły wobec innych, do doktora odnosił się tak, jak pewnie odnosili się do siebie dawniej, na wolności. Arski usiłował stawić czoła wychowaniu hitlerowskiemu. Próbował chłopca odzyskać, okazać się wychowawcą silniejszym. Byłem świadkiem wielu dramatycznych scen pomiędzy chłopcem i doktorem. Arski próbował różnie: przemawiał do sumienia, oddziaływał sentymentem, wpadał w furię i groził. Niestety — bezskutecznie.

Profesor Mallarmé był bardzo blady. Mówił teraz cicho, z wyraźnym wysiłkiem:

— W tym czasie mała grupa przyjaciół, do której należeliśmy obaj z Arskim, zdecydowała ucieczkę. Udało mi się nawet zdobyć rewolwer. Chcieliśmy wykorzystać zamęt wywołany klęskami Niemców na froncie wschodnim. Przypadek chciał, że szukający towarzystwa doktora chłopak odkrył nasz spisek. I to w momencie intensywnych, rozstrzygających przygotowań. Groził denuncjacją... Nie było innego wyjścia... Lada chwila mógł spełnić groźbę... Strzeliłem... Zrobiłem to, choć chłopak miał dopiero piętnaście lat... Arski patrzył... i nie ruszył się... Szósty sobowtór nie stanie nigdy przed nami.

Mallarmé skończył. Pięciu sobowtórów miało pochylone głowy. Arski siedział w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach. Zapadło głębokie milczenie. Ktoś westchnął.

Ale chudy akademik nie dał za wygraną. Powoli uniósł się ze swego krzesła.

— Opowiadanie kolegi profesora Mallarmé było wstrząsające. Ja osobiście głęboko ufam naszemu szanownemu koledze, ale jego opowieść w żadnym razie nie może być przez nas uznana za dowód naukowy — powtarzam: dowód naukowy — na to, że pięciu sobowtórów nie jest pięcioma braćmi.

Profesor Hugo uderzył w gong. Chciał mówić.

— Panie profesorze! Teraz, gdy się już trochę uspokoiliśmy, pozwolę sobie zakomunikować, że zostały przeprowadzone badania, naukowe badania...

Hałas gwałtownie otwieranych drzwi przerwał informację przewodniczącego. Na salę wkroczyła policja.

Dwóch cywilów podeszło prosto do profesora Hugo. Jednym był inspektor policji francuskiej, drugim porucznik Brodzki. Widząc ich Alfred Zieliński szybko cofnął się za plecy sobowtórów, których mała gromadka tyle razy przetasowała się od chwili prezentacji uczynionej przez redaktora Dumasa, że już nikt na sali nie wiedział, który z nich jest którym.

Inspektor policji wyjaśnił przewodniczącemu:

— Mamy nakaz aresztowania przestępcy znajdującego się tutaj. Sprawa jest bardzo pilna. Polska wystąpiła o ekstradycję. Przepraszam za przerwanie obrad, zaraz opuścimy salę, tylko wykonamy nasz obowiązek.

Profesor Hugo był już u kresu sił i wytrzymałości. Opał na fotel i gestem pokazał inspektorowi gromadkę sobowtórów.

Agenci francuskiej policji stanęli jak wryci. Mieli aresztować tylko jednego człowieka — Alfreda Zielińskiego, złodzieja brylantów. Nakaz aresztowania był imienny, wyraźny — nie wolno im było zatrzymać kogokolwiek innego. Oszłomił ich widok pięciu sobowtórów.

Brodzki też stracił orientację i nie mógł nic pomóc francuskiemu koledze. Sala zrozumiała ich wahania — ktoś parsknął szyderczym śmiechem.

Inspektor zapytał:

— Pan Alfred Zieliński?

Żaden z sobowtórów nie odpowiedział.

Arski powstał z fotela. On jeden wiedział, który z pięciu jednakowych ludzi jest którym. Raz jeden tylko dał się Zielińskiemu tak podejść, ale wtedy przez myśl mu nawet nie przeszło, że wchodząc do pokoju Nowickiego spotka Alfreda udającego Andrzeja. Drugi raz Zieliński już go tak nie oszuka. Podeszedł do sobowtórów. Przyjrzał im się uważnie. Pewnym, zdecydowanym ruchem wskazał na tego, którego należało aresztować.

— Niech pan mnie przestanie prześladować! — krzyknął po polsku Zieliński takim głosem, że wszyscy zebrani, nie rozumiejąc słów, pojęli, że Arski został zaatakowany.

— Ja!? Ciebie?!

— Pan mnie! Nienawidzę pana!

Doktor cofnął się przed desperacką furią Zielińskiego.

— Nienawidzę pana! Najpierw myślałem, że pan jest moim ojcem, który nie chce uznać swego naturalnego syna, choć daje na jego utrzymanie. Przespać się ze służącą to można było, ale jej dziecko uznać... za wysokie progi! Ona była tylko służącą, a pan był... Ale ta służąca dbała o pańskie papiery jak o jakąś świętość. Gdy po jej śmierci przeczytałem te dokumenty — prawda okazała się jeszcze gorsza! Przez pana nie miałem ojca! Byłem tylko sztucznym człowiekiem! Sztucznym człowiekiem! Pan rozumie, co to znaczy?!

Arski nie odpowiadał. Głowa opadła mu na piersi.

— Chciał pan być stwórcą! „Kreatorem”! — w głosie Zielińskiego brzmiało szyderstwo. — Kreator! Za cenę cudzego nieszczęścia. Mojego nieszczęścia. Ale ja przysiągłem sobie, że się zemszczę. Że opublikuję te dokumenty, które pan tak chciał ukryć. Że ujawnię pańską tajemnicę. Nie wolno tworzyć sztucznych ludzi!

Zieliński umilkł wyczerpany wybuchem. Oddychał ciężko.

— I dlatego — rzekł z goryczą Araki — chcesz umożliwić innym uczonym ponowienie mego eksperymentu!

Alfred, już opanowany, wrzucił ramionami:

— Był to jedyny sposób, żeby pana najgłębiej dotknąć!

Arski błysnął czarnymi oczami spod siwych brwi. Głośno i wyraźnie powiedział po francusku:

— Oskarżam Alfreda Zielińskiego o przywłaszczenie sobie moich prac naukowych i domagam się, by zakazana została ich publikacja!

Redaktor Dumas szybko tłumaczył zebranim poprzednie słowa Zielińskiego i doktora.

Głos zabrał milczący dotąd profesor Dickens z Oksfordu:

— Jeśli przewodniczący pozwoli, pragnąłbym zadać pewne pytanie panu Zie... -Zieli... — mocował się z trudnym polskim nazwiskiem.

Profesor Hugo skinął głową.

— A więc — mówił Anglik — zapoznanie się z największym eksperymentem, jaki zna nauka świata, zawdzięczamy — o ile dobrze zrozumiałem — pragnieniu zemsty, którą pan Zie... jeden z sobowtórów, chciał wyrzucić na swoim twórcy, interesuje mnie, jako psychologa, czy zemsta była jedynym motywem postępowania pana Zielińskiego?

Dumas tłumaczył.

Alfred Zieliński wysunął się naprzód. Uśmiechnął się z triumfem.

— Nie. Miałem również inny powód...

Zrobił efektowną pauzę. Oczy wszystkich zebranych były na niego skierowane. W ciszy słychać było tylko szum aparatu filmowego.

Alfred wyraźnie rozkoszował się tym, że stał się ośrodkiem zainteresowania.

— Zawsze chciałem być sławny. Wiem, że mam talent. Nie doceniano mnie jednak. Nie udało mi się dotąd zrobić wielkiej kariery. Ale teraz...

Odetchnął głęboko. Wskazał na kamerę.

— Te zdjęcia znajdują się na ekranach całego świata! W prasie całego świata pojawi się moje nazwisko! Czy panowie rozumieją, co to oznacza dla artysty?

— Ale po odsiedzeniu kary! — odezwał się spokojnie porucznik Brodzki. — Jest pan oskarżony o kradzież brylantów z państwowej centrali handlu zagranicznego „Jubiler”.

Zieliński zwrócił się ku niemu z drwiącym uśmiechem:

— Niepotrzebnie odbywał pan podróż do Paryża. Brylanty są już w tej chwili w rękach dyrektora „Jubilera”.

— Jak to?! — wykrzyknął Brodzki.

— Historia jest prosta — wyjaśnił ironicznie Zieliński. — Nie jestem przecież złodziejem... Kradzież zainscenizowałem, aby zmusić Nowickiego do wyjazdu na Kongres. Kiedy był już zupełnie wykończony nerwowo, przyszedłem do niego i powiedziałem: „Jedź z nami do Paryża, a oczyszczę cię z zarzutów”. Nie chciał!

Zieliński wzruszył ramionami i mówił dalej:

— Mimo że mało nie padł trupem, kiedy się dowiedział, że nie jest dzieckiem swoich rodziców, tylko sztucznie wyhodowanym sobowtorem... nie chciał być żywym świadectwem przeciw swemu sztucznemu „ojcu”!

Doktor Arski zrobił ruch, jakby chciał objąć Andrzeja, który uśmiechnął się smutno.

— Nie miałem innego wyjścia — mówił dalej Zieliński. — Musiałem go trochę no... powiedzmy... obezwładnić i ukryć, a sam przez parę dni odgrywałem jego rolę w mieszkaniu jego rodziców.

Uśmiechnął się złośliwie:

— I jako Andrzej Nowicki odbywałem rozmowy z panem porucznikiem i panem doktorem Arskim!

— Ale co z brylantami? — nalegał Brodzki.

— Ponieważ Nowicki, choć porządnie oberwał, ciągle stawiał opór, sprowadziłem do niego doktora Żukrowskiego. Ten go dopiero namówił.

— Ty, Januszu? Przeciwno mnie? — powiedział cicho Arski.

Żukrowskiemu zalsniły oczy.

— Odpowiem panu pytaniem. Gdyby pan dowiedział się, że jest jednym ze sztucznie stworzonych sobowtórów, czy wyrzekłby się pan możliwości badań?

Doktor Arski westchnął. Jasne było, że postąpiłby tak samo.

Po raz pierwszy odezwał się Andrzej Nowicki:

— Istotnie, Żukrowski namawiał mnie. A ja... ja tylko pragnąłem odzyskać brylanty i uratować te dokumenty dla ciebie, doktorze. Gdy dałem słowo, że wyjadę na Kongres, Zieliński w mojej obecności zdeponował klejnoty u rejenta w Krakowie, na nazwisko dyrektora „Jubilera”. Pewnie już je ma, bo po przyjeździe do Paryża natychmiast mu o tym napisałem.

Redaktor Dumas szybko przekładał na francuski całą rozmowę. Ale francuscy policjanci nie chcieli ustąpić. Mają nakaz aresztowania, i koniec. Winny czy niewinny — wytłumaczy się, przed kim należy. Inspektor zakładał Zielińskiemu kajdanki, gdy jeden z uczonych zaprotestował:

— Tego nie wolno robić! Dla was ten człowiek może być przestępcą, dla nas to obiekt badań. Sprawa jest tak istotna, że nie możemy zgodzić się na usunięcie jednego z sobowtórów z naszych obrad!

Poparli go inni. Ktoś wołał, że skoro domniemanym przestępcą oddał brylanty, to można go zostawić i śledztwo prowadzić z wolnej stopy. Brodzki replikował, że nie ma podstawy, by wierzyć Zielińskiemu.

— Wiem, że te brylanty są tam zdeponowane. — Nowicki oburzył się, że jego świade-

ctwo zostało poddane w wątpliwość. — Może pan, panie poruczniku, sprawdzić telefonicznie. Notariusz Jerzy Wiewiórowski, Kraków, hipoteka...

— Możecie go pilnować, póki nie będzie odpowiedzi, ale dajcie nam kontynuować obrady! — wołali uczeni.

I znowu na sali zapanował zamęt.

Czcigodni profesorowie, którzy jeszcze przed godziną poddawali w wątpliwość celowość lektury dziwnych notatek, teraz z ferworem bronili swego prawa do pełnego poznania tajemnic wielkiego odkrycia. Emocja ogarnęła wszystkich. Chcieli zmusić policję, by wyszła zostawiając im Alfreda Zielińskiego. Profesor Hugo bezskutecznie manewrował swym gonieniem.

Pięciu sobowtórów tkwiło w środku tumultu. Arski opadł znowu na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Inspektor francuskiej policji półgłosem wymieniał z porucznikiem Brodzkim jakieś uwagi.

Wreszcie podszedł do profesora Hugo, poszeptał z nim przez chwilę i przewodniczący zakomunikował zgromadzeniu:

— Policja zdecydowała się pozostawić tutaj pana Alfreda Zielińskiego, rezerwując sobie środki bezpieczeństwa, aż do połączenia się telefonicznego z Krakowem, celem ustalenia, czy istotnie owe skradzione brylanty są tam zdeponowane.

Głośny aplauz towarzyszył wychodzącym policjantom.

Porucznik Brodzki podszedł do Arskiego, uściskał mu rękę i szepnął:

— Doktorze! Odwagi! Myślę, że wszystko będzie dobrze.

Arski westchnął ciężko. Był blady i wyczerpany. Milcząc odwzajemnił uścisk dłoni.

W ciągu ostatnich dni przygotowań w Warszawie, wczorajszego lotu z Polski do Paryża, gorączkowych zabiegów o uzyskanie ekstradycji oraz prawo wejścia Arskiego na Kongres — był stale razem z porucznikiem i dawna ich przyjaźń pogłębiła się. Arski żałował, że teraz, gdy przychodzi chwila ostatecznej batalii o zachowanie tajemnicy odkrycia, Brodzki musi odejść.

Ledwo drzwi się zamknęły za ostatnim policjantem — chudy akademik znowu poprosił o głos domagając się bardziej naukowych dowodów niż wojenne wspomnienia profesora Mallarmé.

Wtedy profesor Hugo zaprosił siedzącego dotychczas w milczeniu doktora Rollanda, który podniósł się powoli z fotela, wymierzonym krokiem — jakby obliczonym na przedłużenie chwil powszechnej emocji i podrażnienie ciekawości zebranych — podszedł do katedry, długo wyjmował z teczki i rozkładał na pulpicie jakieś papiery, na koniec zaczął czytać głosem suchym, pedantycznym, dosadnym:

— W dniu trzydziestego czerwca i pierwszego lipca lekarze Instytutu Hematologii przy Uniwersytecie Paryskim, panowie... — zacytował kilka czcigodnych nazwisk — na życzenie redakcji „Paris-soir” oraz profesora Hugo dokonali analizy krwi pięciu następujących osób... — I znowu podawał nazwiska, adresy, daty urodzenia, dokładnie, żeby nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. — ...Analiza ta wykazała podane poniżej związki i grupy krwi występujące u poszczególnych badanych.

Doktor Rolland wymieniał teraz znaki krwi litery i cyfry — opatrzone komentarzami. Co najmniej połowa obecnych notowała rezultaty badań hematologicznych.

W miarę trwania tej lektury Arski powoli odzyskiwał siły. Uniósł twarz, zaczął rozglądać się po sali szukając tych, którzy zarzucili mu szalbierstwo. Analizy i badania przeprowadzone przez paryskich uczonych poza nim, poza jego wiedzą, wykazywały bezwarunkową prawdę jego eksperymentu. I choć Arski chciał zniszczyć swe dokumenty — chciał zniszczyć dokumenty, o których ludzie wiedzieliby, że są prawdziwe, a nie fałszywe. To właśnie, że przez kilka kwadransów cierpliwie znosił lekturę pierwszej połowy swych notatek, spowodowane było tylko naturalnym pragnieniem podzielenia się swym wielkim odkryciem, pragnie-

niem sławy uczonego — sławy, której się dobrowolnie wyrzekł. I wyrzeczenie to ostatecznie potwierdził. Bronił się jednak przeciw temu, by zostać napiętnowany jako oszust. Każde słowo odczytywane przez doktora Rollanda było dlań zadośćuczynieniem.

— ...Na tej podstawie komisja zdecydowała się na pytanie postawione przez profesora Hugo oraz redakcję „Paris-soir” odpowiedzieć, co następuje: W pięciu przeanalizowanych przypadkach wykluczeni są wspólni rodzice.

Doktor Rolland pedantycznie złożył papiery i skłoniwszy się wręczył je przewodniczącemu, który oświadczył:

— Na tej właśnie podstawie pozwoliłem sobie dłużej zatrzymać panów. Czy pan profesor jest już przekonany? — zwrócił się do chudego akademika, który mruknięciem potwierdził swą kapitulację.

— Proszę o głos! — wstał Anglik z Cambridge, profesor Osborne.

— Dowód przedstawiony nam przez Instytut Hematologiczny, aczkolwiek nie może być rozstrzygający, upoważnia nas do traktowania eksperymentu pana doktora Arskiego jak najbardziej serio. Bo nawet jeżeli tylko potrafiłby on zmienić zawartość i grupy krwi pięciu synów jednych rodziców — to i tak byłoby to wydarzenie naukowe ogromnej wagi. Być może, mamy do czynienia z odkryciem epokowym. Proszę doktora Arskiego, by pozwolił nam zapoznać się z pozostałą częścią swego naukowego dokumentu.

Żądanie Anglika poparły liczne glosy z sali. Wołano domagając się dalszej lektury.

— Postanowienie moje jest nieodwołalne. — odpowiedział Arski. — Nie godzę się na publikację tych papierów. Żądam, jako autor, oddania mi ich!

— Myśmy za nie zapłacili! — bronił się redaktor Duma«.

— Zapłaciliście panowie za dokumenty ukradzione. Kupno rzeczy ukradzionych ma swoje konsekwencje prawne — replikował Arski.

— Tu nie chodzi o żadne konsekwencje prawne! — wołał jeden z Włochów. — Odkrycia naukowe nie są własnością prywatną! Nie wolno rządzić się nimi jak folwarkiem! Gdyby inni ukrywali swoje wynalazki, pan by również nic nie zrobił!...

Arski wstał.

— Nie chciałem, by ktokolwiek wiedział o moim odkryciu, o tym, że stworzyłem sześciu sobowtórów. Nie chcę, by korzystając z moich dokumentów jakikolwiek inny uczony mógł powtórzyć mój eksperyment. Nie chcę!

— Nie wolno panu tak mówić! — odpowiadano Arskiemu z sali. — Musimy zbadać i dokumenty, i sobowtórów!

Zapanował tumult. Uczeni wstawali z miejsc, gestykulowali żywo, twarze mieli zaczerwienione z emocji.

Nagie na sali pojawił się porucznik Brodzki wraz z oficerem francuskim.

— Znowu policja! — wykrzyknął impetyczny profesor z Południowej Ameryki.

Oficer francuski skłonił się i powiedział:

— Ponieważ oskarżyliśmy przed tym gremium pana Zielińskiego o kradzież, uważaliśmy za swój obowiązek przed tymże zgromadzeniem sprawę wyjaśnić. W tej chwili nadeszła z Warszawy wiadomość, że brylanty istotnie znajdują się już we właściwych rękach. To wszystko!

Ukloniwszy się raz jeszcze, wyszedł, a Brodzki usiadł obok doktora Arskiego. Zieliński spojrzał na nich obu z triumfem. Gdy na sali uciszyło się znowu, głos zabrał profesor Osborne:

— Żądamy, by pięciu sobowtórów mogło być poddanych badaniom, gdyż musimy dowiedzieć się, czy cechy tych ludzi odezwą się w następnym pokoleniu? Czy cechy sztucznie nabyte okażą się dziedziczne czy nie?

— Nie! — Ten okrzyk zabrzmiał najgłośniej. Z grupy sobowtórów wysunął się Roman Kisielewski. — Nie! — zawołał po francusku. — Nie pozwalam, by ktokolwiek rozporządzał



się moją osobą. Jeżeli moje dzieci mają być przedmiotem waszych badań — nie będę miał dzieci! — Ściszył głos i mówił szybko, namiętnie:

— Gdyby nie było tego eksperymentu, byłbym normalnym człowiekiem. Nie byłoby tych wszystkich nieszczęść. To sobowtór doprowadził mnie do obłądu. Przez to podobieństwo uległem szantażowi. Jestem przestępcą, ułatwiłem ucieczkę z kraju...

— Obronimy pana!

— Nie chodzi mi o obronę, ale o te nieszczęścia, które wywołane zostały przez fakt istnienia ludzi identycznych. Byłem człowiekiem szczęśliwym. Ale moje szczęście zostało zagrożone. Czy wolno było tak robić? — zwracał się do Arskiego. — Pan chciał stworzyć ludzi jednakowych, by opanować ich myśli, ich uczucia, ich postęпки... I co? Ja nie wiem, ja umiem tylko latać, ale moje doświadczenie jest straszne... Nie godzę się być dalej doświadczalnym królikiem! Nie pozwalam, by mnie badano! Nie będę miał dzieci, jeżeli one mają służyć eksperymentom nad jednakowymi ludźmi... ja nie...

Załamał się. Zamilkł, Jego twarz była biała, trząsł się cały.

— Ja również nie zgadzam się na żadne dalsze ze mną eksperymenty. Wyjeżdżam, wracam do Warszawy, nie chcę... Doktorze! Nie pozwól czytać dalej tych papierów! — Andrzej Nowicki dołączył swój głos, nieco spokojniejszy, ale równie stanowczy, do protestu Kisielewskiego.

Jakby wzmocniony postawą i żądaniem swoich dwóch „chłopców”, doktor Arski raz jeszcze zabrał głos:

— Nie wolno dokumentów ogłaszać bez mojej zgody! Odwołuję się do panów, do Kongresu! Proszę, by opinia wasza mnie poparła! Jednakowi ludzie nie są światu potrzebni!

Na sali wznosił się gwar, gwałtownie wymieniano zdania. Między uczonymi nie było zgody. Jedni wołali:

— Nie wolno ukrywać swych odkryć! Arski musi nam udostępnić wszystkie dokumenty!

Inni popierali doktora:

— Uczony ma prawo dysponowania własną pracą!

Czyja opinia przeważy?